

JAMES
PATTERSON

NYPD RED

ZDAŻĘ CIĘ ZABIĆ

& MARSHALL KARP

James Patterson, Marshall Karp

Zdążę cię zabić

*Tłumaczenie:
Alina Patkowska*

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Prolog

I

II

III

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty

Część druga

Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Rozdział czterdziesty ósmy
Rozdział czterdziesty dziewiąty
Rozdział pięćdziesiąty
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy
Rozdział pięćdziesiąty drugi
Rozdział pięćdziesiąty trzeci
Rozdział pięćdziesiąty czwarty
Rozdział pięćdziesiąty piąty
Rozdział pięćdziesiąty szósty
Rozdział pięćdziesiąty siódmy
Rozdział pięćdziesiąty ósmy
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty
Rozdział sześćdziesiąty
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy
Rozdział sześćdziesiąty drugi
Rozdział sześćdziesiąty trzeci
Rozdział sześćdziesiąty czwarty
Rozdział sześćdziesiąty piąty
Rozdział sześćdziesiąty szósty
Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Rozdział sześćdziesiąty ósmy
Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty
Rozdział siedemdziesiąty

Część trzecia

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy
Rozdział siedemdziesiąty drugi
Rozdział siedemdziesiąty trzeci
Rozdział siedemdziesiąty czwarty
Rozdział siedemdziesiąty piąty
Rozdział siedemdziesiąty szósty
Rozdział siedemdziesiąty siódmy
Rozdział siedemdziesiąty ósmy
Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty
Rozdział osiedemdziesiąty
Rozdział osiedemdziesiąty pierwszy
Rozdział osiedemdziesiąty drugi

Epilog

Rozdział osiedemdziesiąty trzeci
Rozdział osiedemdziesiąty czwarty

Przypisy

Strona redakcyjna

Autorzy bardzo dziękują zastępcy szeryfa Frankowi Faluotico, sierżantowi Alanowi Rowe'owi z biura szeryfa Ulster County w stanie Nowy Jork, detektywowi NYPD Salowi Catapano, dr. Lawrence'owi Dresdale'owi, Bobowi Beatty'emu, Mel Berger oraz Jasonowi Woodowi za pomoc, dzięki której ta powieść nabrała nieco wiarygodności.

PROLOG

GIDEON I DAVE

I

31 października 2001

- Mówiłeś poważnie o tym Hitlerze? - zapytał Dave, nasączając dzinsy i sweter Meredith benzyną do zapalniczek.

- Ostrożnie z tym paliwem rakietowym, piromanie - mruknął Gideon. - Mamy spalić tylko ciuchy, a nie cały dom.

- Próbowałem ją powstrzymać. - Dave dorzucił na stertę biustonosz i majtki. Widać było, że nie przywiązuje do nich żadnego znaczenia, po prostu pozbywa się bielizny starszej siostry. Dla niego były to tylko szmaty, które trzeba spalić. Jednak dla jego kumpla Gideona koronkowy czarny komplet złożony z fikuśnego biustonosza i skąpych majteczek był paliwem napędzającym fantazje szesnastolatka.

Meredith, rudowłosa, zielonooka i z jasną kremową cerą, miała dwadzieścia jeden lat i chodziła do college'u. Gideon był dla niej tylko jednym z dziwnych kolegów młodszego brata i nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, jakich śmiałych obszarów sięga jego wyobraźnia.

Dave hojnie popryśkał stertę ubrań rozpałką.

- Sam widziałeś - powiedział, szukając u Gideona potwierdzenia. - Przecież próbowałem ją powstrzymać.

- Zawsze próbujesz ją powstrzymać przed robieniem głupot - odrzekł Gideon. - Ale ona jest o pięć lat starsza od ciebie i pięćdziesiąt razy bardziej uparta. Odsuń się.

Dave cofnął się od starego i dawno nieczyszczonego grilla.

- No tak - powiedział Gideon, zapalając zapałkę. - O tym Hitlerze mówiłem zupełnie poważnie. - Podpalił porwany sweter

Meredith, a gdy błękitno-pomarańczowe płomienie wystrzeliły wysoko, jeszcze raz przypomniał sobie wszystko, co się zdarzyło tego wieczoru.

W Halloween rodzina Salvich urządziła imprezę na plaży. Dave ze wszystkich sił próbował przekonać Meredith, żeby tam nie szła.

- Co cię tam ciągnie? - pytał. - Małże, włoskie rurki z kremem czy towarzystwo podpitych makaroniarzy?

- Nie, Davidzie. - Zawsze go tak nazywała, gdy chciała wskazać mu jego miejsce w szeregu. - Idę tam, bo mają odjazdową kapekę i fajerwerki jak w chiński Nowy Rok, a poza tym po czterech godzinach siedzenia nad książką do makroekonomii mózg mi się lasuje. Może ty i Gideon też pójdziecie?

- Na imprezę mafii? Jeszcze czego. Wiesz, że tata nienawidził Salvich.

- Nikt ich nie lubi, ale wszyscy i tak chodzą. Nawet jeśli należą do mafii, to co z tego? Piwo jest za darmo i nie będą cię legitymować. - Otworzyła drzwi. - O której mama kończy pracę?

- Dzisiaj w barze będą tłumy, więc pewnie nie wróci przed trzecią.

- W takim razie ja wrócę za minutę trzecia. - Przesłała im pocałunek, roześmiała się i wyszła.

Po dwóch godzinach wróciła w podartym swetrze i džinsach, z twarzą wymazaną zaschlą krwią, z mokrym piaskiem we włosach.

- Enzo - powiedziała, z trudem powstrzymując łzy. - Enzo Salvi.

- Uderzył cię? - zapytał Dave.

Otoczyła go ramionami i rozszłochała się z twarzą przy jego piersi.

- Gorzej.

- Nie bierz prysznic - zarządził Gideon. - Policja musi zebrać ślady.

- Żadnej policji! - Oderwała się od Dave'a, pobiegła do łazienki i pół godziny spędziła pod prysznicem, próbując zmyć z siebie brud, zapach, upokorzenie i wstyd.

Przyszła do kuchni w workowatym szarym dresie i czapeczce bejsbolowej Metsów, która zakrywała połowę twarzy.

- Zrobiliśmy ci kakao - powiedział Dave.

- Chcesz pianki? - Gideon wyciągnął w jej stronę torebkę.

- To nie jest dzień na piankę. - Wylała połowę kakao do zlewu, wyciągnęła z szafki butelkę Jameson Irish Whiskey i dopełniła kubek. - Mówię serio, żadnych glin. I nic nie wspominajcie mamie.

- No nie wiem, Mer. - Dave powoli pokręcił głową. - Nie uważasz, że mama powinna...

- Nie! - wykrzyknęła Meredith. - Nie, nie, nie! - Łzy znów zaczęły płynąć, więc otarła je rękawem. - Zagroził, że jeśli jej powiem... - Wzmocniła się łykiem kakao. - Zagroził, że jeśli jej powiem, to ona będzie następna.

Po dwóch kolejnych porcjach whiskey Meredith uznała, że się położy.

- Dzięki. - Spojrzała na Dave'a i Gideona. - Nie wiem, co bym bez was zrobiła. - Uścisnęła ich i pocałowała w policzki. To był siostrzany pocałunek, zupełnie niepodobny do tego, o jakim Gideon marzył od lat. - Zróbcie dla mnie coś jeszcze. - Rzuciła na podłogę stertę ubrań. - Spalcie to.

Dżinsy ze stretchu paliły się najwolniej.

- Szkoda, że to nie są jaja Enza Salviego - powiedział Dave,

wykańczając trzecie piwo. Płomienie zaczynały właśnie pochłaniać dżinsowy krok.

Od ponad roku Hitler służył Gideonowi za ulubiony argument.

- Myślisz, że Hitler był porządnym dzieciakiem, kiedy matka posłała go do szkoły? - pytał Dave'a i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Nie, urodził się popieprzonym świrem, a potem było tylko gorzej i gorzej. Nie wydaje ci się, że świat byłby lepszy, gdyby ktoś załatwił Hitlera, zanim jeszcze skończył szkołę? Bo Howard Beach na pewno byłoby lepsze, gdyby ktoś zabił Enza Salviego.

- Zwariowałaś - odpowiadał zwykle Dave, ale tego dnia, gdy patrzył, jak ubrania jego siostry zmieniają się w popiół, nie był już tego taki pewien. - To moja wina - mruknął niewyraźnie. - Zalegam mu trzy raty.

- Głupoty gadasz - odparł Gideon. - Nikt normalny nie gwałci czyjejs siostry za sześćdziesiąt dolców. Enzo Salvi to psychol.

Dave otworzył kolejnego bud lighta i w końcu zadał pytanie, na które Gideon czekał:

- Więc jak to zrobimy?

II

Następnego popołudnia Gideon poszedł do sklepu z komiksami i sprzedał za bezcen swoją kolekcję miesięcznika *Spawn*.

- Dzięki - powiedział Dave. Wiedział, że był to jedyny sposób na zdobycie pieniędzy dla Enza.

- Zabicie tego kutasa drogo wychodzi - skomentował Gideon. - Ale warto.

Przez następne trzy tygodnie obmyślali, poprawiali i na nowo obmyślali plan morderstwa. Obejrzelili wszystkie odcinki *CSI* i wypożyczyli wszystkie filmy z Jackiem Chanem, Jetem Li i Jeanem-Claudem Van Damme'em, jakie tylko udało im się znaleźć. Biegali po plaży, podnosili ciężary i pakowali w siebie odżywki dla kulturystów, by nabrać masy.

- Enzo jedzie na sterydach od pierwszej klasy liceum - powiedział Dave nad koktajlem proteinowym, jednym z trzech, które stanowiły dzienną dawkę.

- To znaczy, że jaja już mu się kurczą - skomentował Gideon.

- Nie, to znaczy, że możemy pić to czekoladowe gówno do końca życia, a on i tak będzie miał dwa razy większe mięśnie niż my obaj razem wzięci.

- A kogo to obchodzi? - Gideon w geście toastu uniósł szklanę.
- I tak mamy większe jaja niż on.

Wszystko wydawało się nierealne, dopóki nie przyszło do wyboru broni. Sporządzili listę i przy każdej pozycji wypisali plusy i minusy. Najwięcej plusów postawili przy broni palnej, bo była najskuteczniejsza, ale zebrała też najwięcej minusów. Pistolet trudno zdobyć i łatwo wytropić. W końcu zdecydowali się na najstarszą broń na świecie, którą również najłatwiej było

pozyskać, to znaczy na maczugę, czyli drewnianą pałkę.

- Jaskiniowcy jakoś dawali sobie z tym radę - powiedział Dave.

Pojechali metrem do sklepu sportowego na Brooklynie i zapłacili sześćdziesiąt dwa dolary za czarną pałkę firmy Brett Bros długą na osiemdziesiąt pięć centymetrów. Następnie pojechali do sklepu motoryzacyjnego i kupili pudełko lateksowych rękawiczek.

A potem czekali.

To musiał być piątkowy wieczór. Większość uczniów liceum Johna Adamsa płaciła Enzowi w gotówce, natomiast Gideon, który pracował na zapleczu sklepu monopolowego Tonellego, co tydzień kradł butelkę wódki. W każdy piątek po pracy szedł na wydmy za domem Salvich przy Sto Sześćdziesiątej Piątej Alei i oddawał butelkę Enzowi.

Wybrali piątek po Święcie Dziękczynienia. Tego dnia nie było szkoły, więc przy odrobinie szczęścia Enzo do wieczora mógł być już pijany.

Jak zwykle o tej porze roku wydmy były wilgotne i zimne, ale Gideon ubrał się odpowiednio, to znaczy w nieprzemakalny kombinezon, czapkę narciarską i traperki. Enzo spóźniał się jak zwykle. Pięć minut. Dziesięć. Po piętnastu minutach zaczęły pojawiać się wątpliwości. On wie, myślał Gideon. Nie przyjdzie. Chce, żebym tu zamarzł, a kiedy całkiem zamienię się w sople, zabije mnie, panikował w duchu.

- Gdzie jest ta ciota z moją wódką? - wrzasnął Enzo, idąc przez wysoką trawę.

Księżyc był w pierwszej kwadrze, więc Gideon dostrzegł we mgle mroczną postać z masywnym sterydowym karkiem, ramionami i klatą.

- Tu! - zawołał.

- Po cholere wlasz tak daleko w wydmy? - narzekal Enzo. - Przyszedlem po flaszke wodka, a nie po to, zebyś mi zrobil laske.

Gideon uniosl litrowa butelke wodka Absolut.

- Tu jest.

To byl umowiony sygnal, a ciag dalszy mial sie rozegrac jak w scenie z filmu *Klan Bialego Lotosu*. Dave, przycupniety w mokrej trawie, wyskoczył z za pleców Enza i z całej sily uderzył go klonowo-jesionowa palka.

Ale w prawdziwym zyciu rzadko cokolwiek dzieje sie tak jak w filmach kung-fu, szczegolnie gdy ofiara byl przebiegly syn mafiosa, a atakujacy, ktory wprawdzie bardzo duzo cwiczyl, jednak w chwili próby byl jak wypalony.

Dave celowal w tyl glowy Enza, ale trafil go tylko w prawy bark.

Enzo eksplodowal. Ruchem szybkim jak blyskawica obrócił sie i pochwycil Dave'a za ramie. Palka poleciala w powietrze. W ułamek sekundy pózniej Enzo wyciagnal z kieszeni noz smith & wesson extreme ops, otworzył go jednym pstryknięciem, rzucil sie na Dave'a i pchnal go na ziemie.

- Ty irlandzka cioto! - krzyknal wsciekle. - Wyrzne ci serce i wepchne w smierdzaca irlandzka cipe twojej siostry! - Usiadl na nim okrakiem i zamachnal sie, ale zanim ząbkowane ostrze wbiło sie w pierś Dave'a, Gideon uderzył Enza butelka w glowe.

Noz wypadl z reki, Enzo Salvi osunal sie na piasek twarza w dol.

- Przepraszam, przepraszam! - Dave plakal po raz pierwszy od pogrzebu ojca. Mial wtedy dwanaście lat. - Wszystko spieprzyłem. Dzieki, Gid, dzieki. Omal mnie nie zabil. Czy on jest martwy? Zyje czy nie?

Odpowiedz byla jasna. Enzo szamotal sie w trawie, plujac piaskiem, slina i stekiem bełkotliwych przekleństw. Wyraznie

brakowało mu koordynacji ruchowej i nie mógł do kupy poskładać myśli.

Tego nie mieli w planach.

- Co teraz? Co teraz? - gorączkował się Dave.

- Złap go z drugiej strony! - wykrzyknął Gideon, z całej siły szarpiąc uszkodzone prawe ramię Enza.

- Co zrobimy? Gdzie go zabierzemy?

- Zamknij się i rób, co ci każe!

Dave uczepił się lewej ręki wyjącego z bólu Enza, a potem pociągnęli go przez wydmy na brzeg morza. Gideon wszedł do wody do wysokości ud i pod powierzchnię wepchnął głowę Enza, który miotał się jak szalenciec.

- Złap go za nogi! Nie może nam się wyrwać! - krzyknął Gideon.

Dave z trudem przytrzymał jego nogi.

- Podnieś jak najwyżej - dyrygował Gideon. - Wtedy głowa pójdzie jeszcze niżej.

Dave posłuchał i po niecałej minucie Enzo zwiotczał.

- Nie możemy ryzykować - powiedział Gideon. - Chodź tu!

Dave puścił nogi i razem przez jakiś czas przytrzymywali głowę Enza pod wodą.

- To za moją siostrę, ty popierdoleńcu! - wykrzyknął Dave, waląc pięścią nieruchomego Enza. - A to za te wszystkie pieniądze, które mi zabrałeś, i za te wszystkie lata, kiedy się nade mną znęcałeś, i za to, jak wrzuciłeś moje książki i wszystkie rzeczy do zatoki, i za to, jak... - Jeszcze przez chwilę krzyczał, uderzając pięścią w wodę.

- Wystarczy - powiedział w końcu Gideon.

- Czy on jest martwy? - zapytał Dave, wymierzając ostatni cios w zanurzoną w wodzie postać.

- Jest martwy od jakichś dwóch minut.

- Zabiliśmy Hitlera - powiedział Dave, ciężko dysząc, płacząc i śmiejąc się jednocześnie. - Zabiliśmy Hitlera.

Wyciągnęli przemoczone ciało na brzeg i wrócili do pierwotnego planu. Gideon zerwał z szyi Enza złote łańcuchy, zabrał zegarek i pieniądze z portfela. Dave splunął mu na twarz.

- Spadajmy stąd - powiedział gotów do ucieczki.

- Nie tak szybko - odrzekł Gideon. - Jeszcze notes. Tam są nasze nazwiska.

Enzo Salvi prowadził drobiazgowy rejestr swej rozkwitającej kariery kryminalnej i robił to w najbardziej zdumiewający sposób. Po prostu zapisywał wszystko w notesie oprawionym w ciemnoczerwoną wytłaczaną skórę ze złoceniami na krawędziach i zamykanym na klapy z magnesem.

Gideon wyciągnął notes z kieszeni kurtki topielca. Kolejne dziesięć minut zabrało im znalezienie pałki, noża i butelki z wódką, która, o dziwo, wciąż była cała.

- Gnij w piekle - powiedział Dave i po raz ostatni splunął na zwłoki Enza.

Nikogo nie było w pobliżu, gdy wyszli z wydm na Sto Sześćdziesiątą Piątą Aleję i cicho przemknęli przez zimną listopadową noc między domami klasy średniej, popijając wódkę ze śmiercionośnej maczugi.

III

Mafijny pogrzeb – oto marzenie każdego kwiaciarza.

Los zrządził, że rodzice Gideona byli właścicielami kwiaciarni, więc to oni najwięcej zyskali na kondolencjach, które szeroką strugą spływały od przyjaciół, krewnych i partnerów w interesach rodziny Salvich.

- Zupełnie jakby znaleźli w kieszeni wygrywający los na loterię - powiedział Gideon do Dave'a. - I nie mają pojęcia, że to ja go tam włożyłem.

Wraz z Meredith, przybierając stosowne do charakteru ceremonii miny, przeszli wzdłuż rzędu trzydziestu dwóch samochodów wyładowanych kwiatami i wspięli się po schodach prowadzących do kościoła Świętej Agnieszki. Przed świątynią stał biały karawan, a za nim ciągnący się przez trzy przecznice rząd czarnych limuzyn. Po drugiej stronie ulicy tłoczyły się samochody z dziennikarzami. Tłum fotoreporterów napierał na policyjne barykady. Wszyscy polowali na złoty strzał, ujęcie, które pojawi się na pierwszej stronie jutrzejszego *Daily News*.

I policja. Po prostu była wszędzie. Zwykli posterunkowi z ulicznych patroli zwani krawężnikami, sierżanci, młodszy oficerowie i wyższe szarże, aż do zastępcy komendanta. Federalni też tu się zjawili i pracownicy filmowali każdy ruch, każdy szczegół, każdą twarz. Do diabła z rozpaczą i prywatnością. Nie ma lepszego miejsca niż pogrzeb mafijny, by zdobyć cenne ujęcia współników, które trafią do archiwów FBI.

Gideon, Dave i jego siostra wsunęli się do ławki.

Meredith natychmiast uklękła do modlitwy.

- Jak możesz się za niego modlić? - szepnął Gideon, gdy już

usiadła.

- Nie modliłam się za niego. Modliłam się o wybaczenie.

- Za co?

- Modliłam się do Matki Boskiej, żeby go ukarała, a teraz czuję się winna.

Gideon żałował, że nie może powiedzieć jej prawdy.

- Nie przypisuj sobie całej zasługi - skomentował cicho. - Mnóstwo ludzi odmawiało błagalne litanie za śmierć Enza.

O jedenastej kościół całkowicie się zapełnił. Wszyscy wstali, gdy otworzyły się boczne drzwi, i ojciec Spinelli wprowadził do kaplicy rodzinę. Pierwsza szła Teresa, matka Enza, w eleganckim kostiumie z czarnego jedwabiu i z prostym złotym krzyżykiem na szyi. Zamiast żałobnego welonu skamieniałą z bólu twarz osłaniały wielkie ciemne okulary. Jojo, drugi syn, poprowadził ją do ławki na przedzie.

Meredith uścisnęła dłoń brata w oczekiwaniu tego, co zdarzy się za chwilę. Joe Salvi, który wyglądał jak starsza, siwowłosa kopia nieżyjącego syna, wprowadził do kościoła osiemdziesięcioletnią matkę Annunziatę w czarnej żałobnej sukni, którą nosiła od kilkudziesięciu lat, od dnia śmierci męża. Gdy jej wzrok padł na trumnę, z ust wydobyło się zawodzenie.

- Od ponad osiemdziesięciu lat Howard Beach było domem rodziny Salvich - rozpoczął ksiądz.

Nie domem, pomyślał Gideon, ale miał ochotę wykrzyknąć to na głos. Nie domem, a terytorium.

- I miłość, która płynie teraz z tej społeczności...

Przyszli tu tylko dlatego, że bali się nie przyjść, albo po to, żeby cieszyć się nieszczęściem tej rodziny, skomentował w duchu Gideon.

- ...jasno świadczy o tym, że hojność Joego i Teresy Salvich

przeszła do legendy. Kosze z jedzeniem dla ubogich na Święto Dziękczynienia, zabawki dla dzieci na Boże Narodzenie...

Cała piwniczka win dla parafii, złośliwie dodał Gideon.

- A także doroczna impreza na plaży w Halloween, która odbyła się zaledwie w zeszłym miesiącu. Ten rok jest szczególnie istotny, bo wielu z was pozwoliło sobie na zabawę po raz pierwszy od września, kiedy runęły wieże.

Enzo miał zabawę. Meredith nie, podsumował Gideon.

- Wiem, że departament policji Nowego Jorku robi, co może, by wymierzyć sprawiedliwość tej osobie czy osobom, które odebrały życie Enzowi.

Annunziata Salvi nagle podniosła się i podeszła do trumny.

- *No polizia. La famiglia fornirà giustizia. La famiglia fornirà giustizia!* - wykrzyknęła i rzuciła się na trumnę wnuka.

To był rytuał pogrzebowy ze starego kraju. Joe Salvi pozwolił matce krzyczeć jakiś czas. Dopiero gdy ze szlochem osunęła się na kolana, podszedł i odprowadził ją z powrotem na miejsce, a sam stanął twarzą do zgromadzonych.

Tysiąc dwieście osób wstrzymało oddech, gdy mafijny boss powiódł zimnym, mrocznym spojrzeniem po kościele, pokazując wszystkim razem i każdemu z osobna, że strata nie osłabiła rodziny.

Gideon i Dave odważyli się oddać mu spojrzenie z mocno bijącymi sercami i zaciśniętymi ustami. Wiedzieli, kogo szuka Joe Salvi - ich. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że nie przestanie ich szukać do końca życia.

- *La famiglia fornirà giustizia* - powiedziała seniorka rodu.

Rodzina wymierzy sprawiedliwość.

CZĘŚĆ PIERWSZA

CZYŚCICIEL

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To się działo na rogu Piątej Alei i Siedemdziesiątej Piątej Ulicy.

Dwaj bezdomni, którzy siedzieli przed pomnikiem poległych w pierwszej wojnie światowej, podnieśli się na mój widok.

- Zach Jordan, NYPD Red - przedstawiłem się.

- Znaleźliśmy martwą kobietę na diabelskim młynie - powiedział pierwszy z nich.

- Na karuzeli - poprawił go drugi. Włosy miał matowe, twarz nieogoloną i brudną, a szmaty, w które był ubrany, śmierdziały starym moczem. Odwróciłem głowę, gdy doleciał mnie jego zapach.

- Aż tak źle? - Cofnął się o krok. - Ja już tego nie czuję. Detektyw Bell, a to mój partner, detektyw Casey, z wydziału przeciwdziałania przestępczości. Banda nieletnich napadała na bezdomnych w parku, tak dla sportu. Robimy za przynętę. Przepraszam za ten zapach, ale musimy nie tylko odpowiednio wyglądać, ale i śmierdzieć.

- Pełen sukces - powiedziałem. - Opiszcie mi ofiarę.

- Biała, w średnim wieku, ubrana w kombinezon ochronny z tyveku. Wygląda na kolejną ofiarę Czyściciela.

Tego mi tylko brakowało.

- Tożsamość?

- Nie możemy się tam dostać. Karuzela jest zamknięta, a ona jest w środku. Znaleźliśmy ją tylko dlatego, że o wpół do siódmej rano usłyszeliśmy muzykę.

- Prowadź.

Karuzela znajduje się w samym środku Central Parku, o kilkaset metrów od Piątej Alei, i jeśli pod ręką nie ma

parkowego strażnika z wózkiem akumulatorowym, najszybciej można się tam dostać piechotą.

- Trawa jest mokra - stwierdził Bell, jakbym sam tego nie widział. - Myślałem, że NYPD Red zajmuje się tylko celebrytami i ważnymi szyszkami.

- W piątek wieczorem zgłoszono zaginięcie jednej z tych ważnych szyszek. Szukam jej z moją partnerką. Zawiadomiono mnie zaraz po tym, jak zgłosiliście prawdopodobne morderstwo. Mamy bazę w Dziewiętnastym Komisariacie, więc dotarłem tu w kilka minut. Ale jeśli to nie jest moja poszukiwana, to znikam, a zajmie się tym ktoś inny.

- Casey i ja zgłaszamy się na ochotnika - powiedział Bell. - Umyjemy się porządnie, a gdyby pan nalegał, to możemy nawet dołączyć do Red. Naprawdę tak tam fajnie, jak mówią?

Fajnie? A czy fajnie jest być obrońcą New York Yankees? Dla każdego gliny praca w NYPD Red to praca marzeń.

W Nowym Jorku mieszka osiem milionów ludzi. Nasz departament ma chronić ich wszystkich i wszystkim służyć, ale niektórzy otrzymują lepszą ochronę i lepsze usługi niż pozostali. Może to nie brzmi szczególnie demokratycznie, ale zarządzanie miastem przypomina zarządzanie firmą. Po prostu trzeba dbać o najlepszych klientów. W naszym przypadku to ci, którzy generują największy dochód i przyciągają turystów, innymi słowy, sławni i bogaci. Gdy ktoś z nich padnie ofiarą przestępstwa, oferujemy mu naszą pełną uwagę, umiejętności, sprzęt i co tylko tam trzeba. A wierzcie mi, ci ludzie przywykli do tego, że się o nich dba. Są jak gwiazdy rocka w świecie finansów, mody i mediów. A niektórzy są gwiazdami rocka w świecie rocka.

Odpowiedziałem na pytanie Bella:

- Jest całkiem fajnie z wyjątkiem chwil, kiedy niszcę sobie

dobre buty, łażąc po mokrej trawie.

- A gdzie pańska partnerka?

Nie miałem pojęcia, ale skłamałem:

- Już tu jedzie.

Na wysokości Center Drive zaatakował nasze uszy irytujący gwizd organów parowych.

- Z bliska wkurza jeszcze bardziej - stwierdził Bell.

Zatrzymaliśmy się przed zamkniętą mosiężną bramą harmonijkową wysoką na cztery metry. W pobliżu znajdowała się zabytkowa karuzela, która każdego roku przyciągała do parku kilkaset tysięcy dzieci i rodziców. Do pory otwarcia pozostało jeszcze kilka godzin, ale karuzela kręciła się, koniki podskakiwały w górę i w dół, a cyrkowa muzyka grała na cały regulator.

- Nie da się wejść do środka. Zamknięte - powiedział Casey.

- A ona jak weszła?

- Ten, kto ją tam wsadził, rozwalił zamek, a potem założył u-locka kryptonite. Ciężko go otworzyć.

- Widocznie nie chciał, żeby ktoś zepsuł jego dzieło - powiedziałem.

- Też tak myślimy. Mają przysłać techników, żeby to przecięli.

- Najpierw ekipa śledcza musi sprawdzić odciski palców. Wątpię, żebyśmy coś znaleźli, ale nie chcę, żeby je zakurzył jakiś kowboj ze szlifierką.

- Detektywie Jordan - powiedział Bell - stąd może pan zobaczyć ciało.

Podszedłem do niego i zajrzałem przez szparę w bramie.

- Już tu jedzie - oznajmił Bell, jakbym mógł przeoczyć martwą kobietę w białym kombinezonie ochronnym przypiętą do czerwono-niebiesko-zielono-żółtego konia.

- Cholera - powiedziałem, kiedy przejeżdżała obok nas.

- Czy to jest pańska poszukiwana?
- Tak. Nazywa się Evelyn Parker-Steele.

Detektywi popatrzyli na mnie wzrokiem świadczącym o tym, że słyszą to nazwisko pierwszy raz w życiu.

- Jej ojciec to Leonard Parker - wyjaśniłem. - Właściciel około tysiąca kin na terenie całego kraju. A jej brat nazywa się Damon Parker.

- Ten od wiadomości telewizyjnych? - zapytał Casey.

- W biogramie, który dostałem, nazwali go światowej sławy dziennikarzem telewizyjnym, ale na to samo wychodzi. A jej mąż to Jason Steele III, ten od hoteli i kasyn Steele.

- Jasny gwint - powiedział Casey do Bella. - Zdaje się, że to była pierwsza dama pośród wszystkich bogatych kobitek.

- To jeszcze nie wszystko. Była też wysoko opłacaną organizatorką kampanii politycznych. Ostatnio prowadziła kampanię Muriel Sykes, kandydatki na stanowisko burmistrza, konkurentki naszego ukochanego burmistrza Spellmana.

- Bogata, sławna, ustosunkowana - podsumował Bell. - Od początku do końca to sprawa dla Red. Lepiej stąd spadajmy, zanim ktoś przejrzy nasz kamuflaż. Powodzenia, detektywie.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Moja partnerka się spóźnia. Przyda mi się wasza pomoc przy obserwacji tłumu. - Casey odruchowo obejrzał się przez ramię i powiódł wzrokiem po pustym parku, a ja dodałem: - Jeszcze ich nie ma, ale wkrótce się pojawią. Media, gapie, ludzie, którym śpieszy się do pracy, ale zawsze wystarcza im czasu, żeby się zatrzymać i popatrzeć na katastrofę kolejową. Jeśli będziemy mieli szczęście, to morderca też się pokaże. Czasami lubią wracać na miejsce przestępstwa, żeby sprawdzić, jak nam się podoba ich robótka. Zechcecie mi pomóc?

Detektywi popatrzyli na siebie, uśmiechając się jak dzieci, które właśnie się dowiedziały, że szkoła będzie zamknięta z powodu opadów śniegu.

- Czy zechcemy pomóc gliniarzowi z Red przy ważnym zabójstwie? - powtórzył Bell. - Mówi pan poważnie? Co mamy robić?

- Wrzućcie na siebie czyste ciuchy i pozbądźcie się tego zapachu, a potem pokręćcie się tutaj i miejcie oczy i uszy otwarte.

- Za dziesięć minut będziemy umyć - obiecał Bell, po czym obaj zniknęli.

Muzyka z karuzeli doprowadzała mnie do szału. Odszedłem kawałek, żeby usłyszeć własne myśli, a potem zadzwoniłem do mojej partnerki, Kylie MacDonald. Po raz trzeci tego ranka połączyłem się ze skrzynką głosową.

- Cholera jasna, Kylie - powiedziałem. - Jest szósta czterdzieści siedem, poniedziałek rano. Od siedemnastu minut mam bardzo zły tydzień. Może ci tego jeszcze nie mówiłem, ale nie ma lepszego towarzystwa na zły tydzień niż ty.

ROZDZIAŁ DRUGI

W końcu nadeszła wiadomość od Kylie:

Spóźnię się. Postaram się przyjechać jak najszybciej.

Za mało się starała, bo wciąż jej nie było, gdy Chuck Dryden, nasz technik kryminalistyki, a także patolog, zasygnalizował, że może mi już przekazać wstępne wnioski.

Nazywają go Milcz-Dryden, bo nie lubi pogaduszek o niczym, ale jest najdokładniejszym, najcierpliwszym i najbardziej upierdliwym specem od badania miejsca zbrodni, jakiego znam, i bardzo się ucieszyłem, że przydzielono mi właśnie jego.

- Przyczyna śmierci: wygląda na uduszenie. Czas między pierwszą a trzecią w nocy - oznajmił bez żadnych wstępów. - Ofiara miała usta zaklejone srebrną taśmą. Zostały ślady. Są też ślady na nadgarstkach. Była skuta kajdankami albo czymś podobnym.

- Co myślisz o kombinezonie? - zapytałem.

Dryden popatrzył na mnie z potępieniem znad okularów bez oprawek. To miało znaczyć, że wychodzę przed szereg, bo nie nadszedł jeszcze czas na pytania i odpowiedzi. Odchrząknął i mówił dalej:

- Ofiara ma poranione wnętrze jamy ustnej, zasinione podniebienie i język, kilka zębów świeżo wyszczerbionych lub połamanych, świeże skaleczenia na wargach i wybitą szczękę. Wygląda na to, że była torturowana przez kilka dni przed śmiercią. Niektóre ślady wskazują na to, że śmierć nastąpiła w jakimś innym miejscu i przetransportowano ją tutaj już martwą.

- Urwał na chwilę. - Chciałeś o coś zapytać?

- Tak. Podoba mi się to jej białe wdzianko. Od którego to

projektanta?

- Kombinezon z tyveku - odrzekł bez cienia uśmiechu. -
Produkcji DuPonta.

- To znaczy, że mamy do czynienia z Czyścicielem.

Dryden przewrócił oczami. I nastąpiła kolejna reprimenda:

- Co za bezsensowna nazwa dla mordercy tego kalibru.

- To nie moja wina. Tabloidy tak go nazwały.

- Kompletny brak wyobraźni. - Z dezaprobatą potrząsnął głową.

- To już czwarta ofiara. Wszystkie zostały uprowadzone, wszystkie znaleziono w podobnych kombinezonach i z podobnymi obrażeniami twarzy. Kilka godzin po znalezieniu ciała w internecie pojawia się film, na którym ofiara przyznaje się do popełnienia ohydnej zbrodni, a cała prasa w Nowym Jorku nie potrafi wymyślić lepszej nazwy niż Czyściciel?

- To dosyć obrazowe. - Wzruszyłem ramionami.

- I zupełnie nietrafne - odparował. - Technicznie rzecz biorąc, to nie jest nawet profesjonalny kombinezon ochronny odpowiadający określonym normom, tylko zwykłe ubranie ochronne z tyveku za sto dolarów, więc co z niego za czyściciel. Bardziej intrygujące jest to, że w trzech poprzednich przypadkach ciała zostały wyszorowane amoniakiem, co praktycznie uniemożliwiło uzyskanie śladów DNA zabójcy, a kombinezon zapobiegł powstaniu innych śladów. W laboratorium nazywamy go Szopem Praczem.

Na jego twarzy pojawił się pełen zadowolenia uśmiech. Byłem pewny, że to on wymyślił ten przydomek, ale tak czy inaczej pozostanie Czyściciel, bo media już podjęły decyzję.

- Pracowałeś przy trzech pierwszych przypadkach?

- Tak. - Dryden skinął głową. - Sprawę prowadzą Donovan i Boyle z piątki.

- Z piątki? - powtórzyłem. - Chinatown?

- Pierwszą ofiarą był Azjata, członek gangu. Drugie ciało pojawiło się w rejonie czternastki, a trzecie, handlarza narkotyków, podrzuciono w Harlemie. Donovan i Boyle byli pierwsi, więc zostali przy tej sprawie. Ale wydaje mi się, że Evelyn Parker-Steele ze swoją błękitną krwią wskoczy na sam szczyt łańcucha pokarmowego i zostanie przekazana do Red.

- Krew może miała błękitną - skomentowałem - ale jej brat jest sławny, mąż to miliarder, a ojciec tryliarder, więc dominującym kolorem jest zielony. Evelyn Parker-Steele po śmierci z pewnością dostanie taką samą pięciogwiazdkową obsługę jak za życia.

- W takim razie będę pracował z tobą i twoją partnerką... - Urwał, udając, że próbuje sobie przypomnieć jej nazwisko. To był idiotyczny blef. Umysł Chucka Drydena działał jak najdoskonalszy mikrochip. Podczas oględzin ciała analizował każdy szczegół, a gdy obok tego ciała znajdowały się błyszczące zielone oczy Kylie, długie jasne włosy i uśmiech, od którego topniało serce, wszystkie dane już na zawsze pozostawały w jego rozbudowanym banku pamięci. Znał jej nazwisko i zapewne, jak większość mężczyzn, którzy poznali Kylie, obsadzał ją w głównej roli w swoich fantazjach. Mnie też się to zdarzyło przed jedenastu laty, tyle że Kylie i ja wyszliśmy dość daleko poza etap fantazji. No, bardzo daleko.

Ale teraz Kylie jest żoną Spence'a Harringtona, producenta telewizyjnego programu o policjantach filmowanego w Nowym Jorku. Spence jest przyzwoitym facetem i dobrze się dogadujemy, ale wkurza mnie to, że ja spędzam w towarzystwie Kylie czternaście godzin dziennie, ścigając bandytów, a jemu przypada nocna zmiana.

- Ona się nazywa Kylie MacDonald - podjąłem gierkę Drydena.

- A tak, rzeczywiście. Więc ta sprawa pewnie spadnie jej na kolana. To znaczy jej i tobie.

Na kolana? Co ci chodzi po głowie, Chuck?

- Tak. Jestem pewny, że detektyw MacDonald i ja zostaniemy przydzieleni do tej sprawy.

O ile detektyw MacDonald w ogóle pojawi się w pracy.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Zdejmijcie ją - polecił Dryden, gdy ekipa zrobiła już Evelyn Parker-Steele kilkaset zdjęć *in situ*, czyli na miejscu zdarzenia. Widok był makabryczny, chociaż ze względu na migające światełka i jaskrawe konie zdjęcia ze sceny zbrodni tym razem powinny być weselsze niż zwykle.

Ułożyli ciało na noszach u podstawy karuzeli. Przyklęknąłem obok, żeby przyjrzeć się lepiej, i usłyszałem znajomy głos:

- No to znalazłeś swoją poszukiwaną.

- Masz na myśli ją czy siebie? - warknąłem, za bardzo wkurzony na Kylie, żeby podnieść głowę.

Kylie MacDonald nie ma zwyczaju przeproszać, a to dlatego, że ze swojego punktu widzenia nigdy nie robi nic złego.

- Dotarłam najszybciej, jak mogłam - powiedziała takim tonem, że brzmiało to bardziej jak „daj mi spokój” niż jak przeprosiny.

A ja tym bardziej nie miałem zamiaru podnosić głowy.

- Może dziwnym trafem dostałaś wiadomość, że mamy morderstwo? - mruknąłem, wpatrując się w ciało.

- Dostałam. Wysłałeś ją jakieś dwadzieścia siedem razy.

- To znaczy, że twój telefon działa. A zatem masz jakiś problem z palcem wskazującym.

- Zach, zza tej żółtej taśmy patrzy na nas ponad setka gapiów. Czy naprawdę myślisz, że to najlepszy moment, żebym ci wyjaśniała, dlaczego się spóźniłam? Lepiej opowiedz, co mnie ominęło.

- Mała aktualizacja bieżących wiadomości. Teraz mamy już cztery morderstwa. - Gdy przyklęła obok mnie, dodałem: - To jest zaginiona Evelyn Parker-Steele. Evelyn, to jest moja

partnerka, zaginiona Kylie MacDonald.

Zerknąłem przez ramię, żeby sprawdzić jej reakcję. Kylie właściwie nie potrafi wyglądać inaczej niż pięknie, ale tego ranka było widać, że coś jest nie w porządku. Błysk w oczach i seksowny przemądrzały uśmiech zniknęły. Oczy miała zapuchnięte, a usta zaciśnięte w grymasie. Emanująca z niej magia, która sprawiała, że wszystkie głowy obracały się w jej stronę, zniknęła pod ponurą maską. Powód jej spóźnienia musiał być bardzo nieprzyjemny.

Poczułem się głupio, że potraktowałem ją tak ostro.

- Wybacz, że się wkurzyłem. - No tak, doszło do tego, że to ja ją przeproszałem. - Dobrze się czujesz?

- Lepiej niż ona - mruknęła, oglądając połamane zęby i wybitą szczękę denatki. - Paskudnie to wygląda. Żyła jeszcze, kiedy jej to zrobiono. Poważnie mamy cztery morderstwa? Gdzie są pozostałe trzy ciała?

- Na cmentarzu. Poprzednie ofiary Czyściciela.

Miała już na rękach lateksowe rękawiczki. Dotknęła palcem kombinezonu.

- Coś takiego można kupić wszędzie. Skąd wiadomo, że to nie jakiś naśladowca?

- Chuck Dryden zajmował się poprzednimi i mówi, że wszystko wygląda tak samo.

- Pewnie ma rację. Karuzela też pasuje do wzorca. Czyściciel zostawia ciała w miejscach, które mają jakieś znaczenie, jakby chciał podkreślić, że wymierza sprawiedliwość.

- Więc jaką tu widzisz metaforę? Że życie Parker-Steele było jak karuzela?

- Nie, raczej nie. Myślę, że chodzi o konie. Evelyn wychowała się na koniach. Skoki przez przeszkody, ujeżdżanie, cały ten jeździecki szajs dla bogatych pańienek. Razem z mężem

prowadziła wielką stadninę w Westchester County.

- W takim razie może chciał powiedzieć: „Pieprzę cię i tego konia, na którym jeździłaś”.

- Jak go znajdziemy, to zapytamy. Nie ma żadnych wątpliwości, że ta sprawa będzie nasza. Parker-Steele pasuje do profilu Red jak nikt inny. Myślisz, że Cates zechce, żebyśmy przejęli tamte trzy sprawy?

- A przychodzi ci do głowy jakiś inny powód, dla którego zadzwoniła i powiedziała, że burmistrz chce się z nami spotkać w Gracie Mansion?

- Burmistrz chce się z nami spotkać? - Kylie uśmiechnęła się po raz pierwszy. - O której?

Popatrzyłem na zegarek.

- Dwadzieścia minut temu. Ale wiesz, on nie będzie miał nam za złe spóźnienia. Na niego ludzie czekają przez cały czas.

- Cholera. Dlaczego nie pojechałeś beze mnie?

- Cates już tam jest. Jeżeli się spóźnimy, to powie, że nie mogliśmy się wyrwać z miejsca zbrodni, i jakoś się wyłgamy, ale gdybym przyjechał sam i powiedział, że ty gdzieś zginęłaś, to natychmiast przekazałaby sprawę komuś innemu.

Kylie przez kilka sekund zastanawiała się nad tym, co powiedziałem, aż w końcu dostrzegłem w jej oczach znajomy wyraz wdzięczności.

- Dzięki - wymamrotała.

Znałem ją i wiedziałem, że nie doczekam się bardziej wylewnych przeprosin.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Radiowóz, który przysłała po nas Cates, stał na ścieżce rowerowej przy Central Drive i błyskał światłami.

- Ożeż ty... - jęknęła Kylie, gdy szliśmy przez trawnik.

- Co takiego?

- Timmy McMatol.

- Powiedz to jaśniej.

- Ci, co po nas przyjechali. Kierowca grzecznie czeka w samochodzie, ale ten drugi, który rozmawia z tymi trzema kobietami, to Tim McNaughton.

- Znam go - odrzekłem. - Arogancki sukinsyn, ale wszyscy tacy byliśmy w tym wieku.

- Zach, jest różnica między facetem pewnym siebie a dupkiem, który próbuje podrywać wszystko, co ma cycki. Na tablicy ogłoszeń w damskiej szatni wisi jego zdjęcie w przekreślonym kółku. Pod spodem ktoś napisał: „Podrywa z subtelnością szmaty nasączonej chloroformem”.

- Zawsze potrafiłaś ładnie mówić.

- Dzięki. - W jej oczach na chwilę pojawił się dawny błysk. - Ktoś musiał ostrzec nowe dziewczyny.

Na nasz widok McNaughton spojrział na kobiety, z którymi rozmawiał. Na ten sygnał wszystkie trzy wyrzuciły w powietrze zaciśnięte pięści i wykrzyknęły:

- Do boju, Red!

- Zasługujecie na swój zespół cheerleaderek - powiedział wyraźnie dumny ze swojego dzieła.

- Ale nie w miejscu, gdzie popełniono morderstwo - odrzekłem z nadzieją, że w pobliżu nie ma żadnej włączonej kamery.

- Oj! - rzucił ze śmiechem. - Nie pomyślałem.

- Gracie Mansion - zadysponowałem. - Na światłach i sygnale.

Tylne siedzenie radiowozu nie zostało zaprojektowane z myślą o wygodzie. Jest ciasne, zrobione z twardego plastiku, który łatwo oczyścić z płynów ustrojowych, i mocno pochylone, żeby przewożonemu trudniej było zerwać się i zaatakować dobrych chłopców, którzy siedzą po drugiej stronie klatki ze stalowej siatki i szkła kuloodpornego.

Gdy kierowca wyjechał z parku na wschodnią stronę, McNaughton obrócił się i rzucił Kylie swój najpiękniejszy uśmiech w stylu gospodarza talk-show.

- Ciasno tam na zapleczu, pani detektyw. Tak się zastanawiam, czy masz dość miejsca na nogi?

- Czuję się tu o wiele gorzej, niż przypuszczasz - odparła.

Roześmiał się, jakby zrozumiał dowcip.

- Jak się miewa twój mąż?

- Mój mąż? O czym, do diabła, mówisz? - parsknęła.

- Nie obrażaj się. Czytałem w *Daily News*. Ważna figura telewizyjna, producent programu o policjantach, pada ofiarą przestępstwa.

Mąż Kylie jest jednym z najbardziej znanych producentów telewizyjnych na Wschodnim Wybrzeżu i z tego powodu stał się celem świra, któremu niemal udało się sparaliżować całą branżę filmową w Nowym Jorku. Obydwoje z Kylie w końcu go dopadliśmy, ale wcześniej zdążył wysłać Spence'a do szpitala.

- Więc jak się miewa twój stary? - nie ustępował McNaughton.

- Mój stary? - powtórzyła Kylie. - Mój stary powiedział: odwróć się i przestań pieprzyć, McNaughton. Właśnie tak się miewa.

Timmy McMatol odwrócił się pokornie i nikt już nie odezwał się ani słowem, aż dotarliśmy do rogu Osiemdziesiątej Ósmej i East

End Avenue. Kylie wyskoczyła z samochodu i nie oglądając się za siebie, pomaszerowała w stronę rezydencji burmistrza, a ja podziękowałem kierowcy za podwózkę.

McNaughton położył rękę na moim ramieniu.

- O co jej chodzi? Zawsze się tak zachowuje?

- Nie - powiedziałem, strząsając z siebie jego dłoń. - Tylko przy dupkach i pedofilach. Miłego dnia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gracie Mansion ma dwieście lat, ale dopiero podczas drugiej wojny światowej zamieszkał tu ktoś na tyle szalony, by zostać burmistrzem Nowego Jorku. Obecny lokator, Stan Spellman, rozpaczliwie pragnął przedłużyć dzierżawę na następne cztery lata, ale jeśli wierzyć sondażom, już za osiem dni miała go zastąpić Muriel Sykes.

Jak na rezydencję, budynek nie rzuca się w oczy. Nie ma tu żadnych ostentacyjnych portyków ani marmurowych kolumn, po prostu zwykły żółto-biały jednopiętrowy budynek federalny z pięcioma sypialniami i lepszym niż przeciętny widokiem na East River.

Kylie stała na szczycie schodów, kipiąc ze złości.

- Co to ma być, dzień otwartych granic? Dlaczego wszyscy naruszają moją prywatną przestrzeń?

- Wszyscy? - zdziwiłem się, starając się nie krzyczeć przed drzwiami domu burmistrza. - Ten śmieć bardzo by chciał naruszyć twoją prywatną przestrzeń, dlatego pytał o twojego męża, a ja chciałem tylko wiedzieć, dlaczego się spóźniłaś. Jak, do cholery, możesz wrzucać mnie i jego do jednego worka?

- Bo ty zadajesz inne pytania, ale odpowiedź jest taka sama. Spence upadł pod prysznicem i uderzył się w głowę. Zabrałam go na pogotowie. Wszystko już w porządku, ale jest wkurzony, bo trzy miesiące po tej cholernej zabawie z Kameleonem wciąż nie potrafi utrzymać się na nogach. Dlatego się spóźniłam. Jesteś zadowolony?

Poczułem się jak kretyn.

- Przepraszam - powiedziałem po raz drugi w ciągu niecałych

dwudziestu minut. - Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Bo wydawało mi się, że priorytetem jest szukanie mordercy. Możemy wreszcie się tym zająć?

Pchnęła drzwi i weszliśmy do holu. Ja kupuję meble w IKEA, a burmistrz w dziewiętnastym wieku, ale byłem tu już wcześniej i zauważyłem kilka podróbek. Wskazałem na podłogę, wielką przestrzeń pokrytą białymi i czarnymi rombami, prowadzącą do krętych schodów o dziesięć metrów dalej.

- Fałszywy marmur - powiedziałem łagodząco. - To malowane drewno.

- Wiem, Zach. Byłam tu już.

Wsparta na ramieniu Spence'a. Ale tego nie wyjawiała.

- Detektywi!

A oto i nasza szefowa. Jedno słowo wystarczyło, żeby rozpoznać jej nastrój. Zbiegła po schodach jak burza.

Kapitan Delia Cates jest jedną ze wschodzących gwiazd wydziału. Czarna na zewnątrz i błękitna w środku, policjantka w trzecim pokoleniu, nie znosi układów, w których musi się poruszać ze względu na swoje stanowisko, ale potrafi je dobrze rozgrywać. A kiedy kobiecie uda się wreszcie przebić szklany sufit w NYPD, można na nią postawić każde pieniądze. Mówią o niej, że zawsze jest twarda, a czasem sprawiedliwa, toteż przygotowałem się na solidną werbalną chłostę.

- Spóźniliście się i burmistrz już dostaje wściekлизny dupy.

- Przepraszam - powiedziałem. - Wyszliśmy z założenia, że zabójstwo jest ważniejsze od politycznej hysterii.

- Wydaje się wam, że dla przyjemności odciągamy głównych śledczych z miejsca poważnego przestępstwa? To nie jest zwykły atak hysterii, tylko największe polityczne gówno, w jakie w życiu wdepnęłam. Co wiadomo o naszej VIV?

VIV w żargonie Red oznacza Very Important Victim, czyli Bardzo Ważną Ofiarę. Powiedziałem Cates wszystko, co wiedziałem, a nie było tego wiele, i zakończyłem słowami:

- Chuck Dryden jest przekonany, że to najnowsza ofiara Czyściciela.

- I pewnie ma rację - stwierdziła Cates. - Ktoś właśnie wrzucił do sieci film z Parker-Steele, która przyznaje się do zamordowania Cynthii Pritchard. To sposób działania Czyściciela. Porywa, zabija, a potem wrzuca do internetu film, żeby wszyscy wiedzieli, że niewinna ofiara nie była taka niewinna.

- Kto to jest Cynthia Pritchard? - zapytałem.

- Koordynatorka kampanii. Dwa lata temu pracowała z Parker-Steele przy reelekcji kongresmena Winchella. Miesiąc przed wyborami Pritchard spadła z piętnastego piętra, z tarasu apartamentu Evelyn.

- Spadła?

- Tak Evelyn powiedziała w prokuraturze, ale na filmie mówi co innego.

- Nigdy nie słyszałem o tej sprawie.

- Nic dziwnego. Leonard Parker ma tylu prawników, że mógłby wyciszyć wiadomości o zatonięciu Queen Mary - powiedziała Cates. - Sekcja zwłok wykazała, że Pritchard była pijana. Parker-Steele też nie była trzeźwa, po przyjeździe policji padła nieprzytomna na podłogę. Koroner stwierdził, że Pritchard za mocno wychyliła się przez barierę tarasu i spadła. Uznał, że to był wypadek.

- Patolodzy często się mylą - powiedziałem. - Departament nie wystąpił o dalsze dochodzenie?

- Wystąpił, ale prawnicy zdusili to w zarodku. Stwierdzili, że Pritchard i Parker-Steele przyjaźniły się, łączyły je bliskie relacje,

nie było żadnego motywu. Powiedzieli również głośno i wyraźnie, że wszelkie próby podważania tej opinii uznają za nieuzasadnione polowanie na czarownice, i jeśli zdarzy się jakikolwiek przeciek do mediów, który nadweręży reputację Evelyn albo kogoś innego z prominentnej nowojorskiej rodziny, to nastąpią poważne reperkusje.

- Finansowe - odgadłem.

- Owszem. Zaskarżą miasto i puszczą je w skarpetkach. I wierz mi, Zach, miałoby duże szanse na wygraną. Dlatego nie było żadnego dochodzenia ani żadnego rozgłosu. Sprawa zamknięta. Za pieniądze można kupić anonimowość, a za duże pieniądze - absolutne milczenie.

- Tylko że po jakimś czasie cichy mściciel wypełza zza krzaka i zmusza Parker-Steele, żeby przyznała się do morderstwa - stwierdziła Kylie.

- Tak, a Muriel Sykes rozsyła już tweety, w których twierdzi, że to kupa bzdur. Jeśli będziesz torturował kogokolwiek wystarczająco długo, to przyzna się nawet do tego, że w jego piwnicy pochowany jest Jimmy Hoffa. Sykes krzyczy, że Parker-Steele nie jest zabójczynią, tylko ofiarą, a to miasto potrzebuje burmistrza, który będzie zamykał przestępców, a nie pozwalał im chodzić wolno i oskarżać niewinnych ludzi o morderstwa.

Skręciła w stronę pokrytych chodnikiem schodów.

Szliśmy za nią, a ona mówiła dalej:

- Notowania burmistrza w sondażach spadają. Seryjny morderca wciąż jest na wolności, a przeciwniczka w wyborach zarzuca mu, że jest zbyt miękki wobec przestępców. Jeśli nie złapiemy Czyściciela, to burmistrz będzie mógł się podetrzeć całą swoją kampanią.

Byliśmy już u szczytu schodów, gdy Kylie zatrzymała się

i spytała:

- Pani kapitan, czy mogę być brutalnie szczerą?

Cates obróciła się.

- Ze mną tak, ale nie z burmistrzem. Mów.

- Gdyby nam pani powiedziała, że w metrze widziano potwora z Loch Ness, to razem z Zachem przeszlibyśmy całe tory od Bronxu aż do Far Rockaway i znaleźlibyśmy go. Nie wiem, jak długo by to trwało, ale wykonalibyśmy zadanie. A teraz poszukujemy bardzo inteligentnego seryjnego zabójcy, który wymyka się policji od czterech miesięcy, i burmistrz chce, żebyśmy rozwiązali tę sprawę w tydzień?

- Trafiaś w samo sedno, MacDonald - odpowiedziała Cates.

- Jesteśmy glinami i nasza praca polega na tym, żeby dorwać drania, zanim zabije kogoś jeszcze, a nie na tym, żeby ratować burmistrzowi jego burmistrzowską dupę.

Cates wybuchnęła śmiechem.

- Też tak kiedyś mówiłam, gdy nie musiałam się przejmować polityczną poprawnością, ale burmistrz poprosił o spotkanie konkretnie z wami, wymienił nazwiska. Chcecie utrzymać tę pracę?

- Jasne, i niezmiernie nam pochlebia, że posłał właśnie po nas - odparła Kylie. - Ale możliwe, że będzie musiał obniżyć oczekiwania i zamówić ciężarówkę do przeprowadzek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stanley Spellman zaczął karierę prawniczą przed czterdziestu laty w Legal Aid Society w Nowym Jorku. Przenikliwa logika, empatia i urok osobisty wyniosły go z niewielkiego biura przy Water Street do Kongresu, a stamtąd do Gracie Mansion. Ale tego ranka nie przejawiał żadnej z tych wspaniałych cech. Cały był spanikowany.

- Najwyższa pora, pip-pip! - ryknął, gdy stanęliśmy w drzwiach. Chciał nam w ten sposób dać do zrozumienia, że jest wściekły, ale należy do starej szkoły i nie chce używać pocisków na „k” w mieszanym towarzystwie.

Mężczyzna siedzący obok niego podniósł się i wyszedł nam na powitanie. Był to Irwin Diamond, najdawniejszy przyjaciel i najbardziej zaufany doradca Spellmana. Burmistrz czasem wypadał z torów, szczególnie w chwilach kryzysu, a zadaniem Diamonda było przywracać go do pionu. W ratuszu nieoficjalnie nazywano go zastępcą burmistrza do spraw ograniczania szkód.

- Detektyw Jordan, detektyw MacDonald - powiedział, ściskając nasze dłonie. - W tych okolicznościach nie mogę powiedzieć, że cieszę się ze spotkania, ale jestem pewien, że obdarzyliśmy zaufaniem najlepszych przedstawicieli prawa, jakich to miasto ma do dyspozycji. Dziękuję wam za przybycie.

Spellman ponaglająco machnął ręką i polecił:

- Do rzeczy, Irwin.

- Burmistrz cały czas zarządza miastem, do tego prowadzi wyczerpującą kampanię wyborczą - powiedział Diamond. - Ma trochę za dużo na głowie, dlatego nie jest tak czarujący jak zwykle.

- Jeśli to pana pocieszy, my też nie - powiedziała Kylie. - Widok zbrodni zwykle działa przygnębiająco.

- Jasne. Pierwsza i najważniejsza sprawa: wszystko, co usłyszycie w tym pokoju, musi w nim pozostać. - Diamond mówił powoli, wyraźnie wymawiając każde słowo, jak nauczyciel, który pierwszego dnia szkoły wyjaśnia dzieciom zasady zachowania. - Nie należy tego nikomu powtarzać ani wspominać o tym na piśmie w żadnych raportach. Czy mam na to zgodę i akceptację was obojga?

Zgodę i akceptację? Czy tu chodziło o dochodzenie w sprawie zabójstwa, czy o nielegalne ściąganie programu? Przynajmniej nie kazał nam składać uroczystej przysięgi.

Kylie i ja szybko wyraziliśmy zgodę i akceptację.

- Popełniliśmy kilka błędów - mówił Diamond. - Trzy pierwsze ofiary Czyściciela nie były wielką stratą dla miasta. Zamordowani sami byli przestępcami i choć absolutnie nie akceptujemy samosądów, być może nie działaliśmy wystarczająco aktywnie.

- Niewystarczająco aktywnie? - powtórzył Spellman. - Oddano tę sprawę dwóm policjantom od gangów z Chinatown.

Diamond zignorował ten komentarz, natomiast dodał:

- Morderstwo Parker-Steele całkowicie zmienia sytuację. Czyściciel stał się naszym najważniejszym priorytetem, dlatego sprawę przejmuje NYPD. Wy będziecie ją prowadzić.

- A co z dwoma detektywami, którzy zajmowali się nią dotychczas? - zapytałem.

- Będą pracować dla was. Upraszczamy również łańcuch dowodzenia. Będziecie podlegać bezpośrednio kapitan Cates, a ona bezpośrednio gabinetowi komisarza Harriesa.

- Irwin, wideo - ożywił się burmistrz. - Powinni zobaczyć to cholerne wideo.

- Doskonały pomysł. - Diamond rozpromienił się, jakby szef powiedział coś odkrywczego, i zwrócił się do Cates: - Pani kapitan, proszę to dać na duży monitor.

Cates podpięła laptopa, a my zasiedliśmy przed płaskim ekranem wiszącym na ścianie.

Burmistrz zwrócił się do mnie i do Kylie. Pocił się jak mysz, koszulę miał pokrytą plamami wilgoci.

- Przepraszam, nie powinienem na was krzyczeć, kiedy tu weszliście.

- Nie musi pan przepraszać, sir - odezwała się Kylie. - Już tu jesteśmy i zrobimy wszystko, co...

- Ta Parker-Steele - przerwał jej Spellman, podnosząc głos - przyznała, że zamordowała niewinną młodą kobietę. Jak myślę, rzuca to negatywne światło na Muriel Sykes, która wybrała ją do prowadzenia swojej kampanii. Mam rację?

- Stan - wtrącił Diamond. - Oni są policjantami, a nie politykami.

Burmistrz puścił to mimo uszu.

- Ale nie! - Potrząsnął wycelowanym w nas palcem. - Sykes twierdzi, że ta spowiedź była wymuszona. Mówi, że NYPD nie potraktowało poważnie trzech pierwszych morderstw, więc to moja wina. I że gdybyśmy bardziej się skupili na tropieniu przestępców, to Parker-Steele nadal by żyła. A potem robi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i atakuje mnie za zabójstwo Pritchard, twierdząc, że rodzina Parker-Steele zmusiła mnie do zaniechania śledztwa.

- Stan, już o tym wszystkim mówiłeś. - Diamond z westchnieniem nalał wody do szklanki z chromowanego dzbanka. - To jest polityka. Weź się w garść. A co twoim zdaniem miała powiedzieć? Jestem idiotką, bo wynajęłam morderczynię do

prowadzenia kampanii? - Przeszedł przez gabinet i podał wodę burmistrzowi.

- To co innego - odrzekł Spellman. - Ona ma za sobą Leonarda Parkera i Jasona Steele'a. Chcą się mnie pozbyć z tego urzędu i mają na to pieniądze. Do tego jeszcze ten roszczekany kundel, brat Evelyn, Damon Parker. Nietrudno zgadnąć, co powie w telewizji.

- Zapewne powie, że jego siostra jest niewinną ofiarą, i zrzuci całą winę na ciebie - stwierdził Diamond i podał burmistrzowi dwie małe, owalne, różowe tabletki. Xanax, ulubiony zagłuszacz lęków ogarniętych paniką ojców miasta i zestresowanych niepracujących matek.

- Parker-Steele nie jest ofiarą! - wykrzyknął burmistrz, zgarniając tabletki z dłoni Diamonda. - Jest morderczynią! To ja jestem pieprzoną ofiarą!

Wrzucił do ust różowe tabletki, jakby to były cukierki, i popił wodą.

Diamond popatrzył na nas i potrząsnął głową. Były to milczące przeprosiny za niegodne zachowanie polityka.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego nalegał, żebyśmy zaprzysięgli milczenie.

To, co dzieje się w Gracie, nie może wyjść poza jej mury.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Film był załadowany na LiveLeak.com i gotowy do odtworzenia. Na pasku na dole przeczytałem, że trwa cztery minuty i siedemnaście sekund. Zastanawiałem się, ile razy jeszcze go obejrzę, zanim uda nam się zamknąć tę sprawę.

Cates kliknęła „play” i obraz pojawił się na wielkim ekranie.

Evelyn Parker-Steele siedziała na składanym metalowym krześle. Biały kombinezon z tyveku mocno kontrastował z ciemnym tłem. Włosy miała potargane, była bez makijażu. W ostrym świetle bardziej przypominała członka rodziny Mansonów niż kobietę z samego szczytu hierarchii towarzyskiej Nowego Jorku.

- Nazywam się Evelyn Parker-Steele. Dwa lata temu zabiłam Cynthię Pritchard – powiedziała, sepleniąc przez połamane zęby.
- Cynthia pracowała ze mną, była moją przyjaciółką i kochanką. Otwarcie przyznawała się do swojej orientacji seksualnej, ale ja nie.

Oczy miała puste, głos monotony. Trochę poczułem się tak, jakbym znów oglądał film z zakładnikami Al-Kaidy. Zastanawiałem się, czy Evelyn czyta ze skryptu.

- Wychowałam się w domu, w którym homoseksualizm uważano za wymysł szatana. Rodzina nigdy nie zaakceptowałaby mnie takiej, jaką byłam, dlatego udawałam kogoś innego. Wyszłam za mąż dla zachowania pozorów, i taki charakter miało to małżeństwo. Odpowiadało to nam obydwójgu.

- Co w wolnym przekładzie znaczy, że Jason Steele jest gejem – powiedział burmistrz. – Jakby nie było tego widać.

- Stanley! – Diamond wskazał na mnie, Kylie i Cates,

przypominając burmistrzowi, że obowiązuje go polityczna poprawność, i przyłożył dwa palce do ust w uniwersalnym sygnale nakazującym trzymać gębę na kłódkę.

- Przepraszam - mruknął burmistrz bez cienia skruchy.

- Prowadziłam życie seksualne w dyskrecji, a nawet anonimowo - mówiła Evelyn - ale kiedy Cynthia dołączyła do zespołu prowadzącego kampanię Elliotta Winchella, zakochałam się w niej. Spędzałyśmy razem całe dni i noce. Mnie bardzo odpowiadało utrzymywanie naszego związku w tajemnicy, ale Cynthia nie chciała żyć w kłamstwie.

Nastąpiła chwila przerwy, nim Evelyn zaczęła mówić dalej:

- Tego wieczoru, kiedy zginęła, siedziałyśmy u mnie na tarasie. Cynthia dużo wypijała i błagała, żebym zostawiła męża. W Nowym Jorku właśnie zalegalizowano małżeństwa osób tej samej płci, sprawa była głośna, wszyscy o tym mówili. Cynthia chciała, abym powiedziała całemu światu, że się kochamy. Tłumaczyłam jej, że nie jestem w stanie powiedzieć o tym nawet mojemu ojcu, więc jak mogłabym powiedzieć światu, a ona na to, że jeśli ja tego nie zrobię, to ona zrobi to za mnie. Podeszła do krawędzi tarasu, stanęła na kwietniku i zaczęła krzyczeć. - Evelyn ponownie przerwała na moment. - Znajdowałyśmy się czternaście pięter nad Park Avenue. Było ciemno. Pewnie i tak nikt by jej nie usłyszał, a nawet gdyby usłyszał, to myślałam, że zawoła coś w rodzaju: „Evelyn Parker-Steele jest lesbijką!” i na tym się skończy, a rano będziemy się z tego śmiać. Ale ona zrobiła coś innego. Wykrzyknęła: „Leonard Parker serdecznie zaprasza wszystkich na ślub homoseksualnej córki Evelyn z Cynthią Pritchard, piękną i utalentowaną młodą lesbijką. Pan Parker wyraża głęboki żal, że swoimi ciasnymi, homofobicznymi poglądami spieprzył życie córce i...”.

Tym razem zapadło nieco dłuższe, kilkunastosekundowe milczenie, a Evelyn nieruchomo patrzyła w kamerę.

- I wtedy ją zepchnęłam. To się stało w ułamku sekundy. Nie chciałam jej zabić, chciałam tylko powstrzymać. Wpadłam w panikę. Złapałam telefon, żeby wykręcić dziewięćset jedenaście, ale wiedziałam, że jeśli zadzwonię kilka sekund po tym, jak spadła, to będą wiedzieli, że byłam razem z nią, a jeśli mieli uwierzyć, że spadła, to nie mogłam być przy niej. Nie mogłam też wyjść z mieszkania. Ludzie wiedzieli, że jestem w domu. Potem coś mi przyszło do głowy. Poszłam do barku, znalazłam butelkę wódki, wypiałam wielki haust, potem następny i jeszcze jeden. Krztusiłam się przy każdym łyku, ale piłam dalej.

Znów przerwa, tym razem bardzo krótka, a jednak wyczuwalna.

- Policja znalazła mnie nieprzytomną na podłodze w kałuży wymiocin, byłam kompletnie pijana. Nie udawałam, poziom alkoholu w mojej krwi trzykrotnie przekraczał dopuszczalną normę. Zabrali mnie do szpitala. Gdy w końcu trochę otrzeźwiałam, powiedzieli mi, że Cynthia nie żyje. Zaczęłam płakać. Czułam się tak źle, że mogli ze mną porozmawiać dopiero następnego dnia, a do tego czasu ojciec otoczył mnie murem prawników. Powiedziałam policji, że straciłam przytomność już wczesnym wieczorem, a ostatnie, co zapamiętałam, to widok Cynthii, która siedzi na tarasie i pije. Prokurator kupił tę historyjkę. Nie zaszkodziło też to, że ojciec grywał z nim w golfa i popierał jego kampanię reelekcyjną.

Evelyn, wciąż mając wlepione w kamerę oczy, na moment je przymknęła, jakby ciągnęła ostatkiem sił.

- Chcę przeprosić rodziców Cynthii i jej braci. Zabiłam ją, bo nie chciałam, żeby cały świat się dowiedział, co do niej czuję. Ale teraz chcę tego. Cynthia była młodą kobietą obdarzoną wolnym

duchem, jaką ja zawsze chciałam być, i kochałam ją bardziej niż kogokolwiek w życiu. Nie chciałam jej zabić, ale zrobiłam to. Przepraszam. Wiem, co się zaraz ze mną stanie. Nie będzie procesu, sędziego ani ławy przysięgłych. Kiedy zobaczycie to wideo...

Licznik pokazał 4:17 i ekran pociemniał.

Nikt nie odezwał się choćby słowem. Nawet burmistrz siedział cicho. Xanax zaczął już działać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niezła frekwencja, pomyślał Gideon, patrząc na gapiów, którzy wartką strugą zmierzali w stronę karuzeli, porzucając swoje plany na poniedziałkowy poranek.

Tak właśnie jest z nowojorczykami. Przy pięciuset zabójstwach rocznie mają z czego wybierać. Jeśli ktoś zastrzeli staruszkę wysiadającą z taksówki na Madison Avenue, to ludzie będą przeskakiwać nad ciałem, żeby złapać tę taksówkę, ale wystarczy przywiązać martwą bogatą dziwkę w kombinezonie ochronnym do malowanego konia pośrodku Central Parku, a spóźnią się do pracy i będą wyciągać szyje, żeby lepiej widzieć.

Uśmiechnął się. Trzeba dać ludziom to, czego chcą, wtedy przyjdą tłumnie do twoich drzwi. Zapraszam, narodzie.

Ktoś dotknął jego ramienia.

- Jesteś za Czyścicielem czy przeciw? - zapytała jakaś kobieta za jego plecami.

Gideon zastygł. Park pełen był podtykających gapiom kamery i mikrofony reporterów mających nadzieję, że nagrają coś, co przyda się jako podkład do wiadomości. Już powrót w to miejsce był głupim pomysłem, natomiast wywiad do kamery byłby kompletnym szaleństwem.

Obrócił się powoli. To z pewnością nie była reporterka. Raczej nie wkładają do pracy czarnych sportowych biustonoszy.

- Przepraszam, mówiłaś do mnie?

- Tylko jeśli masz ochotę rozmawiać - odparła. - Jestem Andie.

Była od niego co najmniej o pięć lat starsza. Miała brązowe oczy i brązowe włosy zaczesane do góry i przetknięte przez otwór w czapeczce bejsbolowej ozdobionej napisem FDNY. Brakowało

jej bardzo niewiele, by można ją było nazwać ładną, ale wiedziała, co ma najlepszego, i właśnie dlatego w końcu paździenika od pasa w górę ubrana była tylko w sportowy biustonosz.

Wskazał jej czapeczkę.

- Służysz w straży pożarnej, Andie?

- To czapeczka mojego byłego. - Przewróciła oczami na znak, jak bardzo się cieszy, że ten świr zniknął już z jej życia. - O wiele lepiej potrafię rozniecać pożary, niż je gasić.

Gideon miał metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, gęste ciemne włosy, pełne usta, łobuzerski uśmiech i przywykł do tego, że dziewczyny go zaczepiają. A Andie była profesjonalistką. Stała przed nim w takiej pozie, że rozmawiając z nią, musiał patrzeć na jej światowej klasy biust.

Cholera jasna, skarbie, nie mogłaś trafić na gorszy moment, pomyślał Gideon. Miałbym wielką ochotę zabrać twoje ponętne ciało do domu i ujeżdżać do utraty tchu, ale dzisiaj ten tłum jest jedynym afrodyzjakiem, jakiego potrzebuję.

- Czy możesz powtórzyć pytanie?

- Pytałam, co myślisz o Czyścicielu. Sądząc z twojego uśmiechu, jesteś jego fanem.

Uśmiechałem się? - pomyślał trochę spłoszony. Dureń. Dzięki za wskazówkę, Andie.

- Sądziś, że ten facet ma fanów?

- Tysiące, a ja jestem pierwsza. Pewnie stwierdziłbyś w ciemno, że miła młoda Żydówka z Queensu będzie liberalna aż do bólu, ale bardzo byś się pomylił.

- A nie przeszkadza ci, że facet dopuszcza się samosądów? - zapytał Gideon.

- Nic a nic. W tym mieście przydałoby się jeszcze ze stu takich jak on.

- No, no... A cóż takiego się stało tej młodej i miłej Żydówce?

- Została zgwałcona w college'u przez chłopaka z bogatej rodziny. Tatuś przekupił policję, sędziego i szkołę. Wtedy zmieniły się moje poglądy polityczne. Wiesz, bardzo często twardej konserwatysta to tylko kolejny żydowski liberał, na którego ktoś napadł. - Uniosła komórkę. - Widziałeś ten film, który wrzucił Czyściciel?

- Jeszcze nie - oparł Gideon.

- Obejrzyj to, człowieku. Ma już jakieś pięćdziesiąt tysięcy wyświetleń.

Kiedy sprawdzałem ostatnio, miał osiemdziesiąt dziewięć tysięcy, pomyślał.

- Ofiara nazywa się Eleanor czy jakoś tak - mówiła Andie. - Zabiła przyjaciółkę z zimną krwią, ale wywinęła się z tego bez szwanku, bo jest bogata, a jej rodzina potrafi się poruszać w systemie. Czyściciel wypłacił jej tylko to, co jej się należało. Żałuję, że nie mogę mu uścisnąć dłoni.

Oddech Gideona stawał się coraz bardziej wytężony. Uścisnąć mu dłoń? Tej dziewczynie uścisk dłoni by nie wystarczył. Każdego innego dnia, Andie, pomyślał. W każdym innym miejscu.

- Miło mi się z tobą rozmawia, ale muszę uciekać - powiedział.

Andie oblizwała i wydeła usta.

- Szkoda, że nie biegniesz w tę samą stronę co ja. No cóż...
Chociaż powiedz, jak masz na imię.

- Brian - powiedział Gideon.

Wyciągnęła rękę.

- Miło było cię poznać, Brian.

Potrząsnął jej dłonią.

Proszę bardzo, Andie, odparł jej w duchu. Twoje życzenie zostało spełnione.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy zadzwoniła komórka, Cates spojrzała na ekran.

- Matt Smith - wyjaśniła w naszą stronę i odebrała. - Tu kapitan Cates. Masz coś nowego, Matt?

Przez dwadzieścia sekund słuchała, nie zmieniając wyrazu twarzy. Potem podziękowała i rozłączyła się.

- To nasz informatyk. Facet od komputerów - uprościła z uwagi na burmistrza. - Próbował wyśledzić źródło tego filmu, ale załadowano go za pomocą VPN, czyli wirtualnej sieci prywatnej, która maskuje oryginalny adres IP.

Zdesperowany burmistrz wyrzucił dłonie w górę.

- Oczywiście, że IP jest zamaskowane, ale mamy przecież sprzęt wart miliony dolarów i wszystkich tych geniuszy komputerowych. Chce mi pani powiedzieć, że żaden z naszych ludzi nie potrafi tego rozgryźć?

- Sir - powiedziała Cates - wszystkie ładowane dane są zaszyfrowane. Ten, kto wysyła ten filmy, za każdym razem posługuje się inną nazwą użytkownika i innym śmieciowym adresem mejlowym. Więc owszem, mamy mnóstwo sprzętu i fachowców, ale zabójca potrafi zacierać za sobą ślady. Nie da się go zhakować i wyśledzić.

- Jasne - powiedział burmistrz. - Czyli nie potraficie go znaleźć za pomocą tych wszystkich technicznych wynalazków. W takim razie znajdźcie go w stary, dobry sposób, czyli na piechotę. - Podniósł się. - Irwin, czy będziesz mnie jeszcze potrzebował?

- Nie, dam sobie radę - odparł Diamond. - Wiem, że masz przed sobą trudny dzień. Za kilka minut do ciebie dołączę.

Spellman podziękował nam zdawkowo i wyszedł.

- Detektywi - odezwał się Diamond. - Chyba nie muszę wam mówić, że to może być śmiertelny cios dla kampanii wyborczej burmistrza.

- Sir, nie znam się zbyt dobrze na polityce - odparłem - ale ten film z Parker-Steele jest pełen przekonujących szczegółów. Wierzę, że to ona zabiła Cynthię Pritchard.

- Oczywiście, że tak - odrzekł Diamond.

- W takim razie dlaczego ma to nie uderzyć w Muriel Sykes? Najpierw twierdziła, że wyznanie jest fałszywe, a potem zmieniła front i powiedziała, że jeśli Parker-Steele jest morderczynią, to burmistrz zawinił w tym, że nie została pociągnięta do odpowiedzialności. Nie można grać na obie strony jednocześnie.

- Ma pan rację, detektywie - powiedział Diamond. - Rzeczywiście niewiele wie pan o polityce. Zasada numer jeden brzmi: wybory wygrywa ten, kto najlepiej potrafi grać na obie strony jednocześnie.

- Z całym szacunkiem, panie Diamond - wtrąciła Cates. - Niestety, ja wiem trochę więcej o polityce, a skoro jak tu siedzimy zostaliśmy zobowiązani do zachowania tajemnicy, czy możemy wyłożyć wszystkie karty na stół? Informacja to waluta. Im więcej detektywi Jordan i MacDonald będą wiedzieć, tym większe będą mieli szanse rozwiązać tę sprawę.

Diamond zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze, pani kapitan - powiedział w końcu. Popatrzył na Kylie i na mnie. - Muriel Sykes pod jednym względem ma absolutną rację. To była wina burmistrza, że Evelyn Parker-Steele nie stanęła przed sądem. Komisarz Harries chciał przeprowadzić drobiazgowe śledztwo, ale rodzina Evelyn przekonała burmistrza, żeby poparł orzeczenie koronera stwierdzające, że to był wypadek. Burmistrz zgodził się i sprawę umorzono.

- Przekonała? - powtórzyłem.

- Nie musi pan znać wszystkich szczegółów - stwierdził Diamond. - Istotne jest to, że w tej chwili burmistrz wpadł w dołek, a jeszcze gorsze jest to, że sam go sobie wykopał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie można zbłądzić, kumplując się z sierżantem, który siedzi za biurkiem recepcji komisariatu. Jeden telefon do Boba McGratha z dziewiętnastki wystarczył, żeby przed rezydencją czekał na nas nowiutki ford interceptor z kluczykami w stacyjce i bez żadnych dupków w środku.

Usiadłem za kierownicą i skręciłem w East End Avenue.

- Myślisz, że uda nam się dopaść tego faceta w tydzień? - zapytała Kylie.

- Może - odparłem. - Jeśli będziemy działać razem, jako zespół. Gwałtownie obróciła głowę.

- Co to ma znaczyć? Nadal jesteś na mnie wściekły, bo nie pojawiłam się od razu, kiedy sobie tego zażyczyłeś? Posłuchaj, przepraszam, że spóźniliśmy się przeze mnie, ale przecież nadal jesteśmy partnerami!

- Czy tylko mi się zdawało, czy właśnie pełnym zdaniem przeprosiłaś mnie za spóźnienie?

- Słyszałeś. Przepraszam i jestem bardzo wdzięczna, że mnie kryłeś.

Skręciłem w prawo w Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę, zatrzymałem się na przystanku i obróciłem się na fotelu, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

- Nie wiem, czy kłamiesz, czy tylko nie mówisz mi całej prawdy, ale twoje przeprosiny są tyle warte, co przeprosiny faceta, który przynosi żonie kwiaty po tym, jak przez całe popołudnie pieprzył się z sekretarką. „Przepraszam za spóźnienie, kochanie, ale tyle się działo w biurze”. Posłuchaj, Kylie, jestem detektywem i wiem, kiedy ktoś mi nie mówi całej prawdy. W ostatnim miesiącu

spóźniłaś się albo wypadłaś z grafiku trzy razy, więc albo wyjaśnij, co się dzieje, albo powiedz wprost, że osoba, której mam powierzyć swoje życie, nie ufa mi na tyle, by wyjawić, co się dzieje w jej życiu.

Trzeba przyznać, że nie usiłowała się wykręcać.

- Chodzi o Spence'a. - Westchnęła ciężko. - Naprawdę rano upadł pod prysznicem. Był na prochach.

Przerwała na chwilę, dając mi czas, żebym to przyswoił. Owszem, przyswoilem, ale milczałem i nie zmieniłem wyrazu twarzy.

- Minęły już trzy miesiące od historii z Kameleonem. Lekarz wypisał mu receptę i kazał brać jedną tabletkę percocetu co sześć godzin, a on je łyka jak miętówki. Wydaje mu się, że jest sprytny. W butelce, która stoi przy łóżku, ubywa dziennie tylko kilka tabletek, ale zrobił sobie zapas i poutykał je po całym mieszkaniu. Wczoraj wieczorem znalazłam pięćdziesiąt tabletek zawiniętych w folię aluminiową w skarpetce w jego torbie sportowej.

- Skąd je bierze?

- Od jakiegoś doktora Zdrówko czy innego z tych świrów internetowych, którzy wypisują recepty, siedząc w Boliwii. W każdym razie dzisiaj rano, kiedy już go pozszywali na pogotowiu, zapytałam go o to. Powiedziałam, że gdyby nie był moim mężem, na pewno bym na niego doniosła.

- A on co na to?

- Po prostu stał tak ze szklistymi oczami, nabrzmiałą twarzą i z torbą gimnastyczną wypchaną oksykodonem i powtarzał, że się mylę, że może zwiększył sobie trochę dawkę, ale ma wszystko pod kontrolą i jak tylko będzie w stanie lepiej utrzymać się na nogach, to przerzuci się na advil. Jest w fazie kompletnego zaprzeczenia, a ja nie mam pojęcia, co powinnam zrobić.

- Nic nie możesz zrobić, Kylie. To zrehabilitowany narkoman. Od dawna nic nie brał.

- Od jedenastu lat - dodała.

- Więc wie, co powinien zrobić - ciągnąłem. - Chodzić na spotkania, zadzwonić do sponsora, nawet pójść na odwyk, jeśli jest bardzo źle. Ale tylko on może to zrobić, nikt inny, tylko on. Ty nie wyciągniesz go z rynsztoka.

Wzięła długi, głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Zach, jestem policjantką i boję się, że jeśli ktoś się dowie, że mój mąż jest narkomanem, to tenże mąż pociągnie mnie ze sobą do tego rynsztoka.

- Nikt się nie dowie. W każdym razie nie ode mnie.

- Dzięki. - Do oczu napłynęły jej łzy. - Partnerze.

Wrzuciłem bieg i skręciłem na zachód w Osiemdziesiątą Szóstą.

Zakochałem się w Kylie, kiedy poznałem ją w akademii. Była świeżo po rozstaniu ze swoim chłopakiem narkomanem i z radością przyjąłem rolę klina, ale Spence chciał z nią być tak samo jak ja. Poszedł na odwyk, po dwudziestu ośmiu dniach wrócił czysty i błagał Kylie o jeszcze jedną szansę. Powiedziała „tak”, a po roku powtórzyła to słówko na ślubie.

Minęło dziesięć lat, a ja wreszcie pogodziłem się z myślą, że Kylie i Spence są bogaci, szczęśliwi i zakochani. Piękna para, jaką każdy, kto cokolwiek znaczy w Nowym Jorku, chciałby zaprosić na kolację do swojego miejskiego penthouse’u, rezydencji w Hamptons albo na jacht.

Owszem, pogodziłem się z tą myślą, ale nie odkochałem. Mimo to ruszyłem dalej. Przez jakiś czas objąłem się po nowojorskim rynku singli i po serii krótkich związków w końcu znalazłem Cheryl.

Cheryl Robinson była pierwszą kobietą, która spełniała

wyśrubowane standardy, jakie sobie wyznaczyłem po utracie Kylie. Znamy się już od kilku lat, ale sprawa zaczęła wyglądać poważnie zaledwie trzy miesiące temu i zacząłem już mieć nadzieję, że Cheryl może się okazać tą jedyną. A teraz nagle związek Kylie i Spence'a zaczął się rozsypywać.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, kibicowałbym przy naprawie związku i czekał, żeby życie Kylie wróciło na poprzednie tory, ale ta kobieta nie była podobna do żadnej innej.

Mówiąc wprost, w tamtej chwili sam nie wiedziałem, co tak naprawdę czuję.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdzieś między Osiemdziesiątą Szóstą Ulicą a miejscem zbrodni udało mi się skupić myśli na fakcie, że choć ja sam jestem nienormalny, gdzieś w tym mieście jest jeszcze bardziej nienormalny facet z dostępem do nieograniczonej liczby kombinezonów ochronnych.

- Pieprzyć wybory! - wybuchnęła Kylie, a ja już wiedziałem, że myśli o tym samym co ja. - Irwin Diamond ma rację. Nie jesteśmy politykami, tylko glinami, i naszym zadaniem jest złapać Czyściciela, zanim porwie i zabije następną niewinną... poprawka: nie tak całkiem niewinną ofiarę. Od czego zaczniemy?

- Dryden podał nazwiska dwóch detektywów, którzy pracowali nad tą sprawą, Donovan i Boyle z piątki, ale wolę się jeszcze wstrzymać z kontaktem. Nie miałem okazji ci powiedzieć, ale spotkałem w parku dwóch z oddziału prewencji. To oni zgłosili morderstwo. Kazałem im trochę posprawdzać. Spróbujmy ich najpierw znaleźć.

- Robota na piechotę - powiedziała Kylie. - O wiele skuteczniejsza niż te nowomodne komputery.

- Daj już spokój nieszczęsnemu burmistrzowi. Znajomość policyjnej roboty nie jest jego najmocniejszą stroną.

- Tym bardziej nie powinien blokować dochodzenia w sprawie śmierci Cynthii Pritchard. Jeśli przegra wybory, dostanie to, na co zasłużył. A skoro już zawierzam ci moje najbardziej mroczne sekrety, to jest coś jeszcze, o czym ci dotąd nie powiedziałam.

- Co takiego?

- Bez względu na to, czy uda nam się rozwiązać tę sprawę do następnego wtorku, czy nie, i tak zagłosuję na Sykes.

Teren dookoła karuzeli wyglądał jak punkt zbiórki akcji flash mobu, kiedy to ludzie gromadzą się w jakimś dziwacznym celu, a potem znikają.

Na razie nie znikli.

- To nasze miejsce zbrodni czy koncert Bon Jovi? - skomentowała Kylie, w sumie mając dość podobne skojarzenie.

Wysiadłem z samochodu i usłyszałem:

- Detektywie Jordan!

Casey i Bell przepychali się przez tłum w naszą stronę. Doprowadzili się już do porządku, ale nadal wyglądali na mocno nieświeżych.

- Jezu, jak się cieszę, że już jesteście - powiedział Casey.

- Przepraszam, że musieliśmy na chwilę zniknąć - odpowiedziałem. - Pewnie was to trochę przerosło.

- Może trochę - z uśmiechem odparł Bell.

- Raczej bardzo - poprawił go Casey. - Ta sprawa przerasta o lata świetlne wszystko, nad czym dotychczas pracowaliśmy. Ale mamy dla was trochę ciekawych wiadomości, a także coś, co na pewno wam się nie spodoba.

- Najpierw poznajcie moją partnerkę - powiedziałem. - Detektyw MacDonald. A to są ci dwaj, których zatrudniłem, detektywi Casey i Bell. - Cała trójka pokiwała głowami, a ja spytałem: - No dobra, co macie?

- Znaleźliśmy składany wózek na zakupy zostawiony między drzewami przy przecznicy, która odchodzi od Sześćdziesiątej Piątej Ulicy - powiedział Casey. - W tej okolicy takie rzeczy są cenne, więc nie mógł tu leżeć długo, bo ktoś już by go zgarnął. Mówił pan, że Parker-Steele zniknęła w piątek, więc on nie zabił jej w parku, tylko gdzieś indziej, a tu tylko podrzucił ciało.

Dryden powiedział nam to już wcześniej, ale nie przerywałem.

- Naszym zdaniem - przejął pałeczkę Bell - zabił Parker-Steele, wepchnął ją do torby, przywiózł tu samochodem i zaparkował gdzieś w pobliżu.

- Czy moglibyście sprawdzić w drogówce wszystkie mandaty za parkowanie, które wystawiono w promieniu dziesięciu przecznic od głównych wejść po wschodniej i po zachodniej stronie? - zapytała Kylie.

- Sprawdzimy, ale nie miałbym wielkich nadziei - skwitował Bell. - Za dnia trudno tu zaparkować, ale po dziesiątej wieczorem jest mnóstwo wolnych miejsc, w których mógł stanąć legalnie.

- A zatem zaparkował w pobliżu - powiedziałem. - I co waszym zdaniem było dalej?

- Zapakował ciało do wózka i wszedł do parku. Był tak samo niewidoczny, jak wszyscy bezdomni, którzy się kręcą po ulicach - stwierdził Casey. - Wtapiał się w tłum, tak samo jak my wtopiliśmy się z Bellem. Potem przeciął kłódkę na bramie, przywiązał ciało do konia, zrobił zwarcie w panelu elektrycznym, żeby uruchomić karuzelę i muzykę, znów zamknął bramę, wrzucił wózek między drzewa, przeskoczył przez murek i poszedł ulicą do samochodu.

Patrzyli na nas jak szczeniaki, które po raz pierwszy przyniosły patyk i czekają na pochwałę.

- Dobra robota - powiedziałem szczerze. - Zauważyliście w tym tłumie kogoś, kto wyglądał podejrzanie?

Wybuchnęli śmiechem, a po chwili Bell oznajmił:

- W tym tłumie każdy wygląda podejrzanie. Martwa dama wirująca na karuzeli w kombinezonie ochronnym przyciąga wszystkich świrów jak magnes. Żeby wyróżnić się z tego tłumu, morderca musiałby nosić na piersi tabliczkę z napisem „ja to zrobiłem”.

- Hej, wy tam!

Odwróciłem się. Dwóch mężczyzn przeszło pod taśmą otaczającą miejsce zbrodni i zmierzało w naszą stronę.

- Co wy tu, do cholery, odstawiacie? - wykrzyknął jeden.

- Niech się pan trzyma swojego kapelusza, detektywie Jordan - powiedział Casey.

- Znasz ich?

- Poznaliśmy ich dziesięć minut temu. Pamięta pan, że powiedziałem, że jest coś, co się wam nie spodoba? Właśnie tu idą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Nazywają się Donovan i Boyle - oznajmił Casey. - Zachowują się jak kretyni. Latają dokoła i opowiadają wszystkim, że są...

- Wiem, co opowiadają - przerwałem mu. - Dzięki. Zajmę się nimi.

Kylie pochwyciła mnie za rękę.

- Zach, jestem w podłym nastroju. Pozwól, że wyładuję się na kimś jeszcze oprócz ciebie.

- Proszę cię bardzo. - Odsunąłem się na bok.

Donovan i Boyle przebiegli przez trawnik i zatrzymali się przed nami. Zanim zdążyli się odezwać, Kylie przystąpiła do ataku:

- Co wy wyprawiacie, do cholery? Cofnijcie się! To jest miejsce przestępstwa!

Jeden miał ponad metr osiemdziesiąt, ciemne włosy i twarz ładnego chłopaczka. Drugi był niższy i znacznie brzydszy, z cienkimi ustami i fryzurą na rekruta. Nadal nie wiedziałem, który jest który.

- To nasze miejsce przestępstwa - podkreślił rekrut. - Nazywam się Boyle, a to jest Donovan. Prowadzimy sprawę Czyściciela.

- Z tego, co słyszałam, do niczego jej nie doprowadziliście. Od godziny ta sprawa jest nasza.

- Kto tak mówi?

- Moja szefowa, kapitan Delia Cates, jej szef, komisarz Richard Harries, a także jego szef, burmistrz.

- Gówno prawda - powiedział Boyle. - Dlaczego nas odwołano?

- Nie odwołano was - wyjaśniła Kylie. - Sprawa została przekazana do NYPD Red. Jestem MacDonald, to jest Jordan, a was przydzielono nam do pomocy.

- Mamy pracować dla was? - obruszył się chłopaczek.
- Ma pan z tym jakiś problem, detektywie Donovan?
- Jak najbardziej mam.
- W takim razie proszę przesłać wszystko, co macie na temat Czyściciela, do naszego biura, a dalej już my się tym zajmiemy.
- Jeszcze czego! Nikogo w Red nie obchodziły trzy pierwsze ofiary, ale teraz, gdy sprawa otarła się o Muriel Sykes, burmistrz się wtrąca i przekłada ją na samą górę sterty. Co wam kazał zrobić? Wygrzebać jak najwięcej brudów związanych z Parker-Steele, żeby miał czym storpedować kampanię Sykes?
- Tu nie chodzi o politykę, tylko o znalezienie seryjnego mordercy - powiedziała Kylie.
- A jak się pani wydaje, co robiliśmy przez te ostatnie cztery miesiące?
- Zabawne, ale o to samo zapytał burmistrz. „Co, do diabła, ci dwaj policjanci robili przez ostatnie cztery miesiące?”. Jeśli nie podoba wam się jego decyzja, to możecie złożyć skargę w departamencie.
- Donovan popatrzył na swojego partnera. Najwyraźniej nie podobało im się, że mają grać drugie skrzypce, ale nie mieli żadnych argumentów, a Kylie dobrze o tym wiedziała. Potem popatrzył na mnie, jakby miał nadzieję, że przemówię jej do rozumu, ale nawet nie mrugnąłem okiem.
- Zdecydujcie się, chłopcy - powiedziała. - Jedzicie z nami?
- Jeśli oni nie chcą - wtrącił Casey - to ja i Bell bardzo chętnie...
- Spadaj - powiedział Donovan. - To była nasza sprawa od samego początku. Nie damy się z niej wygrzyść przez jakieś polityczne gówno. Zostajemy.
- Na początek możecie w ciągu dwudziestu minut dostarczyć wszystkie akta do nas, do dziewiętnastki. - Kylie podała mu

wizytówkę. - Nie omieszkać wspomnieć burmistrzowi, że byliście bardzo pomocni i chętni do współpracy.

Dwa szczawie wyglądały tak, jakby ktoś im zabrał ulubioną piszczącą zabawkę.

- Czy to znaczy, że nie będziecie nas potrzebować? - zapytał Bell.

- Bardzo nam pomogliście. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni - powiedziałem.

- Ale oni wchodzą, a my wychodzimy - stwierdził.

Skinąłem głową. Kylie, która zawsze lubi mieć ostatnie słowo, tym razem powiedziała aż dwa:

- Na razie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Wyrzuciłaś już z siebie cały jad? - zapytałem Kylie, gdy obie pary detektywów oddaliły się każda w swoją stronę.

- Zawsze mam przy sobie rezerwowy zasobnik - odszczeknęła się.

- Kiepsko, że musieliśmy wymienić dwóch bojowych gliniarzy na dwóch z kijem w dupie.

- Zach, możemy zatrzymać całą czwórkę - podrzuciła. - W takiej sprawie mamy wolną rękę. Możemy nawet zebrać pięćdziesięcioosobowy oddział i zagrzebać się w naszej prywatnej biurokracji, ale tak naprawdę będzie najlepiej, jeśli my dwoje zrobimy to, w czym jesteśmy najlepsi. Poprosiłam Donovana i Boyle'a, żeby zostali, bo na tę chwilę wiedzą znacznie więcej od nas. Ale jak tylko nabierzemy tempa, skorzystam ze swojego zasobnika i powiem im, żeby zasilili drogówkę.

Spędziliśmy na miejscu przestępstwa jeszcze godzinę. Ludzie Chucka Drydena wciąż przeczesywali teren, ale oprócz wózka na zakupy nie znaleźli nic więcej, więc pojechaliśmy do biura.

Red nie ma własnego lokalu. Podobnie jak wiele innych elitarnych jednostek, korzystamy z pomieszczeń zwykłego komisariatu. W naszym przypadku jest to Dziewiętnasty Komisariat przy Wschodniej Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, między Trzecią Aleją a Lexington. Dziewiętnastka zatrudnia ponad dwustu mundurowych i kilkudziesięciu detektywów, ale budynek jest duży i Red zmieściło się na drugim piętrze, z dala od codziennego młyna na dole.

Ale i tak musimy przechodzić przez ten młyn, żeby się dostać na górę, a nie można tamtędy przejść, nie będąc dostrzeżonym przez

Boba McGratha, sierżanta, który siedzi w recepcji przy wejściu.

- Dzięki za samochód, sierżancie - powiedziała Kylie.

- Nie ma sprawy - odparł McGrath. - Chwileczkę, mam coś dla was.

Sięgnął pod biurko i wyciągnął kartonowe pudełko na akta.

- Właśnie to przyniesiono. To akta Czyściciela.

Wziąłem je do ręki. Prawie nic nie ważyło.

- To wszystko? - zdziwiłem się. - Tylko jedno pudełko?

- To mi przekazano i to pokwitowałem. Chcecie zobaczyć?

- Nie, sierżancie. Po prostu spodziewaliśmy się, że będzie tego więcej.

- Przykro mi, że jesteście rozczarowani. Czasami dostajemy dziesięć, dwadzieścia pudełek i detektywi marudzą, że do końca świata tego wszystkiego nie przejrzą. Tu jest o wiele mniej papierów. Myślałem, że was to ucieszy.

- Wiesz, jak to jest z detektywami - powiedziałem. - Nigdy z niczego się nie cieszymy.

Zabrałem pudełko do gabinetu. Kylie otworzyła drzwi.

- I to jest wszystko, co zebrali po czterech miesiącach dochodzenia? - narzekała. - Widzę tu tylko cztery teczki: Alex Kang, Sebastian Catt, Antoine Tinsdale i Donald Li.

- Te trzy pierwsze nazwiska to poprzednie ofiary. A kim jest Li? Kylie przerzuciła teczkę.

- Magister pracy socjalnej. To detektyw, rozpracowuje gangi w Chinatown. Donovan i Boyle prosili, żeby sporządził profil zabójcy.

- To psychiatra?

Popatrzyła jeszcze raz.

- Nie ma „dr” przed nazwiskiem, więc wątpię.

Wyciągnąłem jego teczkę z pudełka.

- Znam prawdziwą lekarkę, która doskonale potrafi sporządzać profile. Zajrzę do gabinetu Cheryl i poproszę, żeby rzuciła okiem na te papiery. Zaraz wracam.

- Myślałam, że jest w Bostonie - powiedziała Kylie, gdy szedłem do drzwi.

- Wyjechała tylko na weekend. Wróciła dzisiaj z samego rana.

- Czyli nie widziałeś jej... od kiedy? Od piątku?

- Od czwartku po południu.

- W takim razie wątpię, czy szybko wrócisz, ale nie siedź tam zbyt długo. Wybory są od jutra za tydzień.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Niech Bóg błogosławi Freda Robinsona.

Przez jedenaście lat był mężem pięknej, inteligentnej i pewnej siebie kobiety. Potem rzucił ją dla młodszej, głupszej i bardziej zależnej.

Jego strata, mój zysk. Poznałem Cheryl cztery lata temu, gdy miałem nadzieję dostać się do Red. Jest psychiatrą, więc skierowano mnie do niej, żeby zbadała mój umysł i sprawdziła, czy się nadaję.

Widziała, że denerwuję się jak diabli, i uśmiechnęła się.

- Proszę się tak nie martwić, detektywie Jordan. Nie gryzę.

Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby pani gryzła, pani doktor, pomyślałem mimo tych nerwów. Czerwone usta, życzliwe brązowe oczy i gładka karmelowa cera w otoczeniu falistych, czarnych jak smoła włosów. Miałem tylko dwadzieścia dziewięć lat, ale byłem już gotów, żeby odhaczyć na mojej liście rzeczy do zrobienia seks z gorącą latynoską psycholożką.

Dwa lata później Cheryl powiedziała mi, że w dziewięćdziesięciu procentach jest Irlandką, ale dzięki portorykańskiej babci wygląda na Irlandkę tak samo jak Jennifer Lopez. Wtedy jednak wciąż nosiła obrączkę i uznałem, że podrywanie mężatki podczas rozmowy o pracę nie przysłużyłoby się mojej karierze.

Rozmawialiśmy o moim pochodzeniu, zarówno osobistym, jak i zawodowym, a potem zadała kluczowe pytanie:

- Czy sądzi pan, że bogaci i wpływowi ludzie zasługują na lepszą ochronę i pomoc ze strony policji?
- Absolutnie nie - powiedziałem przekonany, że to najgorsza

możliwa odpowiedź w sytuacji, gdy człowiek próbuje się dostać do superelitarnej jednostki stworzonej po to, by służyła bogatym i sławnym.

Nie zareagowała miną czy komentarzem, zapytała tylko:

- Czy mógłby pan to rozwinąć?

- Bogaci nie zasługują na lepszą ochronę policji niż bezdomni. Zasługują jednak, szczególnie gdy stają się ofiarą przestępstwa, na policjanta, który jest wrażliwy na ich potrzeby, a nie na takiego, który czuje do nich niechęć, bo są bogaci, rozpieszczeni i mają przerost ego.

- Detektywie Jordan, pochodzi pan z klasy pracującej. Naprawdę uważa pan, że poradzi pan sobie z kimś takim jak Donald Trump? Dlaczego pan tak sądzi?

- Moja matka była charakteryzatorką. Pracowała w filmach, w telewizji, przy zdjęciach z modelami. Miała do czynienia z nimi wszystkimi, z aktorami, primadonnami, gwiazdami rocka. Jedno bardziej roszczeniowe od drugiego. Nauczyła mnie, jak należy ich traktować.

- Jak?

- Zawsze powtarzała, że bym nie próbował ich zmieniać. Cały czas mam pamiętać, że w głębi duszy są równie niepewni siebie, jak wszyscy inni. I żadne pomieszczenie nie jest wystarczająco duże dla dwóch narcyzów, więc powinienem zostawiać swoje ego za drzwiami.

- Miał pan mądrą matkę - stwierdziła Cheryl. - Wygląda na to, że potrafiła się dogadać z każdym.

- Prawie z każdym, oprócz tego jednego faceta, z którym kłóciła się przez cały czas.

Wszyscy uwielbiają plotki ze świata show-biznesu i wiedziałem, że ją tym kupiłem.

- Nie musi pan podawać jego nazwiska, ale umieram z ciekawości. Kto to był?

- Mój ojciec.

Dostałem tę pracę.

Szybko zaprzyjaźniliśmy się z Cheryl, a potem, kiedy jej małżeństwo zaczęło się rozsypywać, zostałem jedynym jej przyjacielem, do którego miała zaufanie. A dwa tygodnie po jej rozwodzie nasza przyjaźń rozszerzyła się na nowy, fantastyczny obszar.

Drzwi do gabinetu Cheryl były otwarte. Gdy wszedłem do środka, podniosła się zza biurka, objęła mnie i mocno pocałowała.

- Boże, jak się cieszę, że cię widzę - powiedziała, przyciskając się do mnie.

Niektóre części mojego ciała mimowolnie zwiotczały, a inne wręcz przeciwnie. Cheryl i ja byliśmy razem zaledwie od kilku miesięcy i nie byłem jeszcze gotów na tak namiętne powitanie, ale moje ciało przeszło na pilota automatycznego i biodra zaczęły zataczać niewielkie kółka przy jej biodrach.

- Jak bardzo się cieszysz, że mnie widzisz? - zapytałem, zamykając drzwi i popychając ją w stronę pełnej pokus błękitnej sofy, która przydawała się, gdy Cheryl musiała pracować do późna.

- Zwariowałeś. - Odepchnęła mnie lekko, ale nie wyrwała się z moich objęć.

- Zwariowałem? Kiepska diagnoza, pani doktor. Powiedz raczej, że mam podwyższony poziom libido. - Zacząłem rozpinać jej bluzkę. Sądziłem, że napotkam opór Cheryl, ale zaczęła mnie całować i obmacywać.

- Zamknij drzwi na klucz - szepnęła.

Puściłem ją, obróciłem się i sięgnąłem do zamka. W tej samej chwili ktoś po drugiej stronie kopnął w drzwi. Nie, nie zastukał, ale właśnie mocno kopnął.

- Chwileczkę! - wykrzyknąłem, czekając, aż Cheryl wróci za biurko i zapnie bluzkę.

Otworzyłem drzwi. To był Matt Smith.

- Zach, jak się miewasz? Gdybym wiedział, że cię tu spotkam, to przyniósłbym ci kawę.

Prawdziwy nowojorczyk powiedziałałby: „kawę”, ale Matt jest z brytyjskiego importu, więc zabrzmiało to jak „kah-wę”. W obu dłoniach trzymał kubki ze Starbucksa i dlatego musiał kopnąć w drzwi, zamiast po prostu otworzyć je i wejść.

- Pomyślałem, że przyda ci się coś mocniejszego - powiedział, stawiając kubek na biurku Cheryl. - Sojowe latte z dodatkowym espresso. Dobrze?

Oczy jej się rozświeciły.

- Dziękuję, Matt. Nie musiałeś...

- Cała przyjemność po mojej stronie. To ja dziękuję za tę książkę. Przeczytałem ją przez weekend i oczy mi się otworzyły. Mam kilka pytań, ale to może poczekać. Zdaje się, że jesteście zajęci. Zach, słyszałem, że dostałeś sprawę Czyściciela. Próbowałem wysledzić źródło ostatniego filmu, który wrzucił, i do niczego nie doszedłem, ale mam nadzieję, że mimo wszystko przyda ci się technik.

Matt jest maniakiem komputerowym i gdyby go o to poprosić, pewnie potrafiłby zhakować Pentagon. Jest inteligentny, ma analityczny umysł i doskonale się z nim pracuje. Bez żadnych wątpliwości to nasz najlepszy informatyk. Jest z nim tylko jeden problem: nie wygląda na komputerowca. Prawdę mówiąc, bardziej przypomina Davida Beckhama niż Billa Gatesa. A w tej

chwili irytował mnie jak wszyscy diabli.

- Z całą pewnością mi się przydasz - powiedziałem.

- Super! - Jego szeroki, idealny uśmiech kompletnie zaprzeczał wszystkiemu, co przez całe życie słyszałem o pożałowania godnych brytyjskich dentystach.

Wyszedł z gabinetu i zaczął zamykać za sobą drzwi.

- Zostaw otwarte - powiedziała Cheryl. - Przyda nam się trochę świeżego powietrza.

- Jak zrozumiałem, już nie wrócimy do tego, co przerwaliśmy - powiedziałem, gdy Smith znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Nie wiem, co mi się stało, Zach, ale teraz, gdy miałam chwilę, żeby się zastanowić, przypominałam sobie, że to jest komisariat policji.

- I co z tego? Przecież nie mieliśmy zamiaru popełniać przestępstwa.

- Weź się w garść, kowboju. Skończymy po pracy. Obiecuję, że warto poczekać.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że ma rację.

Powtórzę to jeszcze raz: niech Bóg błogosławi Freda Robinsona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Meble w pokoju Cheryl były zbyt dobrze zaprojektowane i zbyt wygodne jak na standardy departamentu policji. Urządziła ten gabinet na własny koszt. Tkaniny i kolory stanowiły miły kompromis między zawodową a kobiecą stroną jej charakteru. Na ścianie wisiały dyplomy, ale Cheryl nie przyniosła tutaj żadnych osobistych zdjęć. W końcu była psychiatrą.

- Siadaj, detektywie - powiedziała, a sama usiadła za stolikiem ze szklanym blatem, który służył jej za biurko.

Usiadłem naprzeciwko na krześle dla gościa pokrytym brzoskwiniową tkaniną.

- A zatem ty i Kylie przejmujecie sprawę Czyściciela - stwierdziła tonem do bólu rzeczowym.

- Jego ostatnia ofiara to Evelyn Parker-Steele.

- Wiem. Widziałam ten film. Biedna kobieta. W czym mogę pomóc?

- Akta trzech pierwszych ofiar są bardzo cienkie. Jeszcze ich nie przejrzelіśmy, ale jest tam jeszcze czwarta teczka, profil mordercy. Chciałbym, żebyś rzuciła na to okiem.

Położyłem teczkę na jej biurku. Popatrzyła, ale nie sięgnęła po nią, tylko zdjęła pokrywkę z kubka i napiła się kawy.

- Kto sporządził ten profil?

- Nazywa się Donald Li.

- Nie znam go.

- Raczej nie gra w twojej lidze. To detektyw z Chinatown. Magister pracy socjalnej.

Przesunęła teczkę na moją stronę stołu.

- Wiesz doskonale, że chętnie ci pomogę, ale nie zamierzam

tego oglądać. Pokaż, co masz na temat ofiar Czyściciela, a zrobię to od początku.

- Taki właśnie miałem plan. Może przyszedłem z tym trochę za wcześnie, ale chciałem jak najszybciej cię włączyć.

- Wydaje mi się, że chciałeś mnie położyć na tej sofie. - Znów sięgnęła po kawę.

- To też. Nie widziałem cię od czterech dni i potrzebowałem jakiegoś pretekstu, żeby tu zajrzeć. Tateczka to był głupi pomysł. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy, żeby ci przynieść kawę. Sojowe latte z dodatkową porcją espresso. Nie wiedziałem, że to twój ulubiony narkotyk.

- Bo kiedy spotykam się z tobą wieczorami, wolę chardonnay, niestety w ciągu dnia w wydziale krzywo na to patrzą.

- Ale Matt Smith wie, co pijasz.

- Tak. Ma gabinet za ścianą.

- I przynosi ci kawę?

- Nie. Przyniósł ją w podziękowaniu. Dałam mu książkę o kolejności urodzin.

- Dlaczego?

- Ma dwóch braci. Jeden młodszy, drugi starszy...

- No tak, syndrom średniego dziecka - skomentowałem. - Biedny Matt dostawał od rodziców za mało uwagi i dlatego teraz szuka miłości nie tam, gdzie powinien.

- Na litość boską, przyniósł mi tylko kawę. To miły gest i miły facet.

- Owszem. Miły, przystojny i samotny. Chcesz mi powiedzieć, że to był tylko gest wdzięczności za książkę? Nie próbował cię podrywać?

- Może próbował. Od jakiegoś czasu jestem samotna i nikt, poza kapitan Cates i Kylie, nie wie, że spotykam się z tobą. Matt nie

widzi przeszkód, więc może próbował ze mną flirtować, ale nie reagowałam.

- Jasne. Przecież ja tu stałem.

- Zach, jako kobiecie pochlebiamy mi te idiotyczne wnioski, które pochopnie wyciągasz, ale jako psychiatra mogę powiedzieć tylko jedno: weź się w garść.

Latte wystygła. Cheryl siedziała za stołem, patrząc na mnie i popijając z kubka.

- Dobra kawa, kochanie? - zapytałem, starając się naśladować brytyjski akcent.

- Niezła. - Udało jej się nie uśmiechnąć.

- Czyżbyśmy właśnie przeszli przez naszą pierwszą kłótnię?

Zastanowiła się nad tym.

- To nie było nic wielkiego, ale owszem, tak.

- To dobrze - stwierdziłem. - W takim razie jest coś, czego mogę teraz wyczekiwać.

- Większej kłótni?

- Nie. - Sięgnąłem po teczkę i ruszyłem do drzwi. - Seksu na zgodę.

Nie obejrzałem się, ale słyszałem jej śmiech.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Jesteśmy w głębokiej dziurze - powiedziała Kylie, kiedy znów usiadłem za swoim biurkiem.

- W głębszej niż dziesięć minut temu, kiedy wychodziłem?

Podniosła jedną z teczek Czyściciela, które właśnie dostaliśmy.

- Czy pamiętasz, kto wpadł na ten doskonały pomysł, żeby zatrzymać Donovana i Boyle'a przy tej sprawie?

- Zdaje się, że to ciebie skusiły ich błyskotliwe osobowości, a także to, cytuję, że „wiedzą znacznie więcej od nas”.

- Bardzo się pomyliłam w obu sprawach. - Rzuciła teczkę na biurko. - Tu nic nie ma.

- Co to znaczy nic?

- Głównie to dokumentacja uzupełniająca. Życiorysy, badania lekarskie, kartoteki policyjne. Więcej byśmy się dowiedzieli, czytając felietony Pete'a Hamilla w *Daily News*. Trzy morderstwa, Zach. Ci goście prowadzili dochodzenie w sprawie trzech morderstw i znaleźli zero poszlak.

- W takim razie nam się poszczęściło - skomentowałem. - Mamy czwarte morderstwo, którego jeszcze nie zdążyli spieprzyć. Odłóż to na bok i zaczniemy od Evelyn Parker-Steele. O tej sprawie to my wiemy najwięcej.

- Chyba straciłeś kontakt z rzeczywistością! - parsknęła. - Guzik wiemy, może tylko to, co powiedział nam polityk, który gada jak katarynka. I to było jeszcze wtedy, zanim Parker-Steele zmieniła status z zaginionej na denatkę i zanim wyznała, że zamordowała swoją kochankę. Moim zdaniem jesteśmy dopiero na starcie.

- Masz rację, Kylie. W takim razie zacznijmy od przejrzenia

mejli, billingów i transakcji kartą kredytową. Zobaczymy, co uda nam się znaleźć i czy Parker-Steele знаła którąś z pozostałych trzech ofiar.

- Sądząc po kręgach, w których się obracali, najprawdopodobniej nigdy nie widziała ich na oczy, ale oczywiście sprawdzimy, czy jednak nie są w jakiś sposób powiązani. Może mieli wspólnego wroga? Trzeba też porozmawiać z rodziną. Zobaczymy, co nam powiedzą.

- Doskonały pomysł - skwitowałem. - Tryliarderzy znani są z tego, że z wielką ochotą wywlekają na widok publiczny rodzinne brudy, żeby pomóc władzom w dojściu do prawdy. I kto tu traci kontakt z rzeczywistością?

- Okej, teraz to ty masz rację. No dobra, na początek zadzwońmy do Muriel Sykes. Nawet jeśli nic nie wie, to w każdym razie dostaniemy komputer Evelyn.

Sykes podała nam numer prywatnej komórki w sobotę, kiedy zadzwoniła, żeby zgłosić zaginięcie Evelyn, więc Kylie go wystukała.

- Pani Sykes, mówi detektyw MacDonald. Ja...

Sykes przerwała jej i minęło dobrych dwadzieścia sekund, zanim Kylie udało się dobrać do słowa.

- Zadzwoiłam w pierwszej wolnej chwili. Byliśmy na miejscu przestępstwa i... - Przerwa, a potem: - Jak to, na jakim miejscu przestępstwa? Byliśmy w Central Parku, gdzie Ev...

Sykes znów jej przerwała. Wyraz twarzy Kylie zmienił się ze zdesperowanego na zmieszany.

- Nie, nikt nam nie powiedział. Kiedy pani to zgłosiła? To siedemnasty komisariat. Co skradziono? - Obróciła się do mnie i samym ruchem ust puściła całą wiąchę przekleństw. - Proszę tam zostać. Będziemy za... - Znów kilka sekund ciszy, a potem

Kylie wybuchnęła: - W takim razie gdzie pani teraz jest, pani Sykes? Gdzie?

Ruchem ręki kazała mi się podnieść. Ruszyłem za nią w stronę drzwi.

- Proszę niczego nie dotykać - powiedziała do telefonu. - I nikogo nie wpuszczać. Będziemy za pięć minut.

Wyłączyła telefon i zbiegła po schodach, krzycząc:

- Niech to szlag! Niech to jasny szlag! Jesteśmy parą kretynów!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ford interceptor stał przed komisariatem. Kylie usiadła za kierownicą i ledwie zamknąłem drzwi, pognąła na zachód Wschodnią Sześćdziesiątą Siódmą. Włączyła światła i syrenę i na czerwonym świetle wjechała w Lexington, potem ostro skręciła w prawo w Park Avenue i na sygnale popędziła w stronę centrum.

- Jedziemy na kodzie trzy? - Musiałem krzyknąć, żeby usłyszała mnie poprzez wycie syreny. Kodu trzy wolno używać tylko w sytuacjach zagrożenia życia. Nie można zlekceważyć wszystkich przepisów ruchu drogowego, ale wolno wymuszać pierwszeństwo. Kod dwa przeznaczony jest dla sytuacji o wysokim priorytecie, ale niezagrażających życiu, więc obowiązuje przy nim cały kodeks drogowy.

- Kod dwa i pół. Spróbuję nikogo nie zabić - powiedziała.

- To zwolnij.

Nie wcisnęła hamulców, ale trochę zdjęła nogę z gazu.

- Gdzie jedziemy i dlaczego jesteśmy kretynami? - zapytałem.

- Jakie było największe... nie, jedyne zmartwienie burmistrza Spellmana?

- Żebyśmy zdążyli wsadzić do aresztu Czyściciela przed następnym wtorkiem, bo jak nie, to zostanie byłym burmistrzem.

- No właśnie. Jeśli zdążymy to zrobić za kadencji Spellmana, to cała chwała spadnie na niego i będzie mógł ogłosić światu, że aktualny burmistrz nie ma litości dla przestępców. A jeśli nie uda nam się go złapać do dnia, kiedy wyborcy pójdą do urn, Sykes wgniecie Spellmana w glebę za to, że jest słaby i bezradny. Więc jak myślisz, czego ona chce?

- Kurwa - powiedziałem. - Żebyśmy go nie złapali.

- Bingo. W jej najlepszym interesie jest spowolnić nasze działanie i coś mi się zdaje, że już wpadła na pomysł, jak to zrobić. Dzisiaj rano było włamanie do sztabu wyborczego. Zgadnij, co zginęło? Komputer Evelyn.

- Masz rację - powiedziałem. - Jesteśmy kretynami. Tak się przejęliśmy robotą policyjną, że zapomnieliśmy o szerszym obrazie. O polityce.

Kylie objechała taksówkarza, który był zbyt powolny albo zbyt arogancki, by ustąpić nam drogi. Wciąż pędząc w stronę centrum, przecięliśmy Osiemdziesiątą Szóstą.

- Zaraz - powiedziałem. - Sztab wyborczy jest na Pięćdziesiątej Piątej. To gdzie my jedziemy?

- Na róg Dziewięćdziesiątej Czwartej i Park Avenue. Do apartamentu Evelyn Parker-Steele. Tego samego, w którym dwa lata temu zamordowała Cynthię Pritchard.

- Co tam jest?

- Muriel Sykes. I mogę postawić roczną pensję na to, czego tam nie ma. Prywatnego komputera Evelyn.

- Kurwa mać! - Uderzyłem pięścią w deskę rozdzielczą. - Pieprzyć kod dwa. Gaz do dechy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jak na budynek stojący przy Park Avenue, dom, w którym mieszkała Evelyn, był dosyć skromny. Nie była to jedna z tych wspaniałych kamienic budowanych na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, lecz ceglany budynek z lat sześćdziesiątych. Evelyn zapewne kupiła to mieszkanie z dwiema sypialniami za parę milionów, czyli jak na tę okolicę, praktycznie za bezcen.

Evelyn i jej mąż Jason Steele byli właścicielami stadniny w Pound Ridge wartej osiemdziesiąt milionów dolarów i adres przy 1199 Park Avenue był dla niej tylko mieszkaniem awaryjnym, gustownie urządzone antykami i sztuką współczesną o wartości kolejnych drobnych kilku milionów dolarów.

Nie musieliśmy pokazywać portierowi odznak, wystarczyły migające światła na naszym nieprzepisowo zaparkowanym fordzie.

- Przyszliście w sprawie pani Parker-Steele - odgadł, otwierając nam drzwi.

- Zgadza się - przytaknęła Kylie. - Pani Sykes czeka na nas na górze.

- Lokal 14A. Windy są tam. To okropne, co się zdarzyło. Była dobrą lokatorką. Nigdy nie sprawiała problemów.

Oprócz tego jednego razu, gdy zrzuciła swoją kochankę z tarasu. Zadziwiające, jak wiele z czyjejs przeszłości można zapomnieć, gdy widzi się w internecie film pokazujący, jak tę osobę torturowano.

Zanim zdążyliśmy nacisnąć dzwonek, drzwi się otworzyły

i Muriel Sykes wpuściła nas do środka. W czasach studiów na Pensylwania State University grała w lacrosse w ogólnokrajowej lidze akademickiej NCAA. Po trzydziestu latach i sprowadzeniu na świat czwórki dzieci wciąż miała imponującą sportową sylwetkę. Stylowo ułożone kasztanowe włosy i szary kostium ze spódnicą były pod każdym względem odpowiednie dla kobiety, która chciała przypodobać się wyborcom o zróżnicowanych dochodach.

- Bardzo dziękuję, że przyjechaliście - powiedziała takim tonem, jakbyśmy po prostu zdecydowali się przyjąć zaproszenie, a nie wypadli jak burza z komisariatu, uświadamiając sobie, że próbuje sabotować nasze dochodzenie.

Apartament Evelyn był bezbarwnie gustowny i zadziwiająco nijaki. Ściany, meble, a nawet dzieła sztuki utrzymane były w różnych odcieniach beżu. Jedynym rzucającym się w oczy obiektem był starzec o skwaszonej twarzy, w czarnym garniturze i czerwonym golfie. Siedział na minimalistycznej sofie w kolorze écru ze srebrnym pilotem do telewizora w jednej ręce i jaskrawozieloną puszką piwa imbirowego marki Canada Dry w drugiej.

- To ojciec Evelyn, Leonard Parker.

Sykes przedstawiła nas, a my złożyliśmy Parkerowi standardowe kondolencje. Podziękował, ale zdawało się, że bardziej interesuje go pasek z notowaniami giełdy pełzający na dole telewizyjnego ekranu.

- Ona nie była lesbijką - powiedział, odrywając wzrok od telewizora. - Wymusili na niej to wyznanie torturami. Evelyn i Jason byli ze sobą szczęśliwi jak nowożeńcy.

Nie próbował zaprzeczać, że jego córka była morderczynią. Zależało mu tylko na tym, żebyśmy nie wyszli stąd

z przekonaniem, że była nie tylko morderczynią, ale i lesbijką. Co za tatuś.

- Znajdźcie mi tego sukinsyna Czyściciela - dodał, zapominając, że Kylie i ja jesteśmy zatrudnieni przez miasto, a nie przez niego.

- Wydobędziemy z niego prawdę. Mam ludzi.

Sykes przerwała mu, zanim zdążył opowiedzieć nam w szczególach swój plan zemsty.

- Leonardzie, to wszystko jest zbyt przygnębiające. Rozpaczliwie potrzebuję papierosa.

Popatrzył na nią tak, jakby powiedziała, że zamierza wysiusiać się na dywan.

- Nie tutaj. Muszę sprzedać to mieszkanie. Kupujący wyczują zapach nawet z lobby. Idź z tym na zewnątrz.

Sykes poprowadziła nas do przesuwanych szklanych drzwi. To był słynny taras, na którym Cynthia Pritchard spędziła ostatnie chwile swojego życia. Ponieważ należał do bogatej kobiety, wyobrażałem sobie wielką podniebną przestrzeń pełną drogich mebli werandowych i bujnej zieleni. Ale prawda okazała się całkiem inna.

To był balkon. Po prostu jedna z tych niedużych półek wystających z wysokich budynków, na których mieszczuchy cierpiące na brak przestrzeni upychają rowery, zardzewiałe grille i inny szajs, którego nie chcą trzymać w mieszkaniu.

Nie było tu gdzie usiąść. Staliśmy, czekając, aż Sykes zapali capri, jednego z tych superdługich i supercienkich papierosów, jakie palą kobiety, które chcą się wydawać wyrafinowane i jednocześnie wdychać nasączone nikotyną substancje rakotwórcze.

- Żadnych zdjęć, proszę - powiedziała, zaciągając się. - To nie byłoby dobre dla mojego wizerunku.

- Proszę nam opowiedzieć o włamaniu - odezwała się Kylie.

- Zabrali tylko kilka komputerów. Jestem pewna, że to była ekipa od Spellmana. Wiecie, jak to jest w polityce. Można by pomyśleć, że ludzie nauczyli się czegoś po Watergate, ale desperackie czasy wymagają desperackich metod. Sądzę, że burmistrz gotów jest na wszystko, żeby ocalić swój tyłek.

- Czy zgłosiła pani kradzież? - pytała Kylie.

- Ktoś z mojego biura zadzwonił na policję.

- W takim razie dlaczego jest pani tutaj, a nie w sztabie wyborczym?

- Leonard to mój bliski przyjaciel. Próbuje sobie poradzić z rozpaczą. Prosił mnie, żebym spędziła z nim trochę czasu. To zrzęda i dziwak, ale Evelyn była jego jedyną córką i świata poza nią nie widział. Chciał się z nią spokojnie pożegnać.

Wszyscy politycy są obłudni, a Muriel była jeszcze gorsza niż większość. Z tego, co widziałem, jej drogi przyjaciel Leonard najbardziej martwił się tym, że dym z papierosa obniży wartość nieruchomości.

- Czy zabrała pani coś z tego mieszkania? - zapytałem.

- Detektywie, mogłabym uznać to pytanie za obraźliwe. Wie pan chyba, że byłam prokuratorem federalnym? Zabranie czegokolwiek z tego mieszkania byłoby przestępstwem, a w każdym razie utrudnieniem działania organów sprawiedliwości. Odpowiedź jest wyraźna i jednoznaczna: nie.

- Przepraszam - mruknąłem. - Typowe pytanie policjanta.

- Tylko że pan nie jest typowym policjantem. Żadne z was. Wy z Red jesteście szkoleni do działania w światłach jupiterów. Kilka miesięcy temu byliście bohaterami z pierwszych stron gazet. Spodziewam się, że zastanowicie się dwa razy, zanim znów zadacie mi jakieś głupie pytanie.

Najlepszą obroną jest mocna obelga. Muriel Sykes rozłożyła nas na łopatki.

- Do czego doszliście w sprawie morderstwa Evelyn? - zapytała po chwili.

- Chcieliśmy przejrzeć jej komputer - odparłem. - Czy miała tu laptopa?

- Nie mam pojęcia. Jeśli tak, to zapewniam, że Leonard ani ja nie dotykaliśmy go.

A gdyby w tym mieszkaniu znajdowało się lesbijskie porno, to z całą pewnością ani pani, ani Leonard nie pozbylibyście się go, ironizowałem w duchu.

- Możemy się rozejrzeć czy potrzebujemy nakazu rewizji?

- Oczywiście. Jestem tu po to, żeby wam pomóc. - Obdarzyła nas ciepłym babcinym uśmiechem, jaki widzieliśmy na jej plakatach wyborczych, ale od szyi w dół jej ciało pozostawało spięte jak przed bitwą. Pewien felietonista napisał, że Sykes jest polityczną zagadką: nigdy nie wiesz, czy zamierza upiec ci ciasteczka, czy huknąć w łeb.

- Może przychodzi pani do głowy cokolwiek, co mogłoby łączyć Evelyn z trzema poprzednimi ofiarami? - zapytałem.

- Nie, nic. Morderca też jej nie znał. Zabił tamte trzy ludzkie śmieci, ale nie doczekał się od burmistrza tego, czego pragnął, czyli uwagi. Dlatego zaatakował osobę obdarzoną władzą, wymusił na niej fałszywe zeznania i tym sposobem stał się międzynarodową sensacją w mediach. Gdybym to ja była burmistrzem, zamknięto by go na długo przed tym, zanim tknął Evelyn. - Zgasła papierosa i wrzuciła do ust miętówkę. - Muszę wracać do Leonarda - powiedziała, szarpiąc za uchwyt szklanych drzwi. - A wy możecie się rozglądać, ile tylko chcecie.

Nie spodziewaliśmy się nic znaleźć, ale obeszliliśmy wszystkie

pomieszczenia.

- To ciekawe - powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się w gabinecie Evelyn. - Ani komputera, ani modemu.

- Może należała do amiszów - zakpiła Kylie. - Jak to dobrze, że wiemy, że Sykes była prokuratorem. Gdyby nie to, moglibyśmy ją podejrzewać o ukrywanie dowodów.

Wróciliśmy do salonu. Leonard przechadzał się po nim, krzycząc coś do telefonu.

- Zaczekaj, Vernon - powiedział na nasz widok. - Zapytam policjantów. Hej, pani detektyw, czy to jest miejsce przestępstwa?

- Kościstym palcem zatoczył krąg wokół siebie. - To mieszkanie. Czy to jest miejsce przestępstwa?

- Technicznie nie ma w tej chwili dowodów... - zaczęła Kylie.

- Tak czy nie? Miejsce przestępstwa albo nie miejsce przestępstwa?

Nikt, bez względu na wiek i majątek, nie jest w stanie zgasić Kylie MacDonald.

- Panie Parker - powiedziała powoli, z namysłem. - W odpowiedzi na pańskie pytanie mogę stwierdzić, że na tę chwilę Departament Policji miasta Nowy Jork nie uważa mieszkania pańskiej nieżyjącej córki za miejsce przestępstwa.

- Wolna droga, Vern - rzucił Parker do telefonu. - Daj cenę jeden przecinek dziewięćdziesiąt pięć i zobaczymy, czy ktoś to łyknie.

Po tych słowach pogrążony w rozpacz ojciec wyłączył telefon, wyminął nas i wyszedł z mieszkania.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- No cóż, poszło nam śpiewająco - stwierdziłem, kiedy znów znaleźliśmy się w windzie. - Ja, praktycznie rzecz biorąc, oskarżyłem byłą prokurator federalną o ukrywanie dowodów, ty omal nie powiedziałaś ojcu ofiary, żeby sobie poszedł skoczyć z balkonu, a komputer Evelyn, nasza najlepsza szansa na znalezienie mordercy, tajemniczo zaginął.

- Nie ma w tym nic tajemniczego - odpowiedziała Kylie. - Sprawa jest jasna i prosta. Muriel Sykes go zabrała.

- Więc spróbuj jej to udowodnić.

- Myślisz, że nie potrafię? - zapytała w chwili, gdy otworzyły się drzwi windy. - To patrz.

Podeszła prosto do portiera.

- I jak wam poszło? - zapytał pogodnie, jakby Boże Narodzenie było tuż za rogiem i jakby Kylie była lokatorką, od której spodziewał się dużego napiwku.

- Jak się pan nazywa? - Ton jej głosu był czysto policyjny, bez cienia zwykłego uroku.

- Nestor - odrzekł portier potulnie.

- Panie Nestor, czy w tym budynku są kamery?

- Tylko obraz na żywo. - Wskazał konsolę z ośmioma monitorami. - Niczego nie nagrywam, tylko patrzę na bieżąco, co się dzieje.

- W takim razie musi pan przez cały czas zachowywać czujność.

- To moja praca.

- Skoro tak, z pewnością pan pamięta, czy widział pan dzisiaj wcześniej rano, jak pani Sykes wchodziła do apartamentu pani Parker-Steele.

- Nawet jeśli tam była, to ja jej nie widziałem - odpowiedział zbyt szybko.

- Panie Nestor, czy wie pan, dlaczego tu jesteśmy?

- Z powodu pani Parker-Steele. Ktoś ją zabił.

- Zgadza się. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa. Więc jeśli zadam panu pytanie, a pan skłamię, będzie pan winny utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości, a to jest przestępstwo. Rozumie pan? - Gdy skinął głową, mówiła dalej: - Więc powtórzę pytanie. Czy widział pan wcześniej rano, jak pani Sykes wchodziła na górę do mieszkania pani Parker-Steele? Zanim pan odpowie, proszę się zastanowić, czy te pieniądze, które dała panu za milczenie, wystarczą na przeżycie dwóch lat, bo to jest minimalny wymiar kary, jaką może pan otrzymać za kłamstwo w sprawie o zabójstwo.

- Pani Sykes była tu dziś rano - odparł. - Parę minut po siódmej. Wiem, bo zaczynam zmianę o siódmej i jeszcze piłem kawę. Podjechała lincolnem i kazała kierowcy poczekać. Weszła na górę. Kiedy wchodziła, nic ze sobą nie miała, ale gdzieś tak po pięciu minutach wyszła z laptopem pani Parker-Steele. Rozpoznałem pokrowiec. Miał znaczek Apple. Dała mi sto dolarów.

- Za co?

- Powiedziała, że jeśli ktoś będzie pytał, czy tu była, to mam powiedzieć, że nie.

- I to pan właśnie powiedział. A zatem zarobił pan swoje sto dolarów. A potem powiedział pan prawdę i dlatego nie będzie pan musiał wsiadać ze mną do radiowozu. Miłego dnia, Nestor.

Sięgnęła do mosiężnej klamki, przepuściła mnie pierwszego przez drzwi i poszła za mną do samochodu, a Nestor stał bez ruchu jak ogłuszony.

Kylie wsunęła się za kierownicę.

- Tak jak mówiłam, nie ma tu żadnej tajemnicy. Muriel Sykes nas uprzedziła. A skoro już wiem, że zamierza spowolnić nasze działania, to zmieniłam zdanie.

- Na jaki temat?

Zapaliła silnik i włączyła się do ruchu.

- W następny wtorek zagłosuję na Spellmana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Znów siedzieliśmy w samochodzie i jechaliśmy w stronę centrum.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że laptop Evelyn zginął tylko chwilowo - powiedziała Kylie.

- Sądzisz, że znajdzie się w następną środę rano, zaraz po wyborach? A może Sykes będzie go ukrywać aż do zaprzysiężenia w Nowy Rok?

- Tak czy owak, NYPD Red nie będzie na nią czekać. Musimy złożyć wizytę Evelyn. Może ona nam coś powie. Zadzwoń do Chucka Drydena i zapytaj, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby zobaczyć się ze mną po raz drugi.

- Pewnie nie miałyby nic przeciwko temu, gdybyś zechciała się do niego wprowadzić - skomentowałem fakt oczywisty. - W razie gdyby twój przenikliwy policyjny umysł tego nie zauważył, Chuck Dryden aż się ślini na twój widok.

- Ooch - powiedziała bez tchu, odrzucając jasne włosy w doskonałej imitacji Marilyn Monroe. - On taki mądry, a ja taka głupia. Nie mam pojęcia, co we mnie widzi.

- Moim zdaniem zauroczyła go twoja skromność - podsumowałem.

Biuro koronera mieści się przy Wschodniej Dwudziestej Szóstej Ulicy, tuż za rogiem od swojego głównego źródła zaopatrzenia, czyli szpitala Bellevue. Jak można się było spodziewać, nasz widok niezmiernie uszczęśliwił Chucka, choć mówiąc „nasz”, rzecz jasna nie mam na myśli siebie.

Pozwoliłem Kylie mówić.

- Chuck, ze wszystkich stron natrafiamy na same przeszkody - narzekała. - Potrzebujemy twojej pomocy.

Dryden wygładził dłońmi biały laboratoryjny fartuch, po czym powiedział:

- Tędy. - Poprowadził nas do sali sekcyjnej. Evelyn leżała na stole. - Zwykle nie działamy tak szybko, ale akurat ona trafiła na sam początek kolejki. Właśnie ją pozszywaliśmy.

- Powiedz nam, co znalazłeś.

- Nie mamy do czynienia z naśladowcą. To prawda, ofiara pochodziła z zupełnie innej grupy społecznej niż pierwsze trzy, ale cała czwórka zginęła w ten sam sposób. Uduszenie. Prawdopodobnie ktoś nałożył im na głowę plastikową torbę. Wszyscy byli przetrzymywani przez co najmniej siedemdziesiąt dwie godziny, ciała zostały wyszorowane amoniakiem, mieli tę samą treść żołądka. Pizza. I to nie jakaś tam przypadkowa pizza. To samo ciasto, ten sam sos, ten sam ser. To była prawdziwa domowa pizza, nie z sieciówki, jak Domino's czy Pizza Hut.

- Potrafisz to określić? - zdziwiła się Kylie, zerkając na mnie. - Niesamowite.

Chuck chłonał jej uznanie jak gąbka. Gotów byłem się założyć, że robi, co może, żeby nie dostać erekcji.

- A czy są jakieś obrażenia, które by wskazywały na to, że ofiary się broniły? - pytała dalej Kylie. - Poranione kostki palców, skóra pod paznokciami, coś, czego nie udałoby się pozbyć za pomocą amoniaku?

- Nic. Wygląda na to, że żadna z ofiar nie miała szansy się bronić.

Kylie pochyliła się nad stołem, żeby przyjrzeć się z bliska twarzy Evelyn.

- Dlaczego ma poranione usta? Czy sądzisz, że morderca czymś

ją zakneblował?

- Nie. Zwykły knebel wycisza ofiarę, ale nie dokonuje takich obrażeń. Połamane zęby, rany wewnątrz jamy ustnej, poszarpane mięśnie szczęki. Nawet kulisty knebel tak by jej nie poranił.

- A co?

- Nie chciałbym tu stawiać hipotez. - Dryden uśmiechnął się sucho.

- Ale na pewno coś ci przychodzi na myśl - nalegała Kylie.

- Nie wpiszę tego do raportu. Nie wpisuję niczego, co nie jest w stu procentach pewne. Zajmuję się faktami, a nie wymysłami.

- W takim razie proszę o trzydzieści sekund twoich wymysłów. Proszę.

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Dryden tak się uśmiechał.

- Nieoficjalnie. - To było stwierdzenie, a nie pytanie.

- Jak Boga kocham. - Kylie dla poparcia świętości przysięgi nawet się przeżegnała.

Chuck mrugnął do niej i w jego oczach pojawił się błysk.

- Co wiesz o średniowiecznym sadomasochizmie?

- Trochę - odrzekła, patrząc na niego z nową dozą szacunku. - Ale wygląda na to, że o wiele mniej niż ty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Wygląda na to, że udało nam się zobaczyć takiego Drydena, z jakim bardzo niewielu ludzi miało okazję zawrzeć znajomość - powiedziała Kylie, gdy znów znaleźliśmy się w samochodzie. - Ten facet wie więcej o średniowiecznych narzędziach tortur niż Kellogg o płatkach kukurydzianych.

- Zawsze mi się zdawało, że nasz Doktor Przykładny musi mieć jakieś zboczenie.

- Pewnie trzyma koło do łamania kości w sypialni i gilotynę w piwnicy - podkpiwała Kylie.

Ni stąd, ni zowąd powrócił jej zwykły blask. Mroczna chmura, która ją spowijała, zniknęła, a Kylie znów promieniała energią.

- Wszystko mi jedno, kto wygra wybory - oświadczyła. - Znajdziemy tego sukinsyna Czyściciela przed następnym wtorkiem i damy im równe szanse. - Zatrzymała się na czerwonych światłach i obróciła się do mnie jak chart, który zwietrzył trop i ciągnie za smycz. - Zaczniemy od tego, że włączymy do akcji Matta Smitha.

Poczułem się tak, jakby uderzyła mnie pięścią w żołądek, ale zanim zdążyłem zapytać, po co jej, do diabła, Matt Smith, wyjaśniła:

- Słyszałeś, co powiedział Dryden. Większość tych wynalazków znajduje się w muzeach. Jeśli chcesz stać się właścicielem któregoś z nich, nie idziesz na zakupy do działu tortur w lokalnym Wal-Marcie. To bardzo niszowy rynek. A gdyby tak Mattowi udało się wysledzić, kto sprzedaje takie przedmioty? Wtedy zyskalibyśmy szansę dotrzeć do osoby, która je kupiła. Pasuje ci?

- Warto spróbować - mruknąłem, bo przecież nie mogłem się

nie zgodzić.

- Muszę ci powiedzieć - ciągnęła Kylie - że pracowałam z wieloma informatykami, ale Matt Smith jest najlepszy na świecie. I nie tylko jest dobry w swoim fachu, ale umie też pracować z ludźmi. Mamy szczęście, że siedzi w naszym budynku.

Tak. Przez ścianę z Cheryl.

Na komisariat wróciliśmy późnym popołudniem, ale Matt, przyjazny i przystojny jak zawsze, był na miejscu, wielce rad, że potrzebujemy jego pomocy.

- Gruszka do tortur? - zdziwił się, kiedy powtórzyliśmy mu, co powiedział Dryden. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Czyli jest nas już troje - stwierdziła Kylie. - Dryden powiedział to nieoficjalnie, bo tylko przypuszcza.

- Gdzie on się szkolił, w Hogwarcie? - Smith pokręcił głową. - Nie znam się na narzędziach tortur, ale dajcie mi kilka godzin. Spróbuję sprawdzić, gdzie Czyściciel mógł robić zakupy. A co z komputerem Parker-Steele?

- Nie ma go - powiedziałem. - Zginął jak pociąg towarowy w środku nocy.

- O kurczę - mruknął Matt.

Rzuca tym wyrażonkiem co i rusz. Jest tak pojemne znaczeniowo, że pasuje mu, gdy jest wkurzony, zadowolony, zadumany, rozproszony, w ogóle jakikolwiek.

- Znalazłeś w wyciągach z kart kredytowych albo billingach coś, co pozwoliłoby połączyć Parker-Steele z którąś z trzech pozostałych ofiar?

- Nie, nic z tych rzeczy. Nie dzwoniła do nich, nie wysyłała SMS-ów ani nie oglądała na iPhone filmów z ich spowiedziami. Nie znalazłem nic, co mogłoby naprowadzić na ślad mordercy.

Możliwe, że wcześniej w ogóle go nie znała.

- W takim razie jak mu się udało ją porwać i dlaczego się nie broniła ani nie podniosła krzyku?

- A skąd wiesz, że się nie broniła?

- Nie wiem. I to mnie właśnie niepokoi - odparłem. - Kang, Tinsdale, Catt, Parker-Steele. Żadnej z tych osób nie było łatwo uprowadzić, a skoro nic ich ze sobą nie łączy, to musimy założyć, że porwał je ktoś obcy. A skoro był to ktoś obcy, to powinny się bronić.

- Szczególnie Kang i Tinsdale - wtrąciła Kylie.

- A jeśli się bronili, to może jest jakiś świadek, który widział, jak walczyli z napastnikiem - mówiłem dalej. - Skupmy się na Evelyn. Wiemy z wyciągów z kart kredytowych, że w piątek wieczorem była w pubie U Hackiego przy Drugiej Alei. To tylko dziewięć przecznic od jej apartamentu, ale nie wróciła już do domu. Matt, gdybyś namierzył jej telefon, to może udałoby ci się zlokalizować okolicę, z której została uprowadzona. Wtedy moglibyśmy...

- Jestem kretynem - powiedział człowiek, którego Kylie przed chwilą uznała za najgenialniejszego komputerowca na świecie. - Byłem tak zajęty szukaniem czegoś, co połączyłoby ze sobą wszystkie cztery ofiary, że zupełnie przeoczyłem rzecz oczywistą. Dajcie mi dwadzieścia minut i będę miał coś dla was. - Usiadł przy komputerze. - Jesteś cholernie bystry, Zach - dodał. - Nie mam pojęcia, dlaczego sam na to nie wpadłem.

Bzdury, koleś. Możliwe, że byłeś zbyt zajęty czarowaniem mojej dziewczyny prezencją gwiazdy futbolu, denerwującym brytyjskim akcentem i spontanicznymi pomysłami w stylu: przyniosę pięknej pani doktor sojowe latte.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Po dwudziestu minutach wraz z Kylie wróciliśmy do pokoju Matta Smitha. Zauważyłem, że drzwi gabinetu Cheryl były zamknięte, a światło zgaszone. To znaczyło, że tego wieczoru nie wróci do domu z żadnym z nas.

- Co masz? - zapytała Kylie.

- Ostatnie znane miejsce pobytu Evelyn. Tutaj. - Smith wskazał na monitorze mapę z Google'a przedstawiającą Upper East Side. - Pub U Hackiego, Druga Aleja i Osiemdziesiąta Ósma Ulica. Zapłaciła kartą American Express o jedenastej zero dziewięć wieczorem. Jej apartament mieści się na rogu Dziewięćdziesiątej Czwartej i Park Avenue. To jakieś dziesięć minut piechotą. Wieczór był ładny, więc mogła mieć ochotę na spacer, ale nawet gdyby od razu złapała taksówkę, co jest raczej nieprawdopodobne w weekend, to biorąc pod uwagę ruch i czerwone światła, jazda zajęłaby jej te same dziesięć minut. A ponieważ wiemy, że nie dotarła do domu, musiała zniknąć gdzieś niedaleko od baru. - Sięgnął po notatkę. - Wyszedłem z założenia, że szła piechotą, więc zebrałem zapisy z kamer drogowych wzdłuż Drugiej Alei. Musiało minąć kilka minut, zanim wyszła z pubu U Hackiego po zapłaceniu rachunku, ale o jedenastej siedemnaście kamera złapała ją przy Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Szła Drugą Aleją w stronę od centrum. Znów ją mamy przy Dziewięćdziesiątej, potem przy Dziewięćdziesiątej Pierwszej, i to wszystko. Evelyn Parker-Steele nie ma na żadnej kamerze powyżej Dziewięćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Drugiej Alei.

Matt przerwał na moment, a my w ciszy czekaliśmy na ciąg dalszy.

- Potem wróciłem do zapisu z telefonu. Jej iPhone lokalizuje się przez cały czas. Sprawdziłem w Verizonie i okazało się, że mają ją namierzoną przez cały wieczór w barze, potem sygnał nadal się odświeża i można ją wysledzić w tym czasie, kiedy szła Drugą Aleją. O jedenastej dziewiętnaście była w pobliżu Dziewięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, ale pięć minut później była o dwanaście przecznic na południe przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Po kolejnych ośmiu minutach jest przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy na moście prowadzącym do Queensu, i sygnał się urywa. Verizon nie ma żadnych dalszych śladów. Albo Evelyn Parker-Steele wyłączyła telefon, albo jej iPhone leży na dnie East River.

- To znaczy, że złapała taksówkę albo wsiadła do jakiegoś samochodu w pobliżu Dziewięćdziesiątej Pierwszej - powiedziałem.

- Na tym odcinku Drugiej Alei jest pełno barów - stwierdził Smith. - Między Dziewięćdziesiątą Pierwszą a Dziewięćdziesiątą Drugą są trzy. Tam właśnie zniknęła, ale żaden z tych barów nie ma kamer skierowanych na ulicę.

- Mimo wszystko - wtrąciła Kylie - to był piątkowy wieczór na Upper East Side, więc musiało być mnóstwo świadków.

- Okej, ale większość z tych potencjalnych świadków siedziała w jednym z barów - stwierdził Smith.

- Nie o nich mówię - zaoponowała Kylie - tylko o tych, którzy byli na zewnątrz. - Spojrzała na mnie. - Pamiętasz, co zrobił Leonard Parker, żeby Muriel Sykes nie obniżyła mu ceny nieruchomości?

- No tak, wysłał ją z papierosem na zewnątrz. Dobry pomysł, pani detektyw. - Kiwnąłem jej głową. - Pokręcimy się przy tamtych barach i znajdziemy jakiegoś palacza, który był tam

w piątek i około jedenastej wieczorem wyskoczył na papierosa. No i był na tyle trzeźwy, żeby zauważyć, jak Evelyn wsiadła do samochodu i pojechała Drugą Aleją w stronę centrum.

- No to mamy plan - powiedziała Kylie w wyraźnie lepszym nastroju. - Partnerze, zapraszam cię na rundkę po barach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Na żółtej karteczce na biurku Emmy Frye napisane było:

Zadzwoń do Gideona.

Na samym dole listy zakupów również widniał dopisek, tym razem nakreślony drukowanymi literami:

ZADZWONIĆ DO GIDEONA!!!

Ale minął prawie cały dzień, a Emma jeszcze nie zadzwoniła do syna. Podobnie jak wielu innych nowojorczyków, siedziała przyklejona do telewizora, śledząc proces Rachael O'Keefe o morderstwo.

- Emmo! - zawołał Sherman, wchodząc do domu. - Dzwoniłaś już do Gideona?

Ściszyła telewizor i zbiegła po schodach, na moment zatrzymując się przed lustrem w holu, żeby poprawić włosy.

- Popatrz tylko - powiedziała do swojego odbicia. - Zachowujesz się jak nastolatka.

Sherman stał przy zlewie w kuchni i wkładał kwiaty do wazonu.

Gdy Emma owdowiała przed dwoma laty, była przekonana, że już nigdy nie poczuje się szczęśliwa. Kwiaciarnia, którą razem prowadzili, nieźle prosperowała, ale gdy zabrakło Roya, Emma nie była w stanie prowadzić jej sama.

- Muszę ją sprzedać - powiedziała synowi.

Gideon znalazł idealnego kupca. Sherman Frye był nauczycielem historii oraz trenerem lekkiej atletyki w liceum Johna Adamsa, i niedawno, po trzydziestu pięciu latach pracy, przeszedł na emeryturę. Chciał kupić sklep, ale tylko pod warunkiem, że Emma będzie mu pomagać przez pierwszy rok. Zgodziła się, a po dwóch miesiącach zaczęli co jakiś czas

wychodzić razem na kolacje w interesach. Potem zaczęli się spotykać w weekendy – golf, polowanie na antyki, wycieczki na pola bitwy z czasów wojny secesyjnej albo wyprawa na przystań, żeby popływać na Tecumsehu, pięknie odnowionym dziesięciometrowym jachcie.

W dniu, gdy upływał rok pracy Emmy, wybrali się na kolację do ulubionej restauracji La Nora przy Cross Bay Boulevard. Sherman wyczekał, aż na stoliku pojawiła się kawa i koniak, i dopiero wtedy położył na blacie kopertę.

– Proszę, oto pożegnalny prezent dla mojej ulubionej pracownicy.

Emma otworzyła kopertę i zobaczyła karteczkę, na której było napisane:

Nie odchodź. Nigdy.

Sherman wyciągnął pudełeczko obciążone niebieskim aksamitem. W środku spoczywał stary pierścionek zaręczynowy z brylantem.

– Przepraszam, że nie mogę przed tobą uklęknąć. Szkoda, że nie poznałaś mnie wcześniej, zanim gra w golfa wykończyła mi więzadła w kolanie, ale kocham cię. Pracowałaś dla mnie już zbyt długo. Teraz ja chciałbym przez resztę życia pracować dla ciebie. Emmo, czy wyjdiesz za mnie?

Tym razem również powiedziała „tak” i od tej pory czuła się szczęśliwa jak nigdy.

– Irysy – ucieszyła się, gdy Sherman nalewał wody do wazonu. – Moje ulubione.

– Nie, twoje ulubione kwiaty to bzy, ale wszystkie bzy w sklepie były świeże i doskonale nadawały się do sprzedaży, a tym biedakom został jeszcze jeden dzień życia do zwiędnięcia. Pomyślałem więc, że przyniosę je do domu i dam żonie, bo do tej

pory na pewno już zadzwoniła do syna, o co ją proszę od pięciu dni. - Otoczył ją potężnymi ramionami i szepnął do ucha: - Zadzwoniłaś?

Cofnęła się nieco, żeby spojrzeć w jego magiczne niebieskie oczy, i seksownie wydeła usta.

- Jeszcze nie. Miałam zamiar zadzwonić wczoraj, ale była niedziela, a ostatnio jest tak bardzo zajęty w pracy, że nie chciałam mu zawracać głowy w wolny dzień.

- A dzisiaj jest poniedziałek, ale przez cały dzień oglądałaś w telewizji proces Rachael O'Keefe.

- Winna.

- Ha! Wiedziałem, że jest winna.

- Nie, nie - poprawiła go Emma. - To ja jestem winna, bo oglądałam ten proces. Werdykt zapadł po południu. Ława przysięgłych uznała, że jest niewinna.

- Zwariowali - skomentował Sherman. - Ta kobieta zabiła swoją córkę. Jak mogli tego nie widzieć?

- No to już rozumiesz, dlaczego nie mogłam wyłączyć telewizora. Zadzwonię teraz.

Skorzystała ze skróconego wybierania, a Gideon odebrał po pierwszym sygnale.

- Mamo, śpieszę się - powiedział z miejsca. - Czy to coś ważnego?

- Również cię witam. Gdzie się tak śpieszysz?

- Mam się spotkać z Dave'em i z paroma kumplami. Idziemy do baru w centrum na piwo i mecz. Czy to nie może poczekać do jutra?

- Mam tylko jedno pytanie. To potrwa pół sekundy. Czy myślisz, że twoi przyjaciele i puszka z piwem mogą poczekać pół sekundy?

- Jasne, mamo. Jedno pytanie. Dawaj.

- Sherman chce urządzić gabinet w twoim dawnym pokoju.
- To nie jest pytanie - powiedział Gideon. - Ale ja też cię o coś zapytam. Wyszłaś za mąż niecały rok temu i Sherman już wynosi się z sypialni?
- Nie bądź taki mądrała. Potrzebuje miejsca do pracy na komputerze. Zamierza napisać książkę.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Akcja będzie się działa w czasach wojny secesyjnej.
- Coś takiego jak *Przeminęło z wiatrem*?
- Lepsze, znacznie lepsze - odparła rozbawiona.
- Mamo, śpieszę się. Co to za pytanie?
- Przez cały dzień pakowałam twoje stare rzeczy, czyli ubrania, zabawki, papiery z liceum, puchary Małej Ligi. Czy mógłbyś tu zajrzeć i zabrać to wszystko, żebyśmy mogli opróżnić pokój?
- Nie.
- A cóż znaczy to woje „nie”? - obruszyła się. - Jesteś już dorosły, twoje rzeczy nie mogą tu leżeć wiecznie. Potrzebujemy miejsca.
- W takim razie wystaw cały ten chłam na ulicę dla śmieciarza. Zabrałem wszystko, co chciałem, kiedy się wyprowadzałem z domu. Nie potrzebowałem tych śmieci przez ostatnich kilkanaście lat, więc tym bardziej nie potrzebuję ich teraz.
- Jesteś pewien? Myślę, że przynajmniej niektóre stare zabawki i gry mógłbyś sprzedać na eBayu.
- Mamo, to ty jesteś chomikiem, nie ja. Sherman też nie. Wyrzuć to wszystko albo spal.
- Dobrze - powiedziała. - Zwariowałeś, żeby wyrzucać tyle dobrych rzeczy, ale Sherman się ucieszy. A tak swoją drogą, szanowny panie ciekawski, mój mąż i ja jesteśmy bardzo

szczęśliwi w sypialni.

- O Boże! - Gideon westchnął. - Kończę, zanim zaczniesz mi opowiadać o szczegółach. Kocham cię, mamó.

- Ja też cię kocham. - Wyłączyła telefon i objęła Shermana. - No dobrze, kwiaciarczy, pokój należy do ciebie. Więc idź do swojego gabinetu i zacznij pisać tę książkę.

Sherman oparł dłonie na jej miękkich, krągłych pośladkach i przycisnął do siebie.

- Może odprowadzisz mnie na górę i po drodze zajrzemy do sypialni? Przydałaby mi się odrobina inspiracji do pisania.

- O cholera - rzuciła z westchnieniem Emma.

- Czy tak kobieta powinna traktować faceta, który przyniósł jej irysy?

- Nie, chciałam powiedzieć: cholera, zapomniałam wspomnieć o czymś Gideonowi.

- To zadzwoń jeszcze raz.

- Nie dzisiaj. Wychodzi z przyjaciółmi. Zadzwonię kiedy indziej.

- Co chcesz mu powiedzieć? - zapytał Sherman, prowadząc ją w stronę schodów.

- Kiedy sprzątałam w jego biurku, znalazłam za dolną szufladą czerwony notes oprawiony w skórę. To nie jest notes Gideona. Ciekawa byłam, czy coś o tym wie.

- A czyj?

- Enza Salviego.

Sherman zatrzymał się w połowie schodów.

- Znałem tego chłopaka, kiedy uczyłem w szkole. Delikatnie mówiąc, nic dobrego. Na pewno wiesz, kim jest jego ojciec.

- Wszyscy w Howard Beach to wiedzą. Byliśmy na pogrzebie Enza z szacunku dla rodziny.

- W takim razie zrób coś dla mnie - poprosił Sherman. -

Z szacunku dla mnie nie mieszaj się w to. Ten chłopak nie żyje. Nie potrzebuje już notesu.

- Ale może jego matka chciałaby go mieć? Straciła syna, a to się z nim wiąże.

- Dobrze to ujęłaś: wiąże się. To się wiąże nie tylko z nim, ale i z nami, a ja nie chcę mieć żadnych związków z rodziną Salvich. Emmo, to mafia. Normalnych ludzi, takich jak ty i ja, nic nie wiąże z takimi ludźmi jak oni.

- Więc co mam zrobić z tym notesem?

- Wyrzucić do śmieci razem z resztą rzeczy Gideona.

- Jasne, tak zrobię. - Ruszyła w stronę sypialni.

Sherman szedł tuż za nią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Gideon przymrużył oczy, spojrzął w lustro i powoli przesunął szczotką po ciemnych kędzierzawych włosach, szukając tych szorstkich, siwych kosmyków, które zaczęły się od jakiegoś czasu pojawiać. Nie znalazł żadnego.

Wrócił pamięcią do kobiety w sportowym biustonoszu i bejsbolowej czapeczce z napisem FDNY.

- Najważniejsze jest wyczucie czasu, Andie - powiedział do swojego odbicia w lustrze. - A twoje okazało się wyjątkowo kiepskie.

Wyszedł ze swojego mieszkania przy Zachodniej Osiemdziesiątej Czwartej i poszedł do stacji metra na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i Broadwayu. Był zadowolony, że doprowadził matkę do śmiechu. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić po tym, jak zabił jej męża.

Wsiadł do pociągu linii 1 jadącego w stronę centrum i znalazł wolne miejsce.

Obwinił siebie za śmierć ojca. Oficjalnie był to wypadek, ale Gideon był przekonany, że gdyby dotrzymał słowa, ten wypadek nigdy by się nie zdarzył. Miał oglądać Super Bowl na nowym telewizorze ojca z płaskim ekranem, ale dwa dni przed meczem udało mu się zdobyć dwa bilety. Zostawił ojca i poleciał do Miami w towarzystwie Meredith.

To był najlepszy weekend jego życia, a w każdym razie do połowy, dopóki nie zadzwoniła matka. Roy po dwóch piwach postanowił poprawić talerz satelitarny na dachu. Zresztą może były cztery piwa, a może sześć, ale to bez znaczenia. Złamany kark to złamany kark. Lepiej, że zginął na miejscu, mówili

wszyscy, bo inaczej zostałaby warzywem.

Gideona przepełniały wyrzuty sumienia. To on powinien wejść na ten dach. Przysiągł sobie, że zrobi, co w jego mocy, by zrekompensować to matce. Znalazł Shermana Frye'a, który kupił kwiaciarnię. To był doskonały pomysł. Matka była szczęśliwa z Shermanem, a przez to Gideon też był szczęśliwy.

Wysiadł z pociągu przy Chambers Street i poszedł przez West Broadway, a potem skręcił w prawo w Duane Street, gdzie znajdował się najlepszy bar na dolnym, a może nawet na całym Manhattanie.

Dwa lata temu trzech prawników kryminologów w średnim wieku uznało, że zdecydowanie bardziej wolą upijać ludzi, niż ich skazywać. Otworzyli bar przy Duane, zaledwie o dwie przecznice od Sądu Dystryktowego USA dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Bar o nazwie Nie Sądzę szybko stał się ulubioną przystanią prawniczej profesji, swoistą mekką dla hord młodych, spragnionych prokuratorów i jednym z niewielu miejsc w Nowym Jorku, gdzie można było bezpiecznie przyznać się, że jest się prawnikiem, i nikt nie zaczynał natychmiast przewracać oczami.

- Mnie też nie sądźcie - powiedział Gideon, spoglądając na swoje odbicie w tafli mrożonego szkła. Na drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z napisem APLIKACJE DLA WSZYSTKICH PRAWNIKÓW. Gideon wszedł do środka.

Bar był zatłoczony, ale Meredith zapewne siedziała ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, bo natychmiast usłyszał nad zgiełkiem jej głos.

- Gid! - Wstała i pomachała mu ręką.

Przepchnął się do stołu, przy którym odbywała się stypa odprawiana przez grupkę młodych prawników. Właśnie przegrali największą sprawę, jaką dotychczas przyszło im się zajmować,

i przyszli do baru to odreagować. Meredith, na wpół pijana, ale nadal piękna, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Nie mogę uwierzyć, że przegraliśmy!

- Tak mi przykro - odrzekł Gideon, bardzo uważając, by nie przycisnąć się do niej biodrami. Określenie „niewrażliwy kretyn” do nikogo nie pasuje tak dobrze jak do faceta z erekcją, który próbuje pocieszyć cierpiącą kobietę. - To nie wasza wina. - Odsunął z jej twarzy kosmyk rudych włosów i delikatnie pocałował w czoło. - Ława przysięgłych kupiła te bzdury obrońców.

Gdy usiadła, Gideon zajął miejsce między nią a jej bratem Dave'em.

- Kiepski wieczór - powiedział Dave, nalewając przyjacielowi piwa z jednego z pięciu dzbanków stojących na stole. - Naprawdę kiepski wieczór dla systemu sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Mam zaległości - powiedział Gideon, unosząc kufel. - Muszę nadrobić. - Wypił cztery wielkie łyki chłodnego, orzeźwiającego piwa, z głośnym stuknięciem odstawił kufel i podsunął Dave'owi z niemą prośbą o dolewkę.

Obiegł pomieszczenie wzrokiem. Ściany upstrzone były ekranami telewizorów. Połowa włączona była na futbol, druga na *Autopsję*, popularny program CNN poświęcony najważniejszym prawnym wiadomościom dnia. A w barze pełnym prawników nic, nawet sprawa Czyściciela, nie mogło być ważniejsze niż proces Rachael O'Keefe.

O'Keefe była dwudziestodziewięcioletnią samotną matką. Mieszkała na Wschodniej Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy z pięcioletnią córką Kimi. W ciągu dnia pobierała próbki krwi, moczu, flegmy i innych płynów ustrojowych w prywatnym laboratorium diagnostycznym na Upper West Side. Wieczorami, pragnąc uciec od nużącego życia, o ósmej kładła Kimi do łóżka, a o dziewiątej zwykła chadzać do baru po drugiej stronie ulicy. Kimi wiedziała, że gdyby się obudziła i potrzebowała czegoś, to może zadzwonić do Rachael na komórkę albo przez domofon zawiadomić portiera, który pobiegnie do baru po matkę.

Rachael wiedziała, że doktor Spock nie pochwalałby takiego modelu rodzicielstwa, ale do diabła z nim. Mężczyźni, których spotykała w pracy, spędzali tam tylko tyle czasu, ile było trzeba, żeby wkuć im igłę w ramię i napełnić kilka probówek. Wieczory stwarzały jej jedyną szansę, by poznać jakiegoś przyzwoitego faceta albo nawet drania, który zabierze ją do sypialni i wywoła uśmiech na twarzy.

Ale w pewien niedzielny wieczór coś poszło nie tak. Rachael twierdziła, że wróciła do domu o drugiej po północy, poszła prosto do łóżka i spała do dziesiątej rano. Kimi zwykle budziła się o wpół do siódmej, toteż Rachael zaraz po obudzeniu weszła do jej pokoju, żeby sprawdzić, co się stało.

Dziewczynki nie było. Nie było też Mookie, różowej pluszowej małpki, z którą mała spała każdej nocy. O dziesiątej zero cztery tego poniedziałkowego ranka Rachael wykręciła dziewięćset jedenaście i w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin Kimi O'Keefe stała się najpilniej poszukiwaną osobą w Ameryce.

Jej ciało znaleziono cztery dni później na wysypisku śmieci w Pensylwanii. Została uduszona. Nie było nawet śladu różowej małpki, ale bez trudu ustalono pochodzenie śmieci, w których znaleziono ciało. Pochodziły z nowojorskiej śmieciarki, która w poniedziałkowy poranek wywozła śmieci z budynku Kimi.

Miesiąc później prokurator okręgowy oskarżył Rachael o morderstwo drugiego stopnia.

Gideon pamiętał wieczór, kiedy Meredith została przydzielona do tej sprawy. Wpadła w podskokach do jego mieszkania, piszcząc z radości.

- Dostałam to, dostałam! Jestem w zespole, który pracuje nad sprawą O'Keefe!

Zarzuciła mu ramiona na szyję i całując się, padli na sofę.

- To fantastycznie - powiedział, kiedy wreszcie oderwał od niej twarz, żeby zaczerpnąć powietrza. - Zostaniesz gwiazdą mediów.

- Mało prawdopodobne. Jest nas dziewięćcioro, a ja nawet nie będę pokazywać się na sali sądowej. Moje miejsce to pokój na szóstym piętrze, moje zadanie to segregowanie dowodów. Czyli robota papierkowa, choć będę też przesłuchiwać niektórych świadków. To największy proces w mojej karierze i jeśli

wygramy...

- Kiedy wygracie - sprostował Gideon, a jego dłoń wsunęła się pod jej spódnicę i powoli, hipnotyzująco pełzła do góry.

Seks z Meredith był wszystkim, o czym Gideon marzył jako nastolatek. Ani on, ani Dave nigdy nie przyznali się przed nikim do zabicia Enza Salviego, ale w jakiś pokrętny sposób Gideon zawsze uważał, że to Enzowi zawdzięcza swój dobry los.

Minęły dwa lata, zanim Meredith odważyła się znowu spróbować seksu. To była katastrofa. Zapewniła tego mężczyznę, że to nie jego wina, a potem popełniła błąd i powiedziała mu prawdę. On jednak nie okazał empatii, lecz poskładał w myślach obrazek składający się z imprezy na plaży, alkoholu oraz seksownego stroju i wyciągnął naturalny wniosek: sama się o to prosiła. Nie powiedział tego głośno, ale Meredith wiedziała, że tak pomyślał. Po tym wydarzeniu jej życie seksualne, choć próbowała je reanimować, było nie tylko nieregularne, ale i niesatysfakcjonujące.

A potem nadszedł sylwester roku dwa tysiące dziewiętego. Gideon i Meredith byli na przyjęciu i tańczyli, gdy nadeszła północ. Gideon pochylił się i przycisnął usta do jej ust, a ona oddała mu pocałunek. W tym momencie pięć lat różnicy między nimi nic dla niej nie znaczyło.

- Ufam ci - powiedziała, całując go żarliwie, z namiętnością, której od tak dawna w ogóle nie odczuwała.

Od tamtej sylwestrowej nocy seks znów stał się dla niej wspaniałym przeżyciem, takim bez wstydu, bez wyrzutów sumienia i bez żadnych wyznań.

Gdy Gideon po raz pierwszy wyznał jej miłość, Meredith zbyła go.

- Za sprzeniewierzenie się podstawowej zasadzie przyjaźni

z bonusem, czyli za nielegalne użycie słowa na K, grozi kara w postaci piętnastometrowego oddalenia.

Tamtego wieczoru, gdy dostała swoją największą sprawę i była w euforii, Gideon znów spróbował. Leżąc na podłodze i oddychając ciężko otoczony czasopismami, które spadły z przewróconego stolika do kawy, wciąż głęboko zanurzony w Meredith, szepnął jej do ucha:

- Kocham cię.

Czekał, żeby przypomniała mu zasady, a potem poczuł, że po jego policzku spływają łzy... Jej łzy.

- Przepraszam, że kazałam ci czekać tak długo - powiedziała, dotykając ustami jego ust. - Ja też cię kocham.

Jej ciało rozluźniło się, a oddech wrócił do znajomego rytmu.

- Wygramy tę sprawę - powiedziała, zapadając w sen. - Prawda?

- Mhm - odparł z przymkniętymi oczami, oddychając w jednym rytmie z Meredith. - Nie możesz przegrać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Nie wiem, po co pokazują to gównu w CNN - powiedziała Meredith, pijąc czwartą margaritę. - To powinno być na Comedy Central, bo cały ten pieprzony proces to był jeden wielki żart. - Pozostali prawnicy siedzący przy stole unieśli kufle na znak solidarności. - Mieliśmy pięćdziesięciu świadków, którzy gotowi byli pod przysięgą zaświadczyć, że Rachael O'Keefe była ćmą barową i zostawiała córkę samą na całe wieczory - perorowała Meredith, podświadomie traktując zgromadzonych przy stole jako publiczność przybyłą na salę sądową. Nawet wstała, by wszystkich lepiej widzieć. - Nasz błąd polegał na tym, że wezwaliśmy na proces tylko pięcioro z nich, a potem tylko troje takich, którzy zaświadczyli, że Rachael czuła się schwyтана w pułapkę z powodu Kimi. Że siedziała przy barze, piła białe wino i opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, że wolałaby, żeby to dziecko w ogóle się nie urodziło. Półtora dnia zeznań. I czy ława przysięgłych w ogóle to usłyszała? Tak! Usłyszała tylko tyle, by uznać ją za winną narażenia dziecka na niebezpieczeństwo. Werdykt o złej mamusi. To tak, jakby uznać, że O.J. Simpson winny był pochłapania chodnika krwią i ukarać go grzywną za zaśmiecanie publicznego miejsca. - Dopła drinka i szerokim gestem odstawiła naczynie.

Dave wstał i otoczył Meredith ramieniem.

- Usiądź już, siostrzyczko.

- Nie. - Odsunęła się od niego. - Jeszcze nie skończyłam mówić.

- Może ty usiądziesz, Dave? - włączył się Gideon. - Ona ma za sobą kilka trudnych miesięcy, więc pozwól jej się wygadać.

Dave potrząsnął głową, ale bez sprzeciwu opadł na krzesło.

Gideon podał Meredith swoje piwo.

- Proszę bardzo, mała. Gadaj, ile chcesz.

- Dobrze. Może poudajemy, że to ja jestem Rachael O'Keefe - powiedziała niewyraźnie. - Jest druga nad ranem, a ja ledwie trzymam się na nogach.

- Przekonałaś mnie! - zawołał Gideon, a wszyscy ryknęli śmiechem.

Meredith skłoniła się lekko.

- Klub Dramatyczny Uniwersytetu Nowy Jork. O czym to ja mówiłam? A tak. Zygziem przechodzę przez ulicę i wracam do mieszkania - ciągnęła, znów wcielając się w Rachael. - Zaglądam do córki, bo nawet pijane matki zagląдают do swoich dzieci. Zostawiona sama w ciemnościach na wiele godzin nieszczęsna Kimi płacze. Ten cholerny dzieciak przez cały czas płacze, myślę, więc łapię poduszkę i przyciskam jej do twarzy. Nie chcę jej zabić, chcę tylko, żeby się zamknęła. I to działa. Dziecko przestaje płakać. Cisza jest tak przyjemna, że trzymam poduszkę przy jej twarzy jeszcze przez chwilę. I wtedy mała przestaje oddychać. Ups. Nie chciałam tego zrobić. Nie chciałam jej zabić.

Wyprostowała się, wygładziła spódnice, ale milczała przez chwilę dla lepszego efektu.

Wreszcie zwróciła się do całej grupy:

- Szanowna ławo przysięgłych! Rachael O'Keefe być może nie zamierzała zabić swojej córeczki, ale gdy już to zrobiła, z całą świadomością próbowała zatrzeć ślady morderstwa. Któż inny mógłby tak schludnie, tak starannie zawinąć dziecko w kocik i wrzucić do worka na śmieci? Kto jeszcze oprócz niej mógłby wymknąć się przez wejście dla dostawców i zostawić ciało Kimi obok pięćdziesięciu innych worków czekających na śmieciarkę? Zła mamusia? Nie, Rachael O'Keefe zawsze była złą mamusią. Ale

tej nocy stała się mamusią morderczynią.

- Mnie przekonałaś - powiedział Gideon. - Uważam ją za winną.

- Dziękuję. - Meredith pociągnęła kolejny łyk piwa. - Szkoda, mój przystojny przyjacielu, że nie byłeś jednym z ławników. Wiesz, na czym polegał ich problem?

Gideon wzruszył ramionami, po czym odparł:

- Moim zdaniem na uszkodzeniu mózgu.

Meredith śmiała się o wiele dłużej i głośniejsze, niż żart na to zasługiwał, a potem odparowała:

- Nie, to zbyt łagodna opinia. Ława przysięgłych miała problem z tym, że nikt nie widział, jak Rachael O'Keefe zabija swoją córkę. Dwunastu dobrych, uczciwych ludzi? Raczej dwunastu kretynów z potężnie uszkodzonymi mózgami! - Kolejna krótka przerwa, kolejny łyk piwa. - Chciałabym was o coś zapytać - zwróciła się do całej grupy. - Jeśli budzicie się rano, szyby w oknach są mokre i chodniki też są mokre, to czy musicie rzeczywiście widzieć i słyszeć deszcz, by dojść do nieuniknionego wniosku, że w nocy padało?

- Nie! - zawołali wszyscy.

- Nie - powtórzyła Meredith. - Nie musieliśmy widzieć, jak Rachael zabija Kimi, by wiedzieć, że to zrobiła. Nie widziano, żeby ktokolwiek inny wchodził do budynku albo z niego wychodził. Nikt inny nie miał dostępu do mieszkania. A co najważniejsze, nikt inny na całym świecie nie miał motywu. Rachael O'Keefe zamordowała swoją córkę o drugiej nad ranem, zaczekała osiem godzin, aż ciało znajdzie się w śmieciarce, a potem zadzwoniła na policję i zgłosiła zaginięcie. Ta sprawa była prosta jak drut. Jak, do cholery, mogliśmy ją przegrać?

- Wystarczy już - powiedział Dave do Gideona. - Dosyć. Ona tylko siebie dręczy.

Wszyscy wiedzieli, jak to się stało, że przegrali, ale nikt nie odezwał się nawet słowem. Nikt nie chciał, żeby Meredith pomyślała, że obwiniają ją za to.

Dave podniósł się, znów objął ją ramieniem i posadził obok Gideona.

- Jak myśmy to, do cholery, przegrali? - powtórzyła, ukrywając twarz na jego piersi. - Jak myśmy to przegrali?

A potem, zupełnie jakby bogowie z CNN usłyszeli jej pytanie, na ekranie pojawiła się odpowiedź.

Czarodziej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jednym z najważniejszych świadków oskarżenia była Audrey Yeager, niezamężna, zatrudniona w kancelarii prawniczej kobieta w średnim wieku, która mieszkała po sąsiedzku z O'Keefe. Meredith przygotowała ją na przesłuchanie i ku swojemu zdumieniu w dniu, kiedy przesłuchiowano Yeager, poproszono ją, by usiadła przy stole prokuratora.

Audrey zrobiła, co trzeba. Spokojnie i elokwentnie zaświadczyła, że wiele razy w przeszłości słyszała płacz Kimi i wbrew temu, co twierdziła Rachael, Kimi nie zawsze dzwoniła na jej komórkę, a jeśli nawet to robiła, Rachael nie śpieszyła się do domu.

- Czasami słyszałam płacz tego biednego dziecka przez kilka godzin - opowiadała Audrey w sądzie. - Zaczynała płakać, zanim jeszcze się położyłam, a potem ten płacz na przemian nasilał się i cichł od wyraźnych jęków do cichego mamrotania. Ale ponieważ sypialnia Kimi znajdowała się naprzeciwko mojego salonu, wszystko wyraźnie słyszałam. To było bardzo bolesne.

Jej zeznania miały kluczowe znaczenie. Rachael O'Keefe jawiła się w nich jako lekkomyślna, zaniedbująca dziecko matka, która zostawiała je samo noc po nocy. Oświadczenie Rachael, że można ją było w każdej chwili przywołać telefonicznie, okazało się mocno dziurawe. W rzeczywistości, jak utrzymywał prokurator, Rachael najczęściej wracała do domu pijana i w tym stanie musiała uspokajać rozhisteryzowane dziecko. Ale w tę tragiczną niedzielną noc Rachael nie miała cierpliwości ani chęci uspokajać córki. Przygniótł ją ciężar macierzyństwa i w stanie upojenia alkoholowego nakryła głowę Kimi poduszką, żeby ją uciszyć.

Może nie zrobiła tego z premedytacją, ale intencja pozbawienia życia była niewątpliwa. Morderstwo drugiego stopnia.

A potem na scenę wstąpił Dennis Woloch, prawdziwa legenda palestry, obrońca, który raz za razem wyrywał zwycięstwo ze szczęk oskarżenia. Felietonista *Daily News* napisał kiedyś, że Woloch ze względu na niezwykłą umiejętność rzucania czaru na ławę przysięgłych powinien zmienić nazwisko na Czarodziej.

Przydomek przyłgnął, a Woloch był z niego bardzo dumny. Jeszcze przed czterdziestką zaczął przyjmować tylko dwa rodzaje spraw: od klientów z mocno wypchanymi kieszeniami, na których mógł się wzbogacić, oraz stracone sprawy w typie Rachael O'Keefe, na których budował swoją sławę.

- Pani Yeager - powiedział, pochylając się w stronę świadka. - Znamy się, prawda?

- Tak, proszę pana - odpowiedziała Audrey.

- Pracuje pani w kancelarii jednego z moich kolegów i spotkaliśmy się już wielokrotnie.

- Tak, to prawda.

- Czy wie pani, co o pani myślę?

- Nie, nie wiem, proszę pana. - Audrey wyraźnie się skurczyła.

- No cóż, w takim razie powiem to oficjalnie. - Cały się rozpromienił. - Szanowna ławo przysięgłych! Ta kobieta ma wielkie serce. Rzadko spotyka się osoby tak opiekuńcze, dobre i współczujące jak ona.

Kilku członków ławy przysięgłych uśmiechnęło się, a wszyscy wydawali się zaskoczeni. Dlaczego obrońca wystawia tak doskonałe świadectwo najważniejszemu świadkowi oskarżenia? Meredith również tego nie wiedziała, ale poczuła w ustach metaliczny smak i żołądek zaczął jej się wywracać na drugą stronę.

- Audrey - powiedział Czarodziej. - To musiało być dla pani bardzo trudne, gdy słyszała pani noc po nocy, jak to biedne dziecko płacze.

- Tak, to było trudne.

Meredith skinęła głową. Po prostu odpowiadaj na pytania, powtórzyła w duchu to, co wbijała Audrey do głowy. Nie dodawaj nic od siebie.

- Czy rozmawiała pani o tym z jej matką?

- Nie, nigdy.

- Dlaczego?

- To byłoby niewłaściwe.

- Tak, potrafię to zrozumieć - stwierdził Wołoch. - Któż z nas chciałby wtrącać się w życie sąsiadów i udzielać im wskazówek na temat wychowania dzieci. Zgodzi się pani ze mną?

Gdy Audrey w milczeniu tylko skinęła głową, dodał:

- A zatem pozwalała pani, żeby biedna mała Kimi wypłakiwała sobie oczy noc po nocy.

Yeager nadal milczała, siedziała zupełnie nieruchomo z kamienną twarzą.

- Przepraszam - powiedział Wołoch. - Nie dosłyszałem pani odpowiedzi. Może moje stwierdzenie było zbyt ogólne. Sformułuję zatem pytanie. Pani Yeager, czy pozwalała pani, żeby Kimi O'Keefe, sama i przestraszona, zanosila się płaczem przez długie godziny, gdy jej nic niewarta matka upijała się w barze w nadziei, że ktokolwiek, kto nosi spodnie, zechce wejść z nią na górę i zabrać ją do łóżka?

- Sprzeciw! - wykrzyknął prokurator. - To jest dręczenie świadka.

- Oddalam sprzeciw - szybko oznajmił sędzia. - Panie Wołoch, pozwalam panu zadawać tego rodzaju pytania, ale oczekuję, że

powstrzyma się pan od obraźliwych słów i będzie traktował świadka uprzejmie.

- Najmocniej przepraszam Wysoki Sąd. - Wołoch skłonił się. - A także panią Yeager. Znam panią. Naprawdę odznacza się pani tymi wszystkimi szlachetnymi cechami charakteru, o których wspomniałem, i choć jestem w stanie uwierzyć, że nigdy nie rozmawiała pani z panią O'Keefe o tym, że zaniedbuje obowiązki rodzicielskie, to nie potrafię sobie wyobrazić, by pozwoliła pani tej dziewczynce cierpieć i nie zrobiła nic, by jej pomóc. Czy mam rację?

- Tak.

Meredith siedziała nieruchomo z mocno bijącym sercem, pocąc się na całym ciele.

- Proszę powiedzieć ławie przysięgłych, co pani zrobiła, żeby pomóc Kimi.

- Którejś nocy zadzwoniłam do jej drzwi - powiedziała Yeager. - Powiedziałam, że to ja, sąsiadka, Audrey Yeager. Kimi trochę mnie znała i otworzyła. Weszłam do środka i uspokoiłam ją.

- Jak pani to zrobiła?

- Czytałam jej książkę albo śpiewaliśmy piosenki, a czasem bawiłyśmy się lalkami. Było mnóstwo rzeczy, które lubiłyśmy robić.

- A zatem odwiedzała pani Kimi więcej niż raz?

- Tak.

- Więcej niż pięć razy?

- Tak.

- Więcej niż dziesięć?

- Tak, więcej.

- Nie targujmy się o liczby. Czy możemy po prostu powiedzieć, że wielokrotnie wchodziła pani do sąsiedniego mieszkania

i dotrzymywała Kimi towarzystwa? Czy też należałoby powiedzieć, że robiła to pani często?

- Bardzo często.

- Czy jej matka o tym wiedziała?

- Nikt o tym nie wiedział - odrzekła Audrey. - Ostrzegłam Kimi, że jeśli komuś o tym opowie, to nakrzczą na mnie i nie będę już mogła do niej przychodzić.

- Czy kiedykolwiek zrobiła pani coś, co mogłoby skrzywdzić Kimi? - zapytał Wołoch łagodnie.

- Och Boże, nie! Ja... ja ją kochałam. Nie mam dzieci... - Przerwała na moment. - Nie mogłam patrzeć na to, jak matka ją traktowała. - Po jej policzkach spłynęły łzy. - Tak naprawdę stałam się dla Kimi zastępczą matką. Nazywała mnie mamą Audrey. Była tym najlepszym, co zdarzyło mi się w życiu, a ta... ta...

Audrey Yeager była damą i słowo, którego chciała użyć, nie przeszło jej przez gardło.

Wołoch podszedł do stołu, podał jej pudełko chusteczek i zaczekał, aż Audrey się uspokoi.

- Proszę mówić dalej.

Wzięła głęboki oddech.

- Kimi była tym najlepszym, co zdarzyło mi się w życiu - powtórzyła. - A Rachael ją zabiła.

- Być może ma pani rację - powiedział Wołoch. - To bardzo możliwe, że Rachael O'Keefe wróciła tamtej nocy do domu i zabiła swoją córkę.

Urwał i odczekał chwilę.

Długą chwilę, tak długą, że stała się słyszalna w całej sali.

- Ale! - wykrzyknął wreszcie, a Meredith wiedziała, co zaraz usłyszy. - Ale - powtórzył Wołoch już ciszej. - Ale Kimi była

spragnionym miłości dzieckiem i chętnie, a nawet gorliwie otwierała drzwi każdemu, kto usłyszał jej szloch i chciał ją pocieszyć.

- Sprzeciw!

- Oddalony.

- Może był jeszcze jakiś współczujący albo niezbyt współczujący sąsiad, który miał już dość nieustannego płaczu. Albo nie zrównoważony psychicznie dostawca pizzy. Albo ktokolwiek z tysiąca przypadkowych przechodniów, który mógł wejść do budynku, gdy portier wyszedł do toalety. Zatem to mogła zrobić ona. - Wskazał na Rachael i znów podniósł głos. - Albo mógł to zrobić ktokolwiek inny. Czy mam rację, Audrey?

Pani Yeager potrząsnęła głową.

- Proszę odpowiedzieć.

- Tak, ma pan rację.

Woloch zwrócił się do ławy przysięgłych.

- Tak, mam rację. To... mógł... być... ktokolwiek. A spragniona uwagi Kimi otworzyła drzwi i wpuściła tę osobę do środka.

Powoli podszedł do stołu obrony i odsunął sobie krzesło.

A Meredith, nim usłyszała jego dalsze słowa, już przepowiedziała je sobie w myślach.

- Szanowna ławo przysięgłych, pani Yeager pracuje w kancelarii prawniczej i może zaświadczyć, że coś takiego nazywamy uzasadnioną wątpliwością. Bardzo, bardzo, bardzo mocno uzasadnioną wątpliwością - powtórzył i usiadł.

Ława przysięgłych była zahipnotyzowana.

Czarodziej po raz kolejny rzucił swój czar.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kylie i ja jechaliśmy Trzecią Aleją, każde pogrążone we własnych myślach. Ja pisałem w głowie scenariusze czarnych oper mydlanych. Wszystkie kończyły się tym, że Cheryl rzucała mnie dla Matta Smitha. Znając Kylie, przypuszczałem, że kombinuje, jak najlepiej może wykorzystać swoje supermoce, by ocalić męża przed autodestrukcją.

Skreśliśmy w prawo w Dziewięćdziesiątą Drugą i wjechaliśmy w obszar katastrofy budowlanej, znanej również jako projekt budowy metra przy Drugiej Alei. Genialny pomysł, żeby wydrążyć tunel prowadzący od Harlemu do dzielnicy finansowej, powstał jeszcze kilkadziesiąt lat przed moim urodzeniem. Wykopki zaczęły się w dwa tysiące siódmym, a jeśli kiedykolwiek uda się znaleźć odpowiednią ilość funduszy i dokończyć cały dwunastokilometrowy odcinek, zapewne będzie to długo po mojej śmierci. A tymczasem Druga Aleja od Sześćdziesiątej Trzeciej do Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy wygląda jak Bagdad po bombardowaniu.

Zaparkowaliśmy przy Pierwszej Alei i wróciliśmy kawałek piechotą. W powietrzu czuło się jesień. Było zaledwie parę stopni powyżej zera i bary przy Drugiej Alei rozkręcały już na całego promocje na Halloween. Plakaty w oknach przedstawiały gobliny, duchy, wampiry i piwo marki Sam Adams Octoberfest.

Naszym pierwszym przystankiem był Foggy Goggle, bar o nazwie typowej dla tej części Upper East Side. Gdy byłem dzieckiem, knajpa w naszej dzielnicy nazywała się Chop's Tavern, ale w tej okolicy nikt nie zapłaciłby piętnastu dolców za jabłkowe martini w barze o nazwie Chop's. W sezonie futbolowym ruch

w poniedziałkowe wieczory jest równie wielki jak w piątki i chociaż nie grała akurat żadna z nowojorskich drużyn, bar był zapchany po brzegi kibicami pełnymi nadziei, że zobaczą, jak Miami miażdży New England Patriots.

Mieliśmy przy sobie ulotki ze zdjęciem Evelyn i zaczęliśmy od naszej największej szansy, czyli od palaczy przed barem. Kilka osób widziało ją w wieczornych wiadomościach, ale nikt nie zauważył, żeby przechodziła obok baru w piątek wieczorem. W środku też niczego się nie dowiedzieliśmy.

Następny był bar Sticks and Balls. Tutaj niemal połowa klientów siedziała w drugiej sali, gdzie odbywał się poniedziałkowy turniej snookera, a druga połowa kibicowała przeciwnikom Patriotów.

Rozdzieliliśmy się. Przynajmniej tuzin facetów, którym alkohol podniósł poziom testosteronu, stwierdziło, że być może coś wiedzą, i chciało przedyskutować to z Kylie nad drinkiem. Miała na to standardową odpowiedź:

- Świetnie. Może porozmawiamy u mnie, w Dziewiętnastym Komisariacie. Możesz zostać na noc.

Po dziesięciu minutach byliśmy już pewni, że niczego się tu nie dowiemy, więc poszliśmy do następnego baru, Not a Health Club. Ta nazwa musiała przemawiać do drinkowej klienteli, bo przed barem stało dwa razy więcej palaczy niż przed dwoma poprzednimi. Po kolei patrzyli na zdjęcie Evelyn i potrząsali głowami. Przepytałiśmy już mniej więcej połowę, gdy jeden z palaczy podszedł do Kylie.

- Jestem Romeo, szukaliście mnie?

Mierzył około metra sześćdziesięciu i ważył jakieś sto dwadzieścia kilo. Miał przerzedzone kręcone włosy i gęstą, nieporządną brodę, przy której okrągła twarz wydawała się

jeszcze okrągłejsza. Szczerze wątpiłem, by jakakolwiek kobieta mogła go szukać, zwłaszcza jeśli podrywał je tekstem: „Jestem Romeo, szukałaś mnie?”.

- Po co miałabym cię szukać? - zdziwiła się Kylie.

- Jesteście z policji, tak? Szukacie informacji na jej temat? - Wskazał ulotkę w ręku Kylie. - To ja do was dzwoniłem. Joe Romeo.

- Kiedy pan dzwonił? - zapytała Kylie.

- Dziś wieczorem, zaraz po tym, jak usłyszałem o morderstwie Evelyn Parker-Steele w wiadomościach o szóstej. Zadzwoiłem na gorącą linię. Znalazłem w sieci na waszej stronie numer, ten, gdzie dają dwa tysiące dolarów, jeśli wskazówka pomoże znaleźć zabójcę. Potem zadzwoniłem jeszcze raz o wpół do ósmej. Powiedziałem, że nie mogę siedzieć przez cały wieczór w mieszkaniu i że znajdziecie mnie tutaj.

Gdy morderstwo trafia na pierwsze strony gazet, nasza gorąca linia odbiera setki telefonów. Wszystkie są sprawdzane, ale to długo trwa, więc nie było sensu mówić mu, że jego wiadomość leży gdzieś zagrzebana pod stertą szlamu.

- Ach tak - powiedziałem. - Odebraliśmy oba telefony. Proszę nam powiedzieć, co pan wie, panie Romeo.

- To był piątek wieczór koło jedenastej. Wyszedłem zapalić i zobaczyłem tę Evelyn Parker-Steele. Szła Drugą Aleją. Wtedy nie wiedziałem, kto to jest, ale obejrzałem się za nią. Handluje ciuchami, a ta kobieta umiała się ubrać. Szary kostium ze spodniami, bluzka z jedwabiu w kolorze burgunda, czółenka z odkrytą piętą od Briana Atwooda. Nie są tanie.

- Widział pan, dokąd poszła? - zapytała Kylie. - Może skręciła za róg albo wstąpiła do innego baru?

- Nie. Zatrzymał się przy niej samochód - powiedział Romeo,

zaciągając się papierosem. – Czarny SUV.

– Widział pan kierowcę? – zapytałem.

– Nie, ale facet, który siedział z tyłu, opuścił szybę w oknie i zawołał do niej.

Facet, który siedział z tyłu? Kylie i ja popatrzyliśmy na siebie.

– Jest pan pewien, że ten facet siedział z tyłu?

– Tak. Widać było, że ona go nie zna. Pomyślałem, że to jakiś pajac próbuje podrywu, ale ona do niego podeszła. Zacząłem się przyglądać uważniej, bo spodziewałem się, że pośle go na drzewo, ale słuchała go przez jakieś dziesięć sekund, a potem otworzyła drzwi i wsiadła.

– Tak po prostu wsiadła? – zapytałem. – On nie wysiadł z samochodu i nie pomógł jej wejść?

– Nie. – Romeo potrząsnął głową. – Wskoczyła na tylne siedzenie.

– Naprawdę jest pan zupełnie pewny, że w samochodzie było dwóch mężczyzn? – Świadkowie, którzy wcześniej coś pili, nie są zanadto wiarygodni, próbowałem więc sprowokować Romea, żeby się przekonać, czy będzie konsekwentny w tym, co powiedział.

– Nie, nie jestem pewny, że to było dwóch mężczyzn. Nie widziałem kierowcy. To mogła być kobieta albo tresowana małpa.

– Czy potrafi pan opisać tego mężczyznę, który siedział z tyłu?

– Był biały.

– Coś jeszcze?

– Nie wiem, nie widziałem twarzy, ale rękę trzymał opartą na oknie. Tylko nie próbujcie wysiudać mnie z nagrody przez to, że nie widziałem twarzy. Podpowiedziałem wam czarny samochód i białego faceta. To musi być coś warte.

– Jasne, że tak – powiedziałem. – Bardzo nam pan pomógł. Dziękuję, że pan zadzwonił.

Romeo zgasił papierosa, podał Kylie wizytówkę i zniknął w barze.

- Opisał ubrania, które miała na sobie - zauważyła Kylie. - A to, że widział, jak Evelyn wsiadała do samochodu, zgadza się z teorią Matta, że zanim zniknął sygnał komórki, zdążyła dojechać Drugą Aleją do Pięćdziesiątej Dziewiątej i do mostu na Queens.

- No dobra - powiedziałem. - W takim razie zreasumujmy. Mamy dwóch podejrzanych. Jeden jest mężczyzną, drugi nieokreślonej płci, w czarnym SUV-ie, który jedzie w stronę Queensu. I nasz podejrzany mężczyzna z całą pewnością ma białą dłoń.

Kylie nie przestawała się uśmiechać.

- To bardzo zawęża pole działania - stwierdziła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Skończyliśmy pracę o dziesiątej piętnaście wieczorem. O dziesiątej szesnaście zadzwoniłem do Cheryl do domu. Nie odebrała, a ja nie zostawiłem wiadomości.

Punkt szósta następnego ranka byłem już w bistrze U Gerri. Usiadłem przy stoliku, tym samym co zawsze. Zdziwiłem się, gdy Gerri odpędziła kelnerkę i sama nalała mi gorącej kawy.

- I jak ci idzie z tą panią psychiatrą, Zach?

Bistro znajduje się niedaleko komisariatu, zaraz za rogiem, a Gerri Gomperts, skrzyżowanie dobrej ciotki z kącikiem porad w gazecie, bardzo dba o to, by wiedzieć wszystko o wszystkich. Po dziewiętnastce krąży żart, że gdy faceci z Departamentu Spraw Wewnętrznych chcą się czegoś dowiedzieć o którymś z naszych policjantów, to nawet nie wstępują do komisariatu, tylko idą od razu tam.

Gerri na bieżąco obserwowała mój związek z Cheryl, jeszcze zanim ja się zorientowałem, że to jest związek.

- Chyba wszystko w porządku. - Zdobyłem się na fałszywy uśmiech.

Gerri odpowiedziała mi tym samym.

- To takie romantyczne. A jednak rzadko się słyszy piosenki o miłości z tekstem „chyba wszystko w porządku”.

Cheryl pojawiła się pięć minut później i usiadła przy moim stoliku, a Gerri deptała jej po piętach.

- Dzień dobry, pani doktor - powiedziała, nalewając kawy.

- Jak to? - zdziwiłem się. - Nie ma sojowej latte?

Spojrzenia ich obu powiedziały mi wyraźnie, że żart nie wypalił.

- Nie udało mi się przejrzeć wczoraj tych teczek - powiedziała

Cheryl, gdy Gerri odeszła. - Czy to może poczekać do południa?

- Zaraz ruszamy z Kylie w miasto. Może spotkamy się po piątej, a potem pójdziemy na kolację?

- Dzień dobry - odezwał się znajomy baryton. To był Matt Smith, gwiazda mojej czarnej opery mydlanej. - Niestety nie mogę do was dołączyć, kupię sobie tylko kawę na wynos. Kapitan Cates ma jakiś problem ze skrzynką mejlową i chce, żebym się tym zajął jak najszybciej. Jak było wczoraj wieczorem?

- Fantastycznie - odrzekła Cheryl. - Tak jak obiecywałeś.

- Prawdę mówiąc, to było pytanie do Zacha - powiedział Matt. - Znaleźliście coś w tych barach?

- Mamy ślad. Wygląda na to, że ktoś, albo raczej dwóch ktosiów, zabrał Parker-Steele czarnym SUV-em dokładnie z tego miejsca, gdzie zniknęła ci z radaru.

- Dobra robota. To wyjaśnia, w jaki sposób znalazła się tak szybko na moście przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Mam dane z jej komórki. Sprawdzę, czy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy dzwoniła do kogoś, kto ma czarnego SUV-a. Zajmę się tym, jak tylko naprawię mejla pani kapitan. Nadal szukam źródła, z którego kupił tę gruszkę.

- Dzięki - powiedziałem.

- Nie dziękuj. To przyjemność pracować razem z tobą. A co do ciebie, pani doktor - zwrócił się do Cheryl. - Zajrzyj do mnie w porze lunchu. Zjemy coś i opowiesz mi o wczorajszym wieczorze.

- Dobrze - powiedziała.

Poczekaj, aż Matt wyjdzie, i zapytałem:

- A zatem, pani doktor, co takiego fantastycznego działo się wczoraj wieczorem?

- Sztuka. Mówiłam ci, że zabieram rodziców do teatru na rocznicę ślubu. To nowy spektakl off-Broadway, który Matt mi polecił.

- Przepraszam, byłem zajęty i wyleciało mi z głowy. Cieszę się, że się udało.

- I to doskonale. Matt zna autora sztuki. Uprzedził go, że przyprowadzę mamę i tatę za kulisy, żeby go poznali. Byli wniebowzięci.

- To fantastycznie.

- Zach, wydajesz się dziwnie roztargniony. Co się z tobą dzieje?

- To osobista sprawa.

- Masz ochotę mi o tym opowiedzieć?

- Pytasz jako psychiatra czy jako przyjaciółka?

- Tak czy owak, to zostanie między nami. Co cię dręczy?

Po pierwsze to, że masz zajrzeć do gabinetu Matta w porze lunchu. Ale tego oczywiście nie mogłem jej powiedzieć.

- Chodzi o Spence'a. - Szukałem jakiejś wymówki, którą Cheryl mogłaby kupić. - Uzależnił się od środków przeciwbólowych. To źle wpływa na Kylie.

- Na ciebie najwyraźniej też.

- No wiesz, to mąż mojej partnerki. To, co dzieje się u nich, wpływa również na mnie.

- Czy to wszystko?

- To wszystko, co mnie dręczy. Nie ma nic więcej.

Cheryl potarła podbródek i z namysłem skinęła głową.

- Detektywie Jordan, bardzo pięknie ściemniasz. Mam tylko jedno pytanie: okłamujesz mnie jako psychiatrę czy jako przyjaciółkę?

Przejrzała mnie. Roześmiałem się głośno.

- Jedno i drugie, ale zdaje się, że żadna z was tego nie kupuje.

Cheryl podniosła się od stołu.

- Zach, nie wiem, jaki masz problem, ale nawet gdybym wiedziała, tobym ci nie powiedziała. Będzie lepiej, jeśli sam do tego dojdiesz. Wtedy będę mogła ci pomóc. Muszę lecieć. I owszem, bardzo chętnie pójdę z tobą na kolację. Jeśli chcesz, możemy wieczorem wrócić do tej rozmowy.

Wyszła, a ja jeszcze przez chwilę siedziałem przy stoliku, dopijając resztki kawy. Potem wstałem i podszedłem do drzwi. Gerri siedziała przy kasie. Nie powiedziała ani słowa, tylko zmarszczyła czoło.

- Co ci jest, Gerri? - zapytałem.

- Nic.

- W twoim milczeniu słyszę wyraźny osąd.

- Przecież mnie znasz. Bardzo szanuję osobiste granice.

- Od kiedy?

- Skarbie, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, co myślę, to mnie zapytaj.

- Dobrze, Gerri. Więc pytam: co myślisz?

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?

Wyraźnie zaczęła się mną bawić. Wiedziałem, że będę tego żałował, ale wiedziałem też, że prędzej czy później i tak mi powie.

- Nie krępuj się.

- Nie będziesz zadawał żadnych pytań. Po prostu powiem, co myślę. Bez dyskusji. Nie mam ochoty wstępować do kółka dyskusyjnego.

- Dobrze, żadnych pytań. Powiedz po prostu, co myślisz.

Wstała, starając się wydawać jak najwyższa, chociaż i tak była o trzydzieści centymetrów niższa ode mnie, i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Myślę, że powinieneś wyciągnąć wreszcie głowę z dupy.

- Coś jeszcze?
- Tak. Dolar pięćdziesiąt za kawę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Była zaledwie szósta czterdzieści pięć, kiedy wszedłem do gabinetu, ale Kylie siedziała już przy biurku.

- Dzień dobry, detektywie - powiedziała. - Miło, że wpadłeś.

- Zdaje się, że ty i Spence spędziliście przyjemny ranek - odrzekłem.

- Wyszłam z domu, zanim się obudził. To najprzyjemniejszy wariant. Cates już na nas czeka.

Przekazanie kapitan Cates wszystkich nowin na temat Evelyn zajęło nam dziesięć minut. Przerwała nam tylko dwa razy - za pierwszym razem wtedy, kiedy powiedzieliśmy jej, że oba komputery Evelyn zniknęły.

- I portier z całą pewnością widział, jak Sykes wynosiła laptopa Evelyn? - zapytała.

- Ściśle biorąc, widział tylko, że miała w ręku torbę na laptopa - powiedziałem. - Ale dała mu sto dolców, żeby zapomniał o tym, co widział.

- Kolejny jaskrawy przypadek utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości, z którym nasz durny wymiar sprawiedliwości nic nie może zrobić - stwierdziła Cates.

Drugi komentarz wygłosiła, kiedy usłyszała, że Joe Romeo widział, jak Evelyn wsiadała w piątek wieczór do czarnego SUV-a, w którym siedziały dwie osoby.

- Więc myślicie, że mamy dwóch Czyścicieli?

- Zabójca Hollywood nad rzeką Hudson miał pomocnika - zauważyła Kylie. Taki tasiemcowy przydomek media nadały świrowi, który mordował filmowców z Los Angeles przybyłych na zjazd do Nowego Jorku. - Biorąc pod uwagę, że Czyściciel musiał

przenosić ciężkie ciała, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby on też kogoś takiego miał.

- Udało się wam precyzyjnie określić miejsce, z którego uprowadzono Evelyn Parker-Steele - stwierdziła Cates. - I znaleźliście naocznego świadka, który widział, że z własnej woli wsiadła do czarnego SUV-a, w którym siedziały co najmniej dwie osoby. W ciągu dwudziestu czterech godzin zebraliście więcej istotnych informacji niż Donovan i Boyle przez cztery miesiące.

- Proszę nie przeceniać naszych zasług - odparła Kylie. - Ci dwaj ustawili poprzeczkę bardzo nisko. Akta, które zebrali na temat trzech pierwszych zabójstw, w sumie przypominają broszury. Nie mamy się na czym oprzeć, więc pomyśleliśmy, że dobrze byłoby powtórzyć niektóre fragmenty ich dochodzenia.

- Gdyby udało się nam ustalić, w jakich miejscach uprowadzono pozostałe ofiary, to może znaleźlibyśmy świadka, który potrafiłby lepiej opisać samochód albo sprawców - zauważyłem. - Zaczniemy od drugiej ofiary, od Sebastiana Catta. Mieszkał niedaleko, na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i York Avenue.

- O co tam chodziło? - zapytała Cates.

- Nie wiemy jeszcze nic nowego, tylko to, co jest w tej żalosznej teczuszcze Donovan i Boyle'a.

- Będę z wami szczerą - stwierdziła Cates. - Mam na głowie tyle tego politycznego gówna, że nie miałam jeszcze czasu przejrzeć akt, chociaż są cienkie.

- Polityczne gówno? - zdziwiła się Kylie. - Nic o tym nie słyszałam. Dziękuję, pani kapitan, że nas pani oszczędziła.

Cates zdobyła się na uśmiech.

- A ja dziękuję, że udało ci się mnie rozśmieszyć. Możliwe, że po raz ostatni, bo burmistrz i komisarz dyszą mi nad karkiem. A więc do rzeczy. Sebastian Catt. Powiedźcie, co o nim wiecie.

- Fotografował modę - powiedziała Kylie, kreśląc palcami w powietrzu cudzysłów.

Cates, która doskonale zna wszelkie odcienie policyjnego żargonu, z niechęcią potrząsnęła głową.

- A kogo lubił fotografować, chłopców czy dziewczynki?

- Młode kobiety - wyjaśniła Kylie. - Wyszukiwał je na stronach z ogłoszeniami, proponował karierę modelki, a potem zatrudniał przy kamerach na żywo albo w pokazach wyuzdanej bielizny na prywatnych przyjęciach. Do tego był uzależniony od seksu. Niektóre z tych dziewczyn były niepełnoletnie. Faszzerował je narkotykami, filmował nagie i już miał je w garści. Jedna czy dwie zawsze mieszkały u niego. Zmieniał je często, żeby zrobić miejsce na świeże mięso.

- Trudno uwierzyć, że ktoś mógł chcieć go zabić - mruknęła Cates.

- Najpierw to on zabił jedną ze swoich modelek - wtrąciłem. - Nazywała się Savannah Lee. Miała dziewiętnaście lat, a on czterdzieści dziewięć, ale to była trochę inna sprawa. Zakochał się w niej. Trwało to jakieś dwa miesiące, a potem pewnego wieczoru znaleziono Savannah Lee zadźganą nożem o kilka przecznic od mieszkania Catta. Jej plecak zniknął. Wyglądało to na brutalny rozbój, ale policja tego nie kupiła. Podejrzewali Catta, ale nie mieli żadnych dowodów.

- Potem pojawił się świadek, Hattie LaFleur - włączyła się Kylie. - Ona i jej mąż mieszkali przez ścianę z Catterem. Była po siedemdziesiątce i prowadziła Daffodil Grill przy York Avenue. Żwawa, energiczna, wszyscy sąsiedzi bardzo ją lubili.

- Mówisz o niej w czasie przeszłym - zauważyła Cates.

- Była drugą ofiarą Catta. Kilka razy w tygodniu Hattie kupowała Savannah Lee lunch w restauracji. W końcu udało jej

się przekonać dziewczynę, żeby rzuciła Catta i ruszyła dalej z własnym życiem. Tego wieczoru, kiedy zamordowano Savannah, Hattie wyprowadzała psa. Była pierwsza po północy. To akurat środek tego przedziału czasowego, w którym Savannah mogła zginąć. Hattie przysięgała policji, że widziała, jak Catt wkładał się do budynku w brudnym podartym ubraniu i z plecakiem Savannah w rękę. Został aresztowany i wyszedł za kaucją, a potem, tydzień przed procesem, Hattie została zadźgana nożem, gdy znów wyprowadzała psa o pierwszej po północy.

- Kolejny tak zwany brutalny rozbój - zauważyła Cates.

- Wszyscy wiedzieli, kto ją zabił - stwierdziła Kylie. - Zwłaszcza że nie znaleziono psa. Skoro już ktoś pozbywa się kobiety, która może go wsadzić do więzienia za morderstwo, to dlaczego nie miałby się za jednym zamachem pozbyć denerwującego kundla zza ściany? Ale znów nie było wystarczających dowodów i drugie morderstwo uszło mu na sucho.

- Wiemy to na pewno - dodałem - bo Catt przyznał się do obu tych morderstw na filmie w internecie. Przyznał również, że skręcił psu kark i wrzucił go do East River.

- Ciało Catta zostało podrzucone przy Międzynarodowym Centrum Fotografii na Wschodniej Czterdziestej Trzeciej - powiedziała Kylie. - Ale nie mamy pojęcia, kiedy go porwano ani skąd. To był facet, za którym nikt nie tęsknił, kiedy zniknął. Zobaczmy, czy teraz uda nam się coś ustalić. Zaczniemy od sąsiada Catta, męża Hattie, Hortona LaFleura.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

- Muszę zrobić szybki pit-stop - powiedziała Kylie, kiedy wyszliśmy z gabinetu Cates. - Przyprawdź samochód. Spotkamy się na zewnątrz.

- To musi być miłe mieć własny samochód z szoferem - powiedziałem, korzystając z każdej okazji, by zdołować swoje ego.

- Całkiem jak komisarz Harries.

- Niezupełnie. Znam kierowcę komisarza. On umie trzymać gębę na kłódkę.

Poszła do toalety, a ja schodziłem właśnie ze schodków na ulicę, gdy to się zdarzyło.

Zasadzka.

Damon Parker, brat Evelyn Parker-Steele, wyszedł zza zaparkowanego minivana. Gdyby ktoś zorganizował konkurs na najbardziej nienawidzonego człowieka w Ameryce, Damon Parker z pewnością by do niego przystąpił i bardzo by się starał wygrać. Kiedy dorastał, jego pozbawiony serca ojciec musiał fizycznie wbić mu w skórę przekonanie, że mili faceci zawsze kończą ostatni, bo Damon zrobił karierę w wiadomościach telewizyjnych jako facet, który nigdy w życiu nie zachował się w miły sposób. Był bardziej znany z ataków zza węgła i z bezczelnych pytań niż z uczciwości dziennikarskiej. A widząc za jego plecami ekipę z kamerą, zrozumiałem, że mam być kolejną ofiarą.

- Detektywie Jordan! - zawołał nie tyle do mnie, co do niewidzialnej publiczności, która wieczorem miała oglądać, jak przeciąga mnie przez rozżarzone węgle. - Ludzie chcą wiedzieć!

To był jego ulubiony slogan, a także tytuł programu

telewizyjnego: *Ludzie chcą wiedzieć*. Mój ulubiony slogan brzmi: „Gównu mnie obchodzi, co ludzie chcą wiedzieć”. Ale biuro informacji publicznej krzywo patrzy na policjantów, którzy szczerze mówią do kamery to, co myślą.

Szedłem dalej do samochodu, ale Parker i jego ekipa zastąpili mi drogę.

- Ludzie chcą wiedzieć - zagrzemiał, jakby stał o przecznice dalej, a nie podtykał mi mikrofon pod nos - dlaczego za pieniądze z ich podatków utrzymywane są siły policyjne w liczbie trzydziestu pięciu tysięcy osób, a mimo to NYPD Red, Blue czy w jakimkolwiek innym kolorze, nie potrafi znaleźć tego potwora, który okrutnie torturował i zamordował cztery niewinne ofiary.

- Bez komentarza.

- Brak komentarza to też komentarz - warknął do wiernej publiczności, która każdego wieczoru włączała telewizory, by patrzeć na jego napastliwość. - Oczywiście, że nic nam nie powie. Burmistrz założył mu kaganiec. Czy chcą państwo wiedzieć, dlaczego? Bo jest już piąta ofiara. Ale burmistrz Spellman nie chce o niej wspominać, desperacko próbując utrzymać stanowisko, na które się nie nadaje. Czy mógłby pan przynajmniej skomentować naszą piątą ofiarę, detektywie?

Piąta ofiara? Ten facet był mistrzem manipulacji, ale ja przeszedłem szkolenie, jak nie dawać się wkręcać, i nie złapałem przynęty.

- Nie mogę komentować trwającego dochodzenia - powiedziałem uprzejmie, tak jak mnie nauczono.

- W takim razie może ja powiem państwu to, czego nie chce powiedzieć burmistrz. Ten potwór Czyściciel sterroryzował nowojorczyków do tego stopnia, że wielu z nich zabarykadowało się w domach za zamkniętymi drzwiami. Byłem w Astorii,

Bensonhurst, Kew Gardens. Ludzie boją się wychodzić wieczorami z domów, na czym cierpi lokalny biznes. Restauracje są puste. Rodzinne sklepiki, które muszą polegać na okolicznej klienteli, są zamykane. Piątą ofiarą jest gospodarka miasta Nowy Jork.

To była zupełna bzdura, ale też błyskotliwe posunięcie. Prowadził kampanię dla Sykes i próbował zdobywać jej punkty moim kosztem. Robiłem, co mogłem, żeby go wyminąć, nie odpychając przy tym. Z pewnością byłby zachwycony, gdybym go dotknął. Miałby ładny przykład brutalności policji.

A potem w drzwiach komisariatu pojawiła się Kylie. Jedna z rzeczy, jakich uczą nas w akademii, brzmi: „Czasami media uciekają się do rozpaczliwych środków i atakują policjanta słownie, by sprowokować go do emocjonalnej reakcji. Nie reagujcie. Bądźcie asertywni, ale uprzejmi”. Zawsze starałem się, jak mogłem, unikać wszelkich konfrontacji z mediami, ale Kylie nawet jeśli kiedyś słyszała to przykazanie, zapewne uznała, że owszem, można je przestrzegać, ale tylko opcjonalnie.

- Damon! - zawołała ze szczytu schodów.

Ja i moja partnerka obracamy się w zupełnie różnych kręgach towarzyskich. Jako żona producenta telewizyjnego Kylie zna wiele osób z telewizji i było jasne, że zna również Parkera.

Obrócił się w jej stronę.

Kylie zbiegła ze schodków.

- Co ty tu, na litość boską, robisz, Damon?

Matador pomachał czerwoną czapeczką. Byk zbliżył się ostrożnie.

- Co ja robię? - powtórzył Parker.

Brakowało tylko aplauzu tłumu, który krzyczałby:

- Olé!

- Poszukuję prawdy! - oznajmił z patosem. - Ludzie jej pragną, detektyw MacDonald, i polegają na mnie, że im tę prawdę przyniosę. To właśnie robię. Zawsze to robię. Tylko tym razem sprawa jest osobista. Moja siostra została zamordowana i chcę, żeby jej morderca za to odpowiedział.

Bzdurę z piątą ofiarą zużył na mnie, teraz zmienił się w rozpaczającego brata.

- Czy wy w ogóle szukacie mordercy mojej siostry? A może kazano wam podsycać pożar wywołany przez tak zwaną spowiedź Evelyn i napiętnować ją jako morderczynię tylko po to, żeby wytarzać w błocie kandydatkę, w którą tak mocno wierzyła moja droga siostra?

Trudno na coś takiego nie zareagować. Parker jechał po bandzie. Wcześniej próbował wytrącić mnie z równowagi, ale ja go nie ugryzłem. Jednak Kylie to co innego. Ona lubiła gryźć.

Kamerzysta obrócił się, żeby zdążyć złapać jej reakcję. Popatrzyła prosto w obiektyw. Pani MacDonald była gotowa na ujęcie w zbliżeniu.

- Wcale ci nie zależy na sprawiedliwości. Znalezienie mordercy Evelyn to ostatnia rzecz, o jaką ci chodzi. Nie chcesz dopaść mordercy, chcesz dopaść policję i burmistrza. Wykorzystujesz śmierć siostry, żeby podnieść swoje notowania. Dlatego tu stoisz. Mam do ciebie tylko jedno pytanie, Damon. Jak, do cholery, udaje ci się wytrzymać z samym sobą? Ludzie chcą wiedzieć! - wykrzyknęła.

Nie czekając na odpowiedź, wskoczyła na przednie siedzenie i zatrzęsnęła drzwiami. Gdy odjeżdżałem sprzed komisariatu, Parker wciąż krzyczał coś do kamery. Kylie urodziła się po to, żeby łamać zasady. Łamie je i upaja się zniszczeniami.

- Jak mi poszło? - Spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem. -

Czy sądzisz, że mam jakąś przyszłość w telewizji?

- Jak dla mnie nie mogło być lepiej - powiedziałem, jadąc Sześćdziesiątą Siódmą w stronę Park Avenue. - Ale mam nadzieję, że po tych publicznych zapasach w błocie masz przed sobą jeszcze jakąś przyszłość w policji.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Upper East Side to jedna z najbogatszych części miasta, ale inaczej niż mieszkańcy Bel Air w Los Angeles, nasi bogacze nie mają miejsca na rozłożyste domy otoczone wspaniałymi ogrodami. Nieruchomości w Nowym Jorku ustawiane są pionowo i nawet apartament za dwadzieścia milionów dolarów może nie rzucać się w oczy, kiedy jest częścią czterdziestopiętrowego wieżowca.

To, co bardziej rzuca się w oczy, to nieco uboższe budynki, takie jak na przykład czteropiętrowa przedwojenna kamienica przy Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej między Pierwszą Aleją a York. Po jednej stronie sąsiaduje z pralnią chemiczną, a po drugiej z blokiem na dwieście mieszkań. Po przywiedłej fasadzie biegną klasyczne schody przeciwpożarowe pokryte łuszczącą się farbą, takie same jak na wszystkich niezbyt wysokich budynkach z kontrolowanym czynszem.

Tutaj znaleźliśmy Hortona LaFleura, człowieka, który z pewnością zaniział dochód na głowę w tej zamożnej okolicy.

Zadzwoniliśmy z dołu dzwonkiem domofonu, przedstawiliśmy się, po czym poszliśmy do mieszkania 1A położonego na parterze i od frontu. Mężczyzna, który otworzył nam drzwi, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był wychudzony i ciągnął za sobą przenośną butlę tlenową.

- Rozedma płuc - wyjaśnił mrukliwie. - Wejdźcie.

Salon był niewielki i ciasno zagracony. Musiał taki być, bo poza salonem mieszkanie składało się jeszcze tylko z malutkiej kuchenki i łazienki. Stała tu rozkładana sofa, która w nocy pełniła funkcję łóżka, i stół jadalny, który również służył za biurko. Na

ścianie nad stołem wisiał oprawiony w ramki Order Purpurowe Serce.

Moje spojrzenie pobiegło w tę stronę.

- Dziękuję panu za służbę - powiedziałem.

Skinął głową.

- Wietnam.

To było wszystko. Tylko jedno słowo, którym przekazał nam, że jest dumny ze swojego poświęcenia dla kraju, ale nie ma ochoty o tym mówić.

W kącie pokoju stały plastikowe pojemniki pełne starych telefonów i kabli. Zauważyłem też skórzany pas na narzędzia.

- Byłem monterem w firmie telefonicznej - wyjaśnił LaFleur. - Najpierw nazywała się New York Tel, potem Bell Atlantic, a na koniec Verizon. Ten sam szajs, tylko inna naszywka na kieszeni.

Pogrzebałem w jednym z pudełek i wyciągnąłem różowy telefon, model Princess z okrągłą tarczą numeryczną.

- Rzadko się je już teraz widuje - powiedziałem.

- To wczesna wersja modelu 701B. Był bardzo popularny wśród nastolatków i tak lekki, że przy wykręcaniu numeru przesunął się po stoliku, więc w nowszej wersji dodaliśmy ołowiany ciężarek.

- Czy to ma jakąś wartość?

- Tylko dla mnie. Ale niech pan sobie nie myśli, że coś z tego ukradłem. To same śmieci, ale tak to już jest z nami telefoniarzami. Na okrągło zajmujemy się sprzętem, a kiedy coś wychodzi z użycia, to ma się ochotę zatrzymać jedną czy dwie sztuki. Hattie mawiała, że wszyscy telefoniarze to chomiki. Miałem tego więcej, ale niektórych musiałem się pozbyć, kiedy się przeprowadzaliśmy do tej dziury. Nie cierpię tego mieszkania, ale tylko na takie było nas stać, a Hattie mogła stąd chodzić piechotą do pracy.

Na stole stała oprawiona w ramkę czarno-biała fotografia ślubna. Przedstawiała Hortona i Hattie kilkadziesiąt lat przed butlą tlenową i brutalnym morderstwem. Kylie wzięła ją do ręki.

- Była piękna. Przykro nam z powodu pańskiej straty.

- Ale jakoś wątpię, żebyście przyszli z tego powodu - powiedział LaFleur głosem pozbawionym emocji.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa Sebastiana Catta.

- Dlaczego?

- Jesteśmy z wydziału zabójstw. Tym się zajmujemy.

- Wiem, czym się pani zajmuje, ale dlaczego właśnie tutaj? Jakiś mściciel go zabił i nakręcił film, żeby cały świat się dowiedział, że Catt na to zasługiwał. Koniec kropka.

- Nie dla nas - stwierdziła Kylie. - Po raz ostatni widziano Catta w jego studiu fotograficznym na Osiedzi Siódmej Ulicy. Asystent Catta zeznał, że szef wyszedł około szóstej. Jego skrzynka pocztowa była pusta, więc jesteśmy prawie pewni, że dotarł do domu. W mieszkaniu były ślady świadczące o tym, że zjadł kolację. Ale potem zniknął. Był pańskim sąsiadem. Przyszło nam do głowy, że może widział pan albo słyszał, jak wracał do domu albo wychodził później?

- Nie. - LaFleur potrząsnął głową.

- Jest pan pewien, że niczego pan nie słyszał?

- Mówię, że nie słyszałem, ale nawet gdybym słyszał, to i tak bym wam nie powiedział. Ten zboczony sukinsyn zamordował moją żonę dziewięć dni przed naszą pięćdziesiątą rocznicą ślubu. Dziewięć dni. Mówiłem jej, żeby nie zgodziła się zeznawać. - Oddech LaFleura stał się ciężki. Głęboko zaciągnął się tlenem.

- Rozumiemy, co pan czuł do Catta - powiedziała Kylie. - Ale ukrywanie dowodów to przestępstwo.

Roześmiał się.

- Nie macie pojęcia, co czuję. A co do tej groźby, to dopiero dobre. Czyściciel jest na wolności, a wy jesteście od tego, żeby go znaleźć. Nieźle będzie wyglądało w raporcie, jeśli uda wam się tylko zaaresztować weterana z Wietnamu, któremu zamordowano żonę i który by dotrwać do następnego dnia, musi ciągnąć za sobą żelazne płuco. - Wyciągnął ręce przed siebie. - Proszę bardzo, może mnie pani zakuć w kajdanki.

Kylie cofnęła się.

- Horton. Czy mogę tak do pana mówić?

Popatrzył na nią, w jego oczach błysnęła wściekłość.

- Nie. Nie jesteśmy ze sobą po imieniu.

- Tak, oczywiście... Panie LaFleur, nie przyszliśmy tu po to, żeby pana aresztować, ale po tym mieście chodzi morderca i...

- Ile ma pani lat? - zapytał LaFleur.

- Trzydzieści cztery.

- W takim razie jest pani za młoda, żeby pamiętać Berniego Goetza. To było w osiemdziesiątych latach. Na stacji metra pobiło go trzech młodych chuliganów. Na miejscu znalazł się jakiś policjant po służbie i udało mu się złapać jednego, ale dwóch uciekło. Ten, którego złapano, nie spędził na komisariacie nawet połowy tego czasu co Goetz. Nawet połowy. A potem oskarżono tego gówniarza tylko o chuligaństwo za to, że podarł Goetzowi kurtkę. Po tej historii Goetz wystąpił o pozwolenie na broń. Zrobił wszystko legalnie, jak należy, i zgadnijcie, co było dalej?

- Odmówiono mu - powiedziała Kylie.

- Zgadza się. Kilka lat później Goetz był na innej stacji metra i tym razem napadło na niego czterech gówniarzy, ale on był przygotowany. Pieprzyć pozwolenie. Miał przy sobie trzydziestkęósemkę. Pach, pach, pach, pach, postrzelił wszystkich

czterech.

- To była głośna sprawa, panie LaFleur. Dobrze ją znam.

- W takim razie wie pani, jak się skończyła. Jeden z tych gówniarzy wylądował na wózku inwalidzkim. Pozostali trzej wrócili do zdrowia i do przestępczego życia. Gwałty, napady, co pani chce. Ale Goetz został skazany za nielegalne posiadanie broni i odsiedział swoje. A teraz powiedzcie mi, detektywi, kto tu jest tym złym, a kto ofiarą?

Nie odpowiedzieliśmy. Zresztą on nie czekał na odpowiedź.

- Berniego Goetza nazwano mścicielem z metra - powiedział LaFleur. - I wielu ludzi wieszało na nim psy, ale nie ja. Bo ja uważałem go za bohatera. To samo tyczy się tego faceta, który zabił Sebastiana Catta. Wierzcie mi, gdybym był dwadzieścia lat młodszy i gdybym potrafił oddychać bez tego cholernego żelastwa, to sam bym zabił sukinsyna.

Sięgnął po ślubne zdjęcie i popatrzył na kobietę, która była jego żoną przez pięćdziesiąt lat bez dziewięciu dni.

- Tylko tyle mam do powiedzenia. - Szybkim ruchem podniósł głowę i wskazał nam drzwi. - Możecie iść.

Z przyzwyczajenia położyłem na stole wizytówkę w miejscu, gdzie przedtem stało zdjęcie. Zapewne wylądowała w koszu, zanim jeszcze wsiedliśmy do samochodu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- On coś wie - powiedziała Kylie, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi mieszkania Hortona LaFleura.

- Na pewno wie, jak cię zmusić do odwrotu.

- Odpuszczam staremu zrzędzie, bo jest weteranem i zamordowano mu żonę. Gdyby był o czterdzieści lat młodszy, to nie byłabym taka miła.

- A jednak, chociaż byłaś miła, to wciąż nie jesteś z nim po imieniu.

- No dobrze, może przyciskałam go trochę za mocno. - Wzruszyła ramionami. - Ale musisz przyznać, że on coś wie.

- Wie o wiele więcej niż tylko coś. Widziałaś te wszystkie urządzenia. Te pudła z telefonami, przewodami, kablami, narzędziami do instalacji. Może naprawdę ma sentyment do tych śmieci, ale w tym pudle było coś o wiele więcej niż tylko nostalgia telefoniczna.

- Na przykład co?

- Na przykład, kiedy włożyłem tam rękę i wyciągnąłem ten bajerowski aparat dla nastolatków, zauważyłem coś, co z pewnością nie pochodziło z Bella ani z żadnej innej firmy telefonicznej, dla jakiej pracował. To coś zostało wyprodukowane przez Shenzhen Adika, a oni nie zajmują się produkcją ślicznych różowych telefonów dla licealistek. To chińska firma, która produkuje zaawansowane systemy audiowizualne służące do inwigilacji. Rzeczy, które można kupić w internecie na stronach dla szpiegów.

- Sukinsyn - mruknęła Kylie. - Założył podsłuch w mieszkaniu Catta.

- Zastanów się. Był pewny, że to Catt zamordował jego żonę. Co za problem dla kogoś takiego jak LaFleur, który przez całe życie instalował linie telefoniczne, założyć podsłuch w mieszkaniu mordercy w nadziei, że usłyszy coś, co by mogło go zdemaskować?

- Jeśli masz rację, to powinniśmy przeszukać mieszkanie Catta - powiedziała Kylie. - Nie potrzebujemy nawet nakazu rewizji. Wciąż jest zaplombowane w ramach toczącego się śledztwa.

- Możemy się tam dostać bez problemu, ale nic nie znajdziemy. Cokolwiek LaFleur tam zainstalował, rozebrał to natychmiast po zniknięciu Catta. Tam już nie ma nic. A nawet gdybyśmy znaleźli podsłuch w mieszkaniu, to nie udowodnimy, że to robota LaFleura, i z pewnością nie zmusimy go do mówienia.

- Czy myślisz, że on zna tego kogoś czy tych ktosiów, którzy zamordowali Catta?

- Nie, ale prawdopodobnie mógłby pomóc nam się dowiedzieć, kto to zrobił.

- Ale nie pomoże - stwierdziła Kylie. - Z jego punktu widzenia Czyściciel jest takim samym bohaterem jak Bernie Goetz.

- Nie jest w tym sam. Mnóstwo mieszkańców tego miasta kibicuje Czyścicielowi. Jemu czy im, bo kto wie, ilu ich naprawdę jest. Wszyscy wiedzą, że zabija drani, którym uszło na sucho morderstwo. Założyli mu nawet fanpage na Facebooku. Kochają go.

- W takim razie z całą pewnością znienawidzą nas - powiedziała Kylie. - Bo my go złapiemy.

Cała Kylie. Nic nie jest w stanie naruszyć jej pewności siebie, a już z pewnością nie taki stary zrzęda jak Horton LaFleur.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Dokąd teraz? - zapytałem, siadając za kierownicą interceptoru.

- Mamy do wyboru dwa przeciwne końce Manhattanu - powiedziała Kylie. - Ofiarą numer jeden był Alex Kang. To Chinatown. Albo ofiara numer trzy, Antoine Tinsdale. To Harlem. Wybieraj.

- Gdziekolwiek pojedziemy, zjedźcie nam do lunchu, i choć uwielbiam Red Rooster Marcusa Samuelssona w Harlemie, to dobrego dim sum nie jadłem chyba od Roku Małpy.

Kylie uniosła wyprostowany kciuk.

- Załatwione.

- I kto mówił, że policyjna robota jest trudna? - powiedziałem, skręcając w stronę FDR Drive.

- A skoro już mowa o małpach, Chinatown to rejon Donovana i Boyle'a - zauważyła Kylie. - Pracują w piątce od lat. Ich raporty były beznadziejne, ale można by pomyśleć, że chociaż akta Kanga powinny być zrobione porządnie. Ale wnosząc z ich notatek, rozmawiali tylko z jednym facetem.

- Widziałem. Pewnie rozmawiali z kimś jeszcze, ale w raporcie wymienili tylko jednego. Oni nie są dobrzy w papierologii.

- To znaczy, że są po prostu leniwi - stwierdziła Kylie. - Ale czy widziałeś nazwisko tego jednego, którego przesłuchali?

- Tak. - Roześmiałem się.

- Zach, to nie jest zabawne. Widać, że gównu ich to wszystko obchodziło i nawet nie przyszło im do głowy, że ktoś inny może przejąć tę sprawę.

- Pojadę przez FDR aż do zjazdu na Brooklyn Bridge. Podaj mi

dokładny adres w Chinatown.

- Mogę ci podać tylko to, co napisali w raporcie. Nie mam pojęcia, czy te osły czegoś nie pomyliły. Napisali tak: Siedziba gangu CP Emperors, Mulberry 58.

- Przypomnij mi raz jeszcze - rzuciłem kpiąco. - Jak się nazywa ten facet, którego przesłuchali?

Otworzyła jedną z teczek, udając, że przegląda zawartość.

- Zaraz zobaczę - powiedziała, całym sercem przyłączając się do zabawy. - O, tu jest. Z tych nieskazitelnych raportów wynika, że detektywi Donovan i Boyle przesłuchali gangstera, który się nazywa John Doe^[1].

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Siedziba CP Emperors mieściła się w samym sercu chińskiej dzielnicy na parterze przysadzistego budynku z czerwonej cegły. Wyglądała dość niewinnie, ale najwyraźniej była to forteca. W oknach zainstalowano metalowe kraty, wejście osłaniała podciągnięta w tej chwili do góry pancerna metalowa brama, a same drzwi wejściowe również zrobione były z solidnej stali. Brakowało tylko fosy.

Kylie zadudniła pięścią w drzwi.

- NYPD! - wykrzyknęła i spojrzała na mnie. - Chyba powinniśmy się przedstawić, na wypadek gdyby nie odgadli, kim może być ta biała para, która podjechała pod dom nieoznakowanym policyjnym samochodem.

Drzwi otworzyły się i drogę zagroził nam chiński gangster o żółtawej twarzy i w czarnym ubraniu. Zwykle ten kolor wyszczupla, ale przy jego stu pięćdziesięciu kilogramach nic to nie pomogło. Wypełniał sobą całe drzwi.

- NYPD - powtórzyłem. - Kto tu jest szefem?

- Macie nakaz?

- A po co nam nakaz? Przyszliśmy tylko porozmawiać.

- Nie mamy o czym gadać. Wynoście się stąd.

I wtedy usłyszeliśmy po drugiej stronie drzwi dźwięk - głośny, wyraźny i nie do pomylenia z niczym innym. Klik, klak. Był to charakterystyczny odgłos odciąganego zamka pistoletu, najprawdopodobniej półautomatu. Kylie nie wahała się. Zza prawego biodra wyciągnęła glocka.

- Na podłogę! - wrzasnęła i nie czekając na odpowiedź, poderwała prawą stopę i wepchnęła między nogi grubasa,

trafiając go w samo sedno.

Złapał się za jaja, zgiął w pół i przyklęknął. Żołnierz CP Emperors, czyli organizacji imperatorskiej, został zneutralizowany. Ciekawe, z iloma jeszcze cesarzami przyjdzie nam się zmierzyć.

Też wyciągnąłem pistolet i krzyknąłem zza drzwi:

- NYPD! Rzućcie broń! Rzućcie broń natychmiast.

Przygotowałem się na pierwszy wystrzał i miałem nadzieję, że drzwi okażą się wystarczająco mocne.

- Nie pieprz - odezwał się głos po drugiej stronie. - Nie macie prawa wyciągać na nas broni.

- Nie mów nam, co możemy robić, a czego nie! - odkrzyknęła Kylie. - Nakaz przestał nam być potrzebny, kiedy ten dureń odciągnął zamek pistoletu. Stan wyższej konieczności. Rzućcie broń! Już!

- Dobra, dobra. - Usłyszałem dźwięk pistoletu przesuwającego się po podłodze. Potem jeszcze jednego. - Podchodzę do drzwi. Rusz ten tłusty tyłek, Rupert.

Gruby odsunął się na bok, wciąż trzymając się za krocze. Wysoki, długowłosey młody Azjata otworzył drzwi na całą szerokość. Miał jakieś dwadzieścia dwa lata, wąsy jak dwa kawałki sznurka i twarz na stałe skrzywioną w grymasie.

- Ty tu jesteś szefem? - zapytałem.

- Przeważnie - odrzekł. - Ale zdaje się, że teraz wy tu rządzicie.

- Jak się nazywasz?

- John Doe - odparł, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Mamy w kostnicy całą masę gości o tym nazwisku. Czekają na identyfikację. Może podasz prawdziwe nazwisko?

- John Dho - powtórzył. - D-H-O. Człowieku, jesteś w Chinatown.

Okazało się zatem, że Donovan i Boyle rzeczywiście wiedzieli, z kim rozmawiali, tylko nie potrafili pisać.

- W tym domu panuje żałoba. Czego chcecie?

- Rozumiemy. Bardzo nam przykro z powodu twojej straty, ale i tak musimy porozmawiać. Wolisz tu czy na komisariacie?

- Możesz wejść - powiedział Dho. - Ale ta wiedźma ma zostać na zewnątrz.

- Ta wiedźma wejdzie do środka - stwierdziła Kylie. - Albo wyciągnie cię przez te drzwi i przeprowadzi przez całą Mulberry, wrzeszcząc na ciebie, dopóki nie wsiądziesz do samochodu, który zaparkowaliśmy o dwie przecznice dalej.

- Gówna prawda. Zaparkowaliście po drugiej stronie ulicy.

- W takim razie będę cię musiała przyprowadzić z powrotem. Nic mnie nie obchodzi twoje zasady i to, czy wpuszczasz tu kobiety, czy nie. Kiedy krzyknęłam „NYPD”, ktoś tutaj załadował pistolet i odciągnął zamek. Jestem zupełnie pewna, że macie pozwolenie na broń.

Odsunął się na bok i wpuścił nas.

- Czego chcecie?

- Szukamy zabójcy Alexa Kanga - wyjaśniłem.

Dho palił ręcznie zwiniętego papierosa, który śmierdział jak wewnątrz stajni. Wypuścił w naszą stronę kłęb dymu.

- My też go szukamy. Ale poradzimy sobie bez waszej pomocy.

- Porozmawiajmy o tym - zaproponowałem.

Pomieszczenie było słabo oświetlone i skąpo umeblowane. Stały tu tylko dwie zniszczone sofy, kilka stołów z płyty meblowej i parę składanych krzeseł, każde inne. W dalszym kącie znajdowała się prowizoryczna kuchnia.

- Ładne mieszkanie. Akurat dla cesarza - skwitowała Kylie.

- Opowiedzcie nam o tym dniu, kiedy zaginał Alex -

powiedziałem.

- Kręcił się tu przed południem gdzieś do jedenastej, a potem pojechał odwiedzić swoją babkę w szpitalu Beekman. Kiedy nie wrócił do drugiej, zaczęliśmy do niego dzwonić, ale nie odbierał. Pojechałem do szpitala i spotkałem jego matkę. Powiedziała, że wcale go tam nie było. Sprawdziliśmy w jego mieszkaniu i we wszystkich miejscach, gdzie mógł być, ale niczego się nie dowiedzieliśmy. Sześć dni później znaleźli go w kombinezonie ochronnym na ławce na stacji metra przy Canal Street. Mówiłem już to wszystko tym dwóm komandosom z plasteliny.

- Kogo masz na myśli?

- Defektyw Donovan i defektyw Boyle. - Pomyślałem, że całkiem sprytnie określił ich funkcje. - Ciągłe się nas czepiają, chociaż to my jesteśmy ofiarami.

- To znaczy, że znaliście Donovana i Boyle'a, zanim jeszcze zabito Alexa.

- Tak, wszyscy ich znali. To ich rewir. Patrol do spraw młodocianych.

- Mieli coś do Alexa? - zapytała Kylie.

Dho popatrzył na nią, jakby urwała się z choinki.

- To rasiści. Nienawidzą nas wszystkich, ale Alexa czepiali się najbardziej, bo on tu był szefem. Naprawdę myślisz, że szukali tego kogoś, kto zabił Alexa?

- Nie wiem, jak oni, ale mogę ci dać słowo, że my naprawdę szukamy mordercy. Więc skoro jesteśmy po tej samej stronie, to powiedz nam, do czego doszliście.

- To nie był nikt z innych gangów - powiedział Dho.

- Jesteś pewny? - Kylie zadała mu to samo pytanie, które wpędziło ją w kłopoty przy LaFleurze.

Dho złożył ręce i skłonił głowę.

- Zupełnie pewny, szanowna pani detektyw. Nasze dochodzenie bardzo dokładne - powiedział, celowo omijając czasownik. Była to doskonała imitacja Charliego Chana, klasycznego stereotypu Azjaty wyprodukowanego w studiach Hollywood w latach trzydziestych i czterdziestych. Zaraz jednak wyprostował się i przestał się wygłupiać. - Cała policja jest gównem warta - dodał z jeszcze wyraźniejszym grymasem. - Kiedy ten dupek Czyściciel zabił Alexa, przysłaliście nam detektywów Głupiego i Głupszego. Ale teraz, kiedy rąbnął jakąś bogatą białą kobietę, rzuciliście się na tę sprawę - jak to mówicie wy z okrągłymi oczami - niczym szczerbaty na suchary. Chcecie wiedzieć, kto zabił mojego najlepszego przyjaciela Alexa Kanga? W tym mieście jest jakiś świr, który uważa się za pieprzonego zbawcę, i robi, co może, żeby to miasto stało się bezpieczniejsze. Macie, możecie sobie o tym poczytać w dzisiejszej gazecie.

Gazeta leżała na stole. Sięgnął po nią i przesunął w moją stronę.

To była chińska gazeta. Jedyne, co z niej zrozumiałem, to było zdjęcie Evelyn Parker-Steele na pierwszej stronie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

- Miałam powód, żeby wyciągnąć broń - powiedziała Kylie, gdy wyszliśmy na zewnątrz. - Jak tylko usłyszałam ten szcęk...

- Ależ wcale temu nie przeczę. Stałam tuż za tobą. Owszem, nie podobało mi się to, jak zachowałeś się rano przy Damonie Parkerze, ale kopnięcie tego świra w jaja było jak najbardziej na miejscu. Dobra robota, partnerko.

Wydawała się zdziwiona, ale powiedziała:

- Dzięki.

- Naprawdę jesteś wiedźmą. I to ma być komplement.

Staliśmy przed budynkiem, chłonąc jedyne w swoim rodzaju widoki, zapachy i dźwięki Chinatown, tej niewielkiej enklawy, która dla nielicznych jest domem, a dla wielu atrakcją turystyczną.

- Nic nie rozumiem - powiedziała Kylie. - Alex Kang wyszedł stąd o jedenastej przed południem. Jak mógł tak po prostu zniknąć? Teraz jest parę minut po jedenastej i popatrz, ulice są pełne ludzi. Albo ten garaż, wciąż wjeżdżają i wyjeżdżają samochody. Ktoś musiał coś widzieć.

Powoli obróciła głowę z prawa na lewo, przebiegając wzrokiem całą Mulberry Street.

- Nie wypatruj kamer - powiedziałem. - To jest terytorium gangów. Nawet jeśli coś się nagrało, już dawno zostało skasowane.

- W takim razie będziemy musieli polegać na naocznych świadkach. - Wskazała drugą stronę ulicy.

Dokładnie naprzeciwko siedziby gangu znajdował się Columbus Park. To jedyny park w Chinatown, więc oczywiście miasto nadało

mu nazwę od wielkiego podróżnika. W każdym razie to właśnie oznaczają litery CP w nazwie CP Emperors.

- W tym parku aż kipi od ludzi - mówiła Kylie. - Te same osoby zapewne przychodzą tu codziennie, żeby poczytać gazetę, wyprowadzić psa, pojeździć na wrotkach. Ryzykuję, że się powtarzam, ale ktoś musiał coś widzieć.

- Ktoś na pewno widział - powiedziałem. - Problem polega na tym, jak ich zmusić, żeby zaczęli mówić.

Przeszliśmy przez ulicę i zbliżyliśmy się do bramy parkowej. Tuzin Chińczyków, mężczyzn od dwudziestu do osiemdziesięciu lat, siedziało w półkolu, paląc papierosa za papierosem i patrząc na dwóch siedzących pośrodku i pochylonych nad prowizorycznym stolikiem. Grali w go, chińską grę planszową z tradycją sięgającą dwóch tysięcy lat.

Lubię gry. Kiedy miałem sześć lat, ojciec nauczył mnie grać w warcaby, potem w szachy, a po drodze złapałem bakcyła go. Zasady są proste, tak proste, że każdy może się nauczyć grać w dziesięć minut, ale strategie są tak nieskończenie skomplikowane, że tylko nieliczni są w stanie je opanować w ciągu całego życia. Do tego gra jest absolutnie uzależniająca nie tylko dla graczy, ale też dla obserwatorów.

Przyjrzałem się graczom. Jeden był po sześćdziesiątce, a drugi jeszcze dziesięć albo więcej lat starszy. Nie było ich stać na tradycyjną planszę z drewna torrei, grali na kawałku chropowatej sklejki, na którym ręcznie narysowano pola. Zamiast klasycznych pionów zrobionych z wyszlifowanego na gładko japońskiego łupka i macicy perłowej używali czarnych i białych pionów z najprawdziwszego chińskiego plastiku. Ale pasja, koncentracja i oczywiście duch rywalizacji były jak najbardziej szczerze i autentyczne.

Jedną z rzeczy, dzięki którym go jest tak fascynujące dla widzów, są zakłady. Na stole leżały dwa dziesięciodolarowe banknoty. Popatrzyłem na planszę. Starszy z mężczyzn miał wyraźną przewagę. Po pięciu minutach wygrał i zgarnął pieniądze.

- Dobry jesteś - zawołałem do niego, a gdy skłonił głowę, dodałem: - Ale ja jestem lepszy.

Tłum widzów, z których zapewne wielu nie znało angielskiego, zrozumiał jednak wystarczająco wiele, by wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Masz pieniądze czy tylko gębę? - zapytał staruszek i położył na stole dziesięciodolarówkę.

Otworzyłem portfel, wyciągnąłem studolarowy banknot i położyłem obok jego dziesiątki. Tłumek wydał z siebie zbiorowy gardłowy pomruk, chińską wersję „oooch!”.

- A ty masz pieniądze czy tylko gębę?

Staruszek zastanawiał się przez chwilę, a potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka dziesiątek, piątek i jednodolarówek. To było za mało. Wepchnął je z powrotem do kieszeni i otworzył bardzo stary portfel, w którym spoczywała równie stara setka. Rozprostował ją i położył obok mojej.

Usiadłem.

Grałem czarnymi pionami i miałem pierwszy ruch. Jest stare powiedzenie dotyczące go: kto gra szybko, ten szybko przegrywa. Trzeba przyznać, że staruszek od początku traktował mnie z szacunkiem. Grał z namysłem, jakby miał do czynienia z godnym przeciwnikiem, a nie krzykliwym białym facetem, na którym łatwo można zarobić setkę. Po pięciu minutach uświadomił sobie, że rzeczywiście jestem godnym przeciwnikiem.

Gra trwała prawie godzinę. Żaden z nas nie miał przewagi i pod

koniec awanturniczy tłum zupełnie zamilkł.

Wtedy wykonałem zły ruch. Nie był po prostu zły, lecz głupi, naprawdę bezbrzeżnie głupi. Ja o tym wiedziałem, staruszek o tym wiedział i wiedział też, że ja o tym wiem. Szarpnął rzadkie strąki siwych włosów zwisające z podbródka i popatrzył na mnie. W pierwszej chwili był zaskoczony, a potem zrozumiał, że zrobiłem to celowo.

Położył na planszy biały kamień. Tłum wybuchnął aplauzem i dumą ze swojaka.

Wygrał.

Wstałem i popatrzyłem na pluton palaczy, trzykrotnie większy niż wtedy, gdy kładłem na planszy pierwszy kamień.

- Jestem dobry - powiedziałem. - Ale on jest lepszy.

Zaczęli bić brawo i krzyczeć. Jeszcze raz skłoniłem się przed zwycięzcą.

- Po tej grze jestem bardzo głodny - powiedziałem. - Gdzie tu znajdę najlepsze dim sum?

- Najlepsze dim sum? - Staruszek uśmiechnął się. - W domu mojej matki, w prowincji Guangdong. Ale chyba nie masz już na bilet.

Gromada Chińczyków znów zaczęła się ze mnie śmiać, a staruszek promieniał.

- Ale jak chcesz nie bardzo złe dim sum, idź przez ulicę do New Wonton Garden.

Znów się skłoniłem, skinąłem głową Kylie i poszliśmy w stronę restauracji.

Jak już wspominałem, lubię gry. Właśnie zainwestowałem sto dolców i godzinę naszego czasu w umysłową grę ze starym człowiekiem, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Teraz musiałem tylko poczekać cierpliwie w New Wonton Garden, pijąc

herbatę i jedząc nie bardzo złe dim sum, aż się przekonam, który z nas wygrał tę partię.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Teresa Salvi zdjęła szlafrok i popatrzyła na siebie w wielkim lustrze.

- Sześćdziesiąt trzy lata i wciąż noszę czwórkę - powiedziała. - Nieźle.

Jej szafa była równie wielka jak sypialnia, a obok znajdowała się jeszcze druga podobna. W tej były tylko ubrania codzienne. Teresa przejrzała wieszaki z sukienkami i wyciągnęła długą suknię Dolce & Gabbana w grafitowym kolorze. Już od lat nie nosiła czerni, ale teraz wybierała się do ojca Spinello. Ciemnoszary kolor był bardzo odpowiedni. Oznaczał, że wciąż jest w żałobie, ale ruszyła już dalej ze swoim życiem.

Buty i torebka były od Prady. Skończyła się ubierać i jeszcze raz popatrzyła w lustro. Joe byłby zadowolony. Chciał, żeby nosiła się z klasą, nie tak jak te bogate idiotki, gospodynie domowe w reality show.

Sprawdziła, czy ma w torebce książeczkę czekową. Ojciec Spinelli zaprosił ją na herbatę w swoim gabinecie, a to mogło oznaczać tylko jedno - wspólnota kościelna potrzebowała pieniędzy.

- Nie więcej niż dziesięć tysięcy - powiedział Joe, gdy wychodziła z domu. - Jest październik, a wiesz, że znowu uderzą do nas przed Bożym Narodzeniem.

Teresa myślała o większej sumie, toteż tylko pocałowała męża i odrzekła:

- Nie martw się. Cokolwiek dam, posłuży dobrej sprawie.

Dwóm dobrym sprawom, pomyślała, przemierzając buickiem regalem trzy kilometry dzielące ją od kościoła Świętej Agnieszki.

Joe czasami zapominał, jak ważny jest szacunek otoczenia. Gazety zawsze odmalowywały jej męża jak jakiegoś potwora, ale za każdym razem, gdy dawali pieniądze na wspólnotę kościelną, ojciec Spinelli opowiadał całej kongregacji o hojności rodziny Salvich. To pomagało zrównoważyć złe opinie.

Zaparkowała na jednym z miejsc dla gości, zgasiła silnik i wyjęła z torebki czarny różaniec. Kochała ten kościół, ale czasami nie była w stanie tu wracać. Tutaj właśnie Enzo został ochrzczony, a osiemnaście lat później po raz ostatni spojrzała na jego słodką twarz, zanim zwróciła go Jezusowi.

Pomodliła się za duszę Enza, poprawiła włosy i makijaż w lusterku wstecznym, zamknęła samochód i poszła w stronę rektorium. Sekretarz zaprowadził ją do gabinetu. Ojciec Spinelli podniósł się, gdy weszła. Kiedy obejmował parafię, miał dwadzieścia osiem lat i był uderzająco przystojnym mężczyzną. Niektóre kobiety twierdziły nawet, że zbyt przystojnym, by pozostawać w celibacie. Ale teraz, tuż po pięćdziesiątce, był sercem i duszą parafii. Ludzie zwracali się do niego, szanowali go i kochali, a nikt nie szanował i nie kochał go bardziej niż Teresa Salvi.

- Tereso. - Obdarzył ją ciepłym kapłańskim uściskiem. - Mam nadzieję, że wszystko dobrze u ciebie i u Joego.

Gabinet był mały. Ściany wyłożone orzechową boazerią, ciężkie meble i półmrok sprawiały, że wydawał się jeszcze mniejszy, ale nie ciasny i przytłaczający, lecz przytulny. Teresa usiadła tam gdzie zwykle, na krześle pokrytym wytartą skórą.

- Joe i ja miewamy się dobrze. A co słyszeć w kościele? - Trzymała w ręku torebkę, gotowa wyjąć książeczkę czekową.

- Wszystko idzie bardzo dobrze - odrzekł ojciec Spinelli, nalewając jej herbaty. - Hydraulika, ogrzewanie, instalacje

elektryczne, wszystko działa i spełnia normy. To potwierdza moją wiarę w cuda.

Teresa postawiła torebkę na podłodze.

- W takim razie dlaczego prosił ojciec, żebym go odwiedziła?

- Czyżby tak łatwo było mnie przejrzeć? Czy zapraszam cię na herbatę tylko wtedy, kiedy potrzebujemy sponsora? Wybacz mi.

- Ojczy, nie musisz prosić o wybaczenie za to, że w imieniu Kościoła zwracasz się do mojej rodziny o pomoc. Co możemy dla ciebie zrobić tym razem?

Ojciec Spinelli napełnił swoją filiżankę do połowy.

- Tereso, nie zaprosiłem cię tutaj, żeby prosić o pomoc. Tym razem nadeszła moja kolej, by zrobić coś dla ciebie.

- Co takiego? - zapytała zbита z tropu.

- Mam coś, co muszę ci oddać. Coś osobistego i cennego... - Urwał na chwilę i napił się herbaty. - Wiem, że otwieram stare rany, ale jesteś silną kobietą. Tereso, widziałem to wielokrotnie i wiem, że wiara pomoże ci to przetrwać.

- Co mam przetrwać?

Ojciec Spinelli otworzył szufladę biurka i wyjął brązową kopertę.

- To należało do twojego nieżyjącego syna Enza, niech spoczywa w pokoju.

Przesunął kopertę po blacie w jej stronę. Teresa wzięła ją drżącą dłonią, a jej serce zaczęło bić szybciej.

- Otwórz ją - powiedział łagodnie.

Rozerwała kopertę i wyjęła zawartość.

- To notes Enza. - Łzy napłynęły jej do oczu. Lekko przesunęła palcami po wytłaczanej czerwonej skórze obrzeżonej złotą lamówką. - Podarowałam mu go, gdy miał trzynaście lat. Zawsze go nosił przy sobie. Skąd ksiądz to wziął?

- Przyniosła mi go jedna z naszych parafianek. Znalazła go podczas porządków w domu wśród rzeczy swojego syna. Wiem, że to dla ciebie bolesne, ale widocznie taka była wola Boga, żeby ten notes odnalazł się po tylu latach. Mam nadzieję, że ta cząstka twojego syna, która została ci zwrócona, przyniesie ci pociechę.

Jaka parafianka? Gdzie to znalazła? W głowie Teresy rozbrzmiewał milion pytań, ale była dobrze przeszkolona w rodzinnych sprawach i wiedziała, że nie powinna zadać żadnego z nich.

Wracaj do domu i powiedz Joemu, nakazała sobie. On będzie wiedział, co zrobić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Dim sum w New Wonton Garden może nie było najlepsze, jakie jadłem w życiu, ale znacznie lepsze niż spodziewałem się po słowach „nie bardzo złe”. Oczywiście nigdy nie byłem w prowincji Guangdong, więc jeśli chodzi o chińską kuchnię, mój kumpel od go i ja zapewne mamy zupełnie inne standardy.

- Został jeszcze jeden - powiedziałem do Kylie, która przez większą część posiłku siedziała naprzeciwko mnie i patrzyła, jak jem.

- Zjedz go, ja już się najadłam.

- No tak, trzy pierożki to aż za dużo dla dziewczyny. - Sięgnąłem po ostatni, nadziewany krewetkami.

- Jakoś nie jestem głodna - powiedziała, pocierając kciukiem ekran iPhone'a.

- Chcesz do niego zadzwonić?

- Do kogo?

- Kylie, nie zamierzam się wtrącać w twoje życie, ale wczoraj Spence wylądował na pogotowiu, bo naćpał się tabletek, a dzisiaj rano wyszłaś z domu, zanim się obudził. Więc kiedy pytam, czy chcesz do niego zadzwonić, mówię o twoim mężu, bo zdaje się, że bardzo się o niego martwisz. Pytam więc raz jeszcze: czy chcesz do niego zadzwonić?

- Nie. Skupiam się na tym, co robimy.

Nie miałem ochoty ciągnąć tej rozmowy i dobry los sprawił, że w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi restauracji i do środka wszedł mój staruszek.

Kylie uśmiechnęła się szeroko.

- Miałaś rację. Przyszedł.

Podszedł do naszego stolika i usiadł.

- Ty policyjny oszuście - powiedział.

- Skąd wiesz, że jestem policjantem?

Staruszek roześmiał się.

- A skąd wiesz, że ja jestem Chińczykiem? Patrzysz na moje oczy. Ja patrzę na twoje oczy i wiem, że jesteś gliną, do tego gliną oszustem. Oszukujesz, pozwalasz mi wygrać.

Przy tych słowach położył moją studolarówkę na stole, a potem dołożył jeszcze swoją.

- Dobrze zachować twarz, ale nie mogę brać pieniędzy, których nie zarabiam. - Przesunął banknoty w moją stronę.

Patrzyłem na nie przez kilka sekund, po czym znów przesunąłem do niego.

- W takim razie możesz je zarobić. Czy widziałeś Alexa Kanga tego dnia, kiedy zniknął?

Dziadek nie wahał się nawet sekundy. Zastanowił się wystarczająco długo, zanim wszedł do tej restauracji. Wiedział, o co tu chodzi, i przyszedł po to, żeby dokończyć rozgrywkę.

- Kang nic dobrego - powiedział. - Wychodzi z klubu, dwóch czeka w samochodzie. Jeden wychodzi z samochodu, rozmawia z Kangiem. Kang wsiada do samochodu. Ostatni raz widać Kang żywy w Chinatown.

Świadek. Znaleźliśmy świadka. Zerknąłem na Kylie. Siedziała z kamienną twarzą. Wiedziała, że nie powinna odzywać się nawet słowem. Staruszek nie czułby się swobodnie, rozmawiając z kobietą.

- Czy możesz opisać tych mężczyzn? - zapytałem.

- Ja widzę tylko jeden. Biały. Duży, jak ty. Za daleko, żeby zobaczyć twarz.

- A samochód?

- Samochód wielki.
- Osobowy czy ciężarówka? - zapytałem spokojnie.
- Nie - odrzekł stary. Wstał i pokazał mi gestem, żebym podszedł z nim do okna wychodzącego na ulicę.

Kylie została przy stoliku.

- Wielki jak ten. - Wskazał SUV-a zaparkowanego przy krawężniku. - Ale ten srebrny. Tamten, który zabiera Kanga, czarny.

Wróciliśmy do stolika. Usiadłem, a staruszek wciąż stał.

- Dziękuję. Zarobiłeś to - wskazałem na dwie setki.

Najwyraźniej zgadzał się ze mną. Zgarnął pieniądze i szybko skinął nam głową.

- Cieszę się, że dostajesz, co chcesz. Dziękuję. Idę.

- Jeszcze jedno - zatrzymałem go. - Bardzo nam pomogłeś. Jak się nazywasz, dziadku?

Uśmiechnął się.

- Tu Chinatown. Ty policja. Lepiej nazywaj mnie Dziadek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

- Czy mam to wszystko umieścić w raporcie? - Kylie ciężko westchnęła. - Nazwisko naszego świadka brzmi Dziadek, a członek gangu, z którym rozmawialiśmy, to John Doe łamane przez Dho. Radzimy sobie równie dobrze jak Donovan i Boyle.

Kelner posprzątał ze stołu i przyniósł nam rachunek razem ze świeżą herbatą i miseczką wróźebnych ciasteczek.

- Widocznie każdy znajomy Dziadka zasługuje na więcej niż jedno ciasteczko. - Kylie wyciągnęła jedno z miseczki, przełamała i przeczytała. - Hm... Bardzo celne.

- Co tam jest napisane? - zapytałem.

- Partner myśli on bystry policjant, ale ty wiesz lepiej.

- Chcesz powiedzieć, że nie doceniasz mojego geniuszu śledczego?

- Nie. Uważam, że zrobiłeś to genialnie, ale ciasteczko nie chce, żeby sodówka uderzyła ci do głowy.

Sięgnąłem po rachunek.

- Ja zapłacę. I tak zjadłem większość.

Kylie wyrwała mi rachunek z ręki.

- Ty już dałeś setkę starcowi. Ja płacę za lunch.

Wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy przed restauracją. Żadne z nas nie było jeszcze gotowe wsiadać do samochodu.

- Nie rozumiem tego - powiedziała Kylie, wpatrując się w park po drugiej stronie ulicy. - Dwie ofiary, Alex Kang i Evelyn Parker-Steele, dwa przeciwne bieguny. Ale w obu przypadkach dwóch ludzi podjeżdża czarnym SUV-em. Jeden z nich, biały mężczyzna, mówi coś w rodzaju „wsiadaj do samochodu”, i ofiara wsiada. Kang i Parker-Steele nie mają ze sobą nic wspólnego, ale musieli

znać tego faceta, który podjechał, bo wsiedli bez oporu.

Naraz poczułem się tak, jakby na głowę spadła mi tona cegieł.

- Jasny gwint - powiedziałem. - Jestem idiotą.

- Dwie minuty temu mówiłeś, że jesteś geniuszem śledczym, teraz jesteś idiotą. Kiedy będzie głosowanie?

- Zamknij się i słuchaj. Myślę, że ty i ja szukaliśmy wspólnego mianownika nie tam, gdzie trzeba. Mamy cztery ofiary: członka gangu, polityka dużego kalibru, handlarza narkotyków i przestępcę seksualnego. Próbowaliśmy znaleźć coś, co ich łączy. Jak to się stało, że wszyscy znali tych dwóch ludzi w SUV-ie? A może tym jedynym, co łączy ofiary, jest to, że ich nie znali?

- W takim razie nikt z nich nie wsiadłby do tego samochodu.

- Widzisz tego faceta, tego w dzinsach i w szarej bluzie? - Wskazałem młodego Chińczyka, który siedział na ławce po drugiej stronie ulicy i stukał palcem w komórkę. - Nie znasz go, a on nie zna ciebie. Co zrobisz, żeby wsiadł do twojego samochodu, nie zadając żadnych pytań?

Kylie wzruszyła ramionami.

- Nie wygląda na geja, więc co mi tam, może zdejmę bluzkę?

- Udawaj przez chwilę, że mówię poważnie. Ty. Co ty zrobisz, żeby obcy człowiek wsiadł do twojego samochodu?

- Daj spokój, Zach, jestem z policji. Wystarczy, że pokażę...

W tej chwili tona cegieł spadła również na głowę Kylie.

- O mój Boże! Udają policję! Dwóch facetów w czarnym SUV-ie. Wystarczy, że machną fałszywą legitymacją albo kawałkiem blachy. Kto będzie to kwestionował?

- Sądzisz, że mam rację?

- Detektywie Jordan, ja nie tylko sądzę, że masz rację. Zaraz wrócę do tej restauracji i poszukam ciasteczka, w którym jest napisane: mój partner to pieprzony geniusz.

CZĘŚĆ DRUGA

GRUSZKA

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

- Zamknij drzwi, kowbojko - powiedziała Cates, patrząc na nas pochmurnie znad biurka.

Najwidoczniej nasza szefowa usłyszała o spotkaniu Kylie z Damonem Parkerem. Weszliśmy do środka i Kylie zamknęła drzwi.

- Czy wydaje ci się, detektyw MacDonald, że mam za mało bzdur na głowie i trzeba mi jeszcze trochę dołożyć?

- Przepraszam, pani kapitan, ale Damon Parker to taki kretyn, że...

- Damon Parker jest profesjonalnym kretynem - wpadła jej w słowo Cates. - A ty się zachowałeś jak amatorka. Jemu płacą za to, żeby pchał się ludziom pod nos, a tobie za to, żebyś nie przynosiła departamentowi wstydu przed kamerami.

- To się więcej nie powtórzy - obiecała Kylie.

- Oczywiście, że się powtórzy - ironizowała Cates. - Łamanie zasad masz w genach. Ale powiem ci, co się więcej nie powtórzy. Nie będę więcej sprzątać po tobie bałaganu i takie rzeczy już nie ujdą ci na sucho. Gdyby nie to, że seryjny morderca wciąż jest na wolności, to na miesiąc przykułabym cię łańcuchem do biurka. - Przeniosła wzrok na mnie. - Jordan, powiedz, co macie. Zacznij od Hortona LaFleura. Wykrztusił coś z siebie?

- Ten biedny drań ma rozedmę - powiedziałem. - Bóg jeden wie, co wykrztusił, ale w każdym razie nie były to informacje. Zdaje się, że jest prezesem fanklubu Berniego Goetza, więc nawet jeśli coś wie, to nie użyje tej wiedzy przeciwko ulicznemu mścicielowi.

Opowiedziałem jej o naszej wizycie w Chinatown. Uniosła lekko

brwi, gdy usłyszała, że musieliśmy wyciągnąć broń w siedzibie gangu.

- Pani kapitan, to oni wyciągnęli pierwsi - wtrąciła Kylie. - To był oczywisty przypadek szczególnych...

Cates tylko pomachała ręką.

- To gangsterzy. Nic mnie to nie obchodzi, dopóki nie wyciągasz pistoletu na Parkera.

Bardziej ją zainteresowała moja teoria, że mordercy mogą udawać policjantów.

- Widziałam już takie rzeczy - przyznała. - W trzydziestcedwójce mieliśmy takie kradzieże. Złotousty facet z kawałkiem zwykłej blachy. Udało mu się dostać do szesnastu mieszkań, zanim go dopadliśmy.

- To tylko hipoteza - zastrzegłem - ale to by wyjaśniało, w jaki sposób porywaczom udało się nakłonić Kanga i Parker-Steele, żeby bez żadnego oporu wsiedli do samochodu.

- Opowiedzcie o ofierze numer trzy. Nie, nie czytałam jeszcze akt. Podajcie mi streszczenie.

- Antoine Tinsdale - powiedziałem. - Afroamerykanin, lat trzydzieści, zwany Blaszanym Drwalem. Niektórzy mówią, że to od nazwiska, ale większość ludzi uważa, że to z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Blaszanym Drwal nie miał serca. Tinsdale był dilerem narkotykowym i lubił uzależniać od siebie klientów w bardzo młodym wieku. A najlepszy sposób, żeby uzależnić dziesięciolatka, to korzystać z dziesięcioletnich pośredników.

Cates nic nie powiedziała, ale gniew w jej oczach był wyraźny. Sama była Afroamerykanką i wychowała się w Harlemie.

- Pracowała dla niego cała siatka nieletnich. Konkurencyjni dilerzy ostrzegali ich, żeby dali sobie spokój, ale dzieciaki za mało jeszcze widziały, żeby się przestraszyć. Dilerzy nie mają

szczególnie rozwiniętych umiejętności negocjacyjnych, więc wykosili czterech chłopaczków Tinsdale'a.

- Zawsze jacyś następni czekają w kolejce, żeby się dostać do biznesu - powiedziała Cates.

- Blaszyński Drwal utrzymywał taki dystans od tych dzieciaków, że w żaden sposób nie dało się go obciążyć ich śmiercią. Nawet w swojej spowiedzi wideo powiedział: „Jeśli ci chłopcy stracili życie, bo pokłócili się o rewiry, to nie moja wina. Prawdziwa ława przysięgłych nigdy by mnie nie skazała”.

- Miał rację - mruknęła Cates. - Dobry adwokat rozniósłby w pył takie oskarżenie.

- Morderca pewnie też tak uważał, dlatego Tinsdale skończył w kombinezonie z tyveku pod rampą zjazdową przy Harlem River Drive, o parę metrów od placu zabaw. Byliśmy tam z Kylie dzisiaj po południu.

Cates zmarszczyła czoło.

- Pozwólcie, że zgadnę. Te dzieci powiedziały jeszcze mniej niż tamten dziadek z rozedmą. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nikt nic nie wie. To podstawowe zasady nieletniego czarnego handlarza narkotyków. Kiedy dorastałam, widziałam takich socjopatów jak Tinsdale, którzy niszczyli młode życia. Po to zostałam policjantką, żeby likwidować takich drani, a teraz dwóch ulicznych mścicieli z kamerą robi to za mnie. Wiecie, co jest najgorsze? Moja praca polega na tym, żeby łapać takich szaleńców i nie pozwolić im zabić kolejnego drania. Ci Czyściciele pod jednym względem mają rację. Naprawdę nie ma sprawiedliwości.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść! - zawołała Cates.

To była Cheryl. Wyglądała równie pięknie jak rano, kiedy

robiłem z siebie idiotę w kafejce.

- Jeśli odbywacie tu orgię nad Czyścicielem, to czy mogę się przyłączyć?

- Oczywiście - powiedziała Cates. - Jordan, opowiedz jej o swojej teorii na temat tych dwóch w czarnym SUV-ie.

Przedstawiłem mój hipotetyczny scenariusz i opisałem, jak mordercy zwabiają ofiary, udając policjantów.

- Co o tym myślisz, pani doktor Robinson?

Uśmiechnęła się do mnie i natychmiast wybiegłem myślami o kilka godzin do przodu, gdy rozgrzani winem będziemy jedli kolację tylko we dwoje. A potem testosteron wziął górę i przeskoczyłem od razu do chwili, gdy będziemy nadzy. Cheryl jęknęła, wykrzyknęła moje imię i powiedziała:

- Co myślę, detektywie Jordan?

Gwałtownie wróciłem do rzeczywistości.

- Tak. O to właśnie pytałem. Co sądzisz o tym, że mordercy udają policjantów?

- Moim zdaniem to fascynująca teoria - powiedziała Cheryl, wciąż się uśmiechając. - Ale sądzę, że się mylisz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

To Gideon wybrał Alexa Kanga na pierwszego gościa.

Rok wcześniej Kang próbował zastrzelić Giapa Phunga, przywódcę wietnamskiego gangu o nazwie UM - Urodzeni Mordercy. Kang wpadł za Phungiem za stację metra przy Canal Street i wpakował całą zawartość dziewięciomilimetrowego półautomatycznego springfielda w tłum. Phungowi nic się nie stało, ale Kang trafił cztery osoby stojące w pobliżu. Jedna z nich, Jenny Woo, młoda, piękna i wybijająca się studentka Hunter College, zmarła po dziesięciu dniach walki o życie.

Wszyscy wiedzieli, że to Kang strzelał. Rodzice Jenny błagali świadków, by ktokolwiek zechciał go zidentyfikować, ale wskazanie palcem członka gangu równało się samobójstwu, więc Kang umknął sprawiedliwości.

Gideon przekonał Dave'a, że to oni powinni pomścić śmierć Jenny Woo.

- Chodziła do college'u i miała przed sobą całe życie - mówił. - Tak jak twoja siostra.

- Myślałem, że zrobiliśmy to raz i na tym koniec - odrzekł Dave.

- Może dla ciebie, ale wiesz, dużo o tym myślałem. Kiedy zabiliśmy Enza, mieliśmy po szesnaście lat. Sami nie wiedzieliśmy, co robimy, i mieliśmy kupę szczęścia, że ten sukinsyn nie wypatroszył nas obu i nie nakarmił psa naszym ścierwem, jak pewnie by to ujął.

Dave skinął głową. To była jego wina, że Enzowi udało się wyciągnąć nóż. Gdyby Gideon nie uderzył go w głowę butelką wódki...

- Alex Kang jest jeszcze bardziej niebezpieczny niż Enzo -

mówił Gideon. – Jest tym, kim Enzo by się stał, gdybyśmy go nie zabili. Ale teraz już jesteśmy mądrzejsi i nie popełnimy żadnych błędów.

– Mów – zażądał Dave.

Gideon przedstawił plan.

– Podoba mi się ten pomysł ze spowiedzią na wideo – podsumował Dave. – Trochę żałuję, że nie pomyśleliśmy o tym, gdy załatwialiśmy Enza. Ale takie sukinsyny jak Kang nie wyznają swoich grzechów po pięciu minutach. Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy go przetrzymać. Mój kuzyn Todd ma stary dom w górach Adirondacks. Korzysta z niego tylko w lecie.

– Nie, odpada. – Gideon potrząsnął głową. – Kiedy wprowadzasz kogoś takiego jak Alex Kang, to nie możesz brać go na pięciogodzinną przejażdżkę samochodową, żeby przetransportować na kraniec stanu. Miałby za dużo czasu na obmyślenie ucieczki. Musimy go trzymać jak najbliżej domu. Myślę, że uda się coś znaleźć w Long Island City.

Spędzili tydzień na poszukiwaniach. Przejeżdżali obok fabryk, magazynów i składów. Niektóre były zajęte, inne wolne. W końcu w wymarłym kwartale, który przylegał do stacji rozrządowej sieci Long Island Rail Road, znaleźli pokryty graffiti garaż przy Crane Street 88. Okolica była nieprzyjemna nie tylko dla oka, ale także dla ucha. Lokomotywy diesla chodzące przez cały dzień na jałowym biegu zagłuszały wszelkie dźwięki, jakie mogłyby się przedostać przez grube mury.

– Nie jest to miejsce, które mogłoby kogokolwiek przyciągnąć – zauważył Dave.

Było to sześćdziesiąt metrów kwadratowych cementu, pleśni i szczurzych odchodów, z przerdzewiałą metalową bramą dla pojazdów i dwoma okienkami ze szkła wzmocnianego drucianą

siatką i pokrytego kilkudziesięcioletnim brudem.

Garaż dobrze im służył przy Kangu i trzech kolejnych zdobyczach, a teraz znów jechali na Crane Street, żeby przygotować go dla numeru piątego.

- Zauważyłeś, że zaczynamy obsługiwać kobiety? - powiedział Dave, gdy jechali w stronę Queensu przez most, który po zmianie nazwy nazywał się Ed Koch Queensboro Bridge. - Najpierw Evelyn, teraz Rachael O'Keefe. Zdaje się, że to już trend. Chyba powinniśmy tam trochę ogarnąć.

Dave miał taki zwyczaj, że zdenerwowanie pokrywał żartami. Gideon uśmiechnął się i podjął grę.

- Na przykład jak? - spytał.

- Sam nie wiem. Może koronkowe firanki albo każdego wieczoru miętówka przy poduszce? A może do srania damy jej ładnie umytą puszkę po szpachli? Dziewczyny lubią takie drobiazgi.

Dave zawsze potrafił rozśmieszyć przyjaciela i teraz też mu się to udało.

- Dość już tej komedii - powiedział w końcu Gideon. - Porozmawiajmy poważnie. Z gabinetu prokuratora przeciekło, że wypuszczą O'Keefe jutro w południe.

- Myślałem, że chcą ją wypuścić dzisiaj wieczorem.

- Bo tak jest. Ten przeciek to ściema dla prasy i manifestantów. Liz, jej siostra, ma po nią przyjechać o drugiej w nocy.

- Czy Mer... czy moja... - Dave wiedział, że Gideon wyciągnął tę wiadomość od Meredith. Był zły, że również została w to wplątana, ale to było ich jedyne powiązanie z O'Keefe. Łatwiej było po prostu o tym nie wspominać. - Wiesz, dokąd jadą?

- Jersey. Mają ciotkę, która spędza połowę roku na Florydzie. Jadą do jej domu.

- Więc pojedziemy za nimi, obejrzymy okolicę i zastanowimy się, kiedy...

- Nie - odrzekł Gideon. - Nie mamy na to czasu. My się zajmiemy oglądaniem okolicy, a ona się spakuje i pryśnie w jakieś nieznane miejsce. Naprawdę nieznane, takie, którego Meredith nie będzie w stanie nam wskazać. I co wtedy? Jedyne, co wiemy na pewno, to gdzie pojedzie dziś w nocy. A to znaczy, że musimy ją przechwycić od razu.

- Nie dostanie eskorty na drogę?

- Z całą pewnością nie. Według mojego źródła odprowadzą ją tylko do drzwi, a dalej musi sobie radzić sama. Nowy Jork nie zamierza wydać na nią ani pięciu centów więcej. Urząd burmistrza to nie firma ochroniarska. Z punktu widzenia miejskich władz to tylko suka, która zabiła swoją córkę i wyłgała się z tego.

- Nie na długo - powiedział Dave, zupełnie już przekonany do słuszności misji. - Nie na długo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

- Czy chcecie poznać moją hipotezę na temat Czyściciela? - zapytała Cheryl. - A raczej, jak zauważył Zach, Czyścicieli?

- Cheryl - odrzekła Cates. - Bardzo się cieszę, że w ogóle masz jakąś hipotezę. Dawaj.

- Donald Li, który sporządził profil dla Donovana i Boyle'a, jest detektywem, a nie analitykiem. Opierając się na tym, co wiedział, uznał, że morderca jest białym mężczyzną wychowanym w rygorystycznym domu z wpływami religijnego fundamentalizmu. Morderca oczekuje, że Bóg ukarze tych, którzy czynią źle, a gdy przestępcy udaje się uniknąć kary, nasz morderca ją wymierza. Zgadzam się z tym wszystkim, ale to zupełne podstawy i na tym daleko nie zajdziemy. Na szczęście pracuję z dwojgiem bardzo bystrych detektywów, którym przyszło do głowy, że żadna z ofiar nie należy do ludzi, którzy po prostu wsiedliby do samochodu z dwoma obcymi mężczyznami, chyba że nie mieliby wyjścia. Dwóm osobom udającym policjantów taka sztuczka mogłaby się udać. Ale ja myślę, że ci goście nie udawali.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytała Cates.

- Chcę powiedzieć, że oni myśleli jak policjanci. Doskonale wiedzieli, jak wysledzić i uprowadzić swoje ofiary. Dobrze znają techniki kryminalistyczne i wiedzą, jak nie zostawiać śladów. Nie można wykluczyć, że tylko udają policjantów, ale robią to tak dobrze, że moim zdaniem jest bardzo prawdopodobne, że to gliniarze albo byli gliniarze.

- Każdy, kto obejrzy parę odcinków *CSI*, dobrze zna techniki kryminalistyczne - zauważyła Cates. - Dla mnie to jeszcze nie jest dowód, że mamy do czynienia z prawdziwymi policjantami.

- Pani kapitan, niczego nie potrafię udowodnić. Od tego ma pani detektywów. Moja praca polega na tym, by zbadać wzór i stworzyć profil. Opierając się na logistyce tych zbrodni - uprowadzenie, tortury, transport ciał - zgadzam się z Zachem i Kylie, że to była praca zespołowa. Prawdziwi policjanci pracują w parach.

- Tak... - Cates skinęła głową. - Słucham dalej.

- Często prowadzę indywidualną terapię policjantów, szczególnie detektywów. Narażają tyłki przez całe miesiące, a nawet lata. Śledzą i zamykają przestępców, którzy z całą pewnością są winni, a potem z takiego czy innego powodu ci różni złodzieje, gwałciciele czy mordercy wychodzą na wolność. Nie muszę wam mówić, jakie to jest stresujące dla policjanta, który aresztował takiego przestępcę. Rozmawiałam z tuzinami policjantów, którzy zrezygnowali z pracy albo odeszli na wcześniejszą emeryturę, bo mieli już powyżej uszu systemu sprawiedliwości. Wielu mówiło: „Gdybym nie rzucił tej pracy, to któregoś dnia strzeliłbym takiemu w tył głowy”.

- Większość policjantów od czasu do czasu miewa takie myśli - zauważyła Cates. - Ale nie wprowadzają ich w czyn. Jeśli jeden przestępca uniknie kary, przetykają to, znów wychodzą na ulicę i łapią następnego.

- Ale ci mordercy tak nie myślą - powiedziała Cheryl. - Wystawiając ciała na widok publiczny, wykazują pewność siebie graniczącą z bezczelnością. To bardzo ryzykowne. Ale chcą, by mieszkańcy Nowego Jorku to widzieli. I gdy już uda się im ściągnąć na siebie uwagę, wrzucają do sieci film. To jest dla mnie klucz do ich osobowości. Te filmy mówią, że zabijanie nie jest ich głównym celem.

- A co jest ich głównym celem?

- Wyznania. Każdy z tych filmów mówi publiczności, że nawet jeśli policja potrafi wyśledzić morderców, to system sprawiedliwości zawodzi i znów wypuszcza ich na ulicę.

Cheryl urwała i wzięła głęboki oddech. Im więcej emocji było w jej słowach, tym głośniej mówiła.

- Pani kapitan - powiedziała, ścisząc głos i tłumiąc podniecenie. - Ze względu na dobro departamentu mam nadzieję, że ci ludzie to tylko fałszywi policjanci z fałszywymi odznakami. Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że są prawdziwi. Oni nie zabijają tak po prostu. Oni wydają oświadczenie, w którym mówią: te wszystkie gówniane procedury nie działają. Nie zawsze karzą winnego. My to robimy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Była ósma trzydzieści, kiedy wyszedłem z biura w towarzystwie Cheryl. Zatrzymałem taksówkę i kazałem kierowcy zawieźć nas na róg Dziewięćdziesiątej Drugiej i Madison.

- Gdzie zjemy kolację? - zapytała.

- U Paoli. Świetna włoska kuchnia - zdecydowałem, mając nadzieję, że zajęty jedzeniem nie będę miał czasu wygłupić się tak jak przy śniadaniu.

Gdy stanęliśmy na światłach przy Siedemdziesiątej Drugiej, Cheryl objęła mnie i mocno pocałowała.

- Przez cały wieczór chciałam to zrobić.

- Też chciałem to zrobić, a nawet o wiele więcej - odparłem. - Przez cały wieczór i przez cały ostatni weekend. Więc jeśli masz ochotę zrezygnować z restauracji...

- Och, wybacz, ale jestem bardzo głodna - powiedziała, wtulając się we mnie. - A ty?

- Jedliśmy z Kylie lunch w Chinatown o pierwszej, więc głód mnie ściska od drugiej. A ty gdzie jadłaś lunch?

- Chcesz zapytać, z kim jadłam?

- Cholera. Czy tak łatwo mnie przejrzeć?

- Zach, na litość boską, jestem psychiatrą, a ty jesteś czytelny jak neon!

- Czy mówiłem ci kiedyś, jakie to irytujące spotykać się z kobietą, która zarabia na życie wchodzeniem ludziom do głowy?

- Nie. A czy ja ci mówiłam, jakie to wkurzające spotykać się z facetem, który zarabia na życie przesłuchaniami?

Paola Bottero nie należy do tych słynnych szefów kuchni,

których widuje się w telewizji. Jest raczej cichą legendą i od trzydziestu lat karmi wybrednych nowojorczyków. Przy drzwiach powitał mnie jej syn Stefano.

- *Signor Jordan, buona sera.*

- Byłeś tu już wcześniej? - zapytała Cheryl, gdy Stefano prowadził nas do stolika.

- Zawsze tu przychodzę na kolację, gdy przy śniadaniu zachowam się jak kretyn.

- Ach... to znaczy często.

Restauracja jest kwadratowa, rozległa i pełna ludzi. Choć światło jest tu przytłumione, każdy widzi każdego i kilka osób zerknęło na nas, gdy przechodziliśmy. Wątpiłem jednak, by patrzyli na mnie.

Cheryl i ja mamy taką umowę, że aż do deseru prowadzimy lekką rozmowę bez żadnych gier. Opowiedziałem jej o moim dniu, a ona mówiła na ten jeden temat, na jaki nie mogliśmy rozmawiać w gabinecie Cates, czyli o samej Cates.

- To dobry wzorzec osobowy - mówiła. - Silna kolorowa kobieta, która wywalczyła sobie pozycję w departamencie zdominowanym przez białych mężczyzn. I jak na policjantkę, która nie znosi polityki, bardzo dobrze rozgryzła ten system i umie się w nim poruszać. Byłaby lepszym burmistrzem niż ten, którego mamy teraz, i niż jego kontrkandydatka.

Zamówiłem butelkę Brunello di Montalcino i większą część wypięm sam. Potem zamówiłem jeszcze kieliszek, a po kolacji jeszcze jeden.

- Chcesz się rozluźnić po ciężkim dniu czy wzmocnić przed rozmową ze mną? - zapytała Cheryl.

Pięm powoli, kontrolując się, żeby nie wychylić kieliszka jednym haustem.

- Nigdy nie byłem dobry w rozmowach o związkach.

- Za to ja jestem w nich fantastyczna, o ile nie chodzi o mój związek, bo wtedy radzę sobie równie kiepsko jak każdy inny. Więc jeśli wolisz milczeć, w porządku. Wiele związków opiera się na chowaniu głowy w piasek.

Potarła brodę ręką, wbiła spojrzenie ciemnobrązowych latynoskich oczu w moją twarz i czekała - w połowie psychiatra, w połowie diablica, a w całości hipnotyzująca. Była doskonała w te klocki. Najpierw pozwoliła mi się zerwać z haczyka, a potem znów zanęciła.

Złapałem haczyk.

- No wiesz, nie mogę zaprzeczyć, że przy śniadaniu zachowałem się jak dureń. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte. Ale jeśli ta kolacja ma być rekompensatą, to możesz jutro przy śniadaniu znów zachować się jak dureń.

- Dziękuję, pani doktor, ale nie stać mnie na tego rodzaju terapię.

Znów sięgnąłem po kieliszek. Cheryl wyciągnęła rękę i delikatnie wyjęła go z mojej dłoni.

- Ile odwagi w płynie potrzebujesz, żeby mi powiedzieć, co cię dręczy?

Powiedz coś, idioto, cokolwiek, bo jeśli się zamkniesz, to wieczór się skończy, zanim się na dobre zacznie, perorowałem w duchu. Ale prawda była taka, że nie miałem pojęcia, która część ciała wydaje mi polecenia, lecz z pewnością nie był to mózg.

- Dręczy mnie to - powiedziałem powoli - że spędzasz dużo czasu z Mattem Smithem.

- Nie przyszło ci do głowy, że powodem może być to, że pracujemy razem?

- Mam wrażenie, że to coś więcej niż praca.
- To tak samo jak z tobą i Kylie. Przez czternaście godzin na dobę jesteście jak bliźnięta syjamskie. Jeździcie razem samochodem, jecie lunch albo biwakujecie podczas nocnego czuwania. To się nazywa pracować z kimś.
- Kylie to co innego. Jest mężatką. A Matt nie ma żony.
- Jesteś zdenerwowany, bo dałam samotnemu facetowi książkę, a on kupił mi bilety na świetny spektakl?
- I jeszcze sojową latte - uzupełniłem.
- Zdaję sobie sprawę, że w niektórych częściach świata mogłoby to być uważane za preludium do małżeństwa. Aby skonsumować ten układ, muszę jeszcze tylko poprosić mojego ojca, żeby dał jego ojcu sześć kóz.
- Na tym właśnie polega problem z psychiatrami - mruknąłem.
- Nie traktujecie nas, wariatów, poważnie.
- Zach, niedawno się rozwiodłam i dlatego nie próbujemy niczego przyspieszać. Ale czy naprawdę sądzisz, że to w moim stylu ściągać ci na głowę rywala?
- Nie. Zdaję sobie sprawę, że nie zapraszałaś Matta do trójkąta. Sam się wbił. I tak jak powiedziałaś, niedawno się rozwiodłaś, a zatem jesteś piękna, dostępna i bezbronna. Taka kombinacja to magnes na testosteron.
- Piękna, dostępna i bezbronna - powtórzyła Cheryl. - Sądząc po tym, co mówiłeś o problemie Spence'a, Kylie MacDonald może się taka stać lada dzień. Jestem ciekawa, czy to działa na ciebie jak magnes.
- To nie fair - odpowiedziałem. - Wiesz, że Kylie i ja zerwaliśmy ze sobą dziesięć lat temu.
- Ściśle biorąc, to Kylie z tobą zerwała i wyszła za Spence'a. Cóż to byłaby za ironia losu, gdyby dziesięć lat później rzuciła

jego, by związać się z tobą.

- Cheryl, wiem, że jesteś wyszkolonym psychologiem, ale ten scenariusz to... to czysta niedorzeczność. Nie, jeszcze inaczej. On jest po prostu nierealny.

- Masz rację. Zupełnie tak samo jak twój scenariusz o mnie i facecie z sąsiedniego gabinetu, który przyniósł mi kawę.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo.

Cheryl znów przesunęła kieliszek na moją stronę stolika.

- Ryzykuję, że przedawkujesz, ale wypij to.

Wypiłem resztę wina.

- No, no - powiedziałem. - Jesteś niewiarygodna.

- Pewnie to wino przez ciebie przemawia, ale dziękuję. Ty też jesteś niezły.

- Chociaż zachowałem się jak idiota przy śniadaniu i przy kolacji, proszę, powiedz, że nie rozwalilem doszczętnie naszego związku.

- Zach, cierpisz na syndrom, który w naszej profesji nazywamy „dorosły facet, a głupi jak but”. Ale na tobie tylko właściwy i absolutnie szalony sposób próbowałeś ocalić nasz związek, a to mnie uszczęśliwia.

- Nie chciałbym przeginać, ale jak bardzo cię uszczęśliwia?

Pochyliła się nad stolikiem i pocałowała mnie.

- Bezgranicznie.

- W takim razie spadajmy stąd, zanim dopadnie nas jakiś gość z sojową latte i znów wszystko popsuje.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Liz O'Keefe zjechała z mostu George'a Washingtona, opuściła szybę w hondzie CR-V i głęboko wciągnęła powietrze.

- Czujesz ten zapach?

Rachael, jej siostra, ubrana w za duży szary dres skuliła się na miejscu pasażera.

- Liz, to Jersey - powiedziała. - Zamknij okno. Znam ten zapach.

- Nie dzisiaj, skarbie. Dzisiaj Jersey ma zapach wolności.

- Super - mruknęła Rachael. - Zadzwoń do Springsteena, może napisze o tym piosenkę.

Liz zjechała z Main Street w kierunku Leonii.

- Myślałam, że po jedenastu miesiącach w więzieniu chociaż trochę się ucieszysz, że wreszcie się stamtąd wydostałaś.

- Z czego mam się cieszyć? Że Kimi nie żyje? Że jestem najbardziej nienawidzoną matką w Ameryce? Czy też z tego, że ława przysięgłych uznała mnie za niewinną, ale gdybym tylko spróbowała przejść się ulicą jak każda wolna kobieta, to zaraz starałby się mnie zabić ktoś z Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego albo z Chrześcijańskiej Koalicji, albo nawet sam Rush Limbaugh, ten prawicowy bulterier we własnej osobie?

- Chcesz wrócić do więzienia? Myślisz, że tam byłabyś bezpieczniejsza?

Rachael zdobyła się na uśmiech.

- Lizzie, przecież połowa tych kobiet chciała mnie zabić. Patrzyły na mnie, a ja wiedziałam po ich oczach, co myślą: „Ty suko, ja może jestem dziwką i ćpunką, ale i tak byłam lepszą matką od ciebie”.

- Ale wiesz co - odparła Liz - one nadal siedzą w więzieniu, a ty

nie. Za czterdzieści pięć dni sędzia wyda wyrok z oskarżenia o narażenie na niebezpieczeństwo. Słyszałaś, co powiedział pan Woloch. Pewnie uznają, że odsiedziałaś już swoje. Odzyskasz wolność i będziesz mogła zacząć życie na nowo.

- Masz na myśli życie bez Kimi czy życie w roli ruchomego celu za każdym razem, kiedy wejdę do supermarketu?

Honda przez niecałą minutę jechała przez Fort Lee Road, a potem skręciła w lewo na Broad Avenue.

- Posłuchaj, to sędzia ustalił zasady. Czy ci się to podoba, czy nie, przez najbliższe czterdzieści pięć dni będziesz zamknięta w domu ciotki Pearl. Potem pewnie zwrócą ci wolność i będziesz mogła pojechać, gdzie zechcesz. Ale ja na twoim miejscu siedziałabym tu aż do kwietnia, kiedy Pearl wróci z Florydy.

- Mówisz poważnie? Przecież zwariuję, siedząc w pustym domu i nic nie robiąc przez sześć miesięcy - odrzekła Rachael.

Liz ostro wcisnęła hamulce, a gdy honda zatrzymała się w miejscu, obróciła się w fotelu i pochwyciła siostrę za ramiona.

- Nic mnie nie obchodzi, czy będziesz dostawać świra, czy nie. Masz się ukrywać, do cholery! Jesteś teraz celebrytką, Rachael. I to nie w pozytywnym znaczeniu, jak ta pieprzona Lady Gaga. Ile gróźb śmierci dostałaś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? Myślisz, że nic nie będziesz robić? To, że pozostaniesz przy życiu, to nie jest nic! Poza tym pan Woloch mówił, że zbiera już propozycje napisania książki. Będziesz miała mnóstwo do roboty, siadając każdego dnia z autorem i opowiadając swoją historię.

- Na diabła mi to potrzebne, i tak nikt nie uwierzy. Wszyscy myślą, że zabiłam Kimi.

Liz nie odpowiedziała, tylko po raz tysięczny od chwili, kiedy Rachael wsiadła do samochodu, spojrzała lusterko wsteczne.

Broad Avenue była pusta. Zatrzymała samochód naprzeciwko BonChon Chicken.

- Próbowalaś już tego pikantnego koreańskiego kurczaka? - zapytała, wskazując na ciemny fronton restauracji.

- Nie.

- Przywiozę ci go później. Najlepszy na świecie.

Rachael znowu osunęła się niżej na fotelu.

- Już się nie mogę doczekać.

Liz wrzuciła bieg, przejechała jeszcze cztery przecznice i skręciła w prawo w Harold Avenue, choć nazywanie tej uliczki aleją to spora przesada. Był to ślepy, obrzeżony drzewami zaułek, przy którym stało zaledwie szesnaście domów, spokojny, zamieszkały przez klasę średnią skrawek Bergen Country w New Jersey, gdzie jedna z najbardziej znanych kobiet w Ameryce, oskarżona o zabicie własnego dziecka, miała przeżyć anonimowo kilka miesięcy.

Dom ciotki Pearl był ostatni z lewej. Liz zatrzymała samochód za garażem na dwa auta i zamknęła drzwi na kluczyk.

Po chwili siostry weszły do kuchni przez łącznik.

- Nic się tu nie zamieniło, odkąd byłam dzieckiem - zauważyła Rachael.

- Mała, tu się nic nie zmieniło, odkąd ciotka Pearl była dzieckiem. To są uroki spokojnego życia - powiedziała Liz, otwierając lodówkę. - Na powitanie kupiłam ci sernik mia figlia bella i butelkę chardonnay.

- Wygląda to tak, jakbyś przygotowała plan do *Gotowych na wszystko w New Jersey*. Daj mi skraweczek tego ciasta i wino z dolewką.

Liz uśmiechnęła się. Wino z dolewką. To była jej młodsza siostra, którą znała i kochała. Wyjęła z szafki nad głową

korkociąg, kieliszki i talerzyki.

- Pieprzyć ich - powiedziała Rachael.

- Kogo, skarbie? - zapytała Liz, ściągając banderolę z butelki.

- Widziałaś to? - Rachael podniosła z kuchennego stołu poranny numer *New York Post*.

Prawie całą pierwszą stronę wypełniał nagłówek złożony z jednego tylko słowa:

NIEWINNA???

Przerzuciła strony i zaczęła czytać na głos.

- Nieoczekiwany i szokujący wyrok w sprawie o morderstwo Kimi O'Keefe. Ława przysięgłych uznała matkę Kimi, Rachael, za niewinną. Podziękowania dla ławników, wygłoszone przez sędziego Stevena Levine'a, brzmiały nieprzekonująco i nieszczerze. Zdawało się, że Wysoki Sąd, podobnie jak niemal wszyscy mieszkańcy miasta, jest przekonany, że ławnicy popełnili błąd. - Przerwała na moment, a potem skomentowała: - No cóż, to z pewnością jest uczciwe i obiektywne dziennikarstwo.

- Skarbie, mnóstwo ludzi uważało, że jesteś winna. - Skrzydełka korkociągu, który obracała Liz, unosiły się coraz wyżej. - Niby dlaczego trzeba cię było wywieźć z aresztu w środku nocy? Bez względu na to, jaki byłby werdykt, zawsze ktoś byłby przekonany, że zaszła pomyłka. Popatrz tylko na O.J. Simpsona.

- O.J. był winny, a ja nie.

Liz bez słowa wyciągnęła korek.

- Słyszałaś, kiedy powiedziałam, że jestem niewinna? - powtórzyła Rachael.

- Oczywiście - odparła siostra. - Byłam tam przecież, kiedy ława przysięgłych wróciła z werdyktem.

- Do cholery, Lizzie, nie o to pytam! Powiedziałam, że jestem niewinna, a ty zamilkłaś. Powiedz mi prawdę. Wierzysz, że jestem

niewinna?

- Posłuchaj, bardzo się cieszę, że jesteś wolna i nie siedzisz w więzieniu. Taka jest prawda.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Rachael potrząsnęła głową. - Moja własna siostra. Myślisz, że zamordowałam Kimi, tak?

- To był męczący dzień. Odrobina wina pomoże nam się rozluźnić. - Liz oczyściła korkociąg z resztek korka, a sam korek wrzuciła do śmieci. Nie było sensu go zachowywać. Żadna z sióstr nigdy jeszcze nie zamknęła otwartej butelki.

- Odrobina wina nie zwróci mi córki - powiedziała Rachael i rzuciła gazetą przez pokój. - Zadałam ci pytanie. Tak czy nie? Czy uważasz, że jestem winna?

Drzwi między kuchnią a łącznikiem trzasnęły i do środka wpadło dwóch zamaskowanych mężczyzn z pistoletami w rękach.

- Ja tak uważam - powiedział jeden z nich. - Na podłogę. Obydwie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Liz wciąż trzymała w ręku korkociąg. Opuściła rękę i powoli wsunęła dłoń za plecy.

- Rzuć to, suko! - wykrzyknął jeden z napastników. - Czy wyglądamy na amatorów?

Korkociąg z brzękiem upadł na posadzkę z terakoty.

- Kopnij to w naszą stronę.

Liz popatrzyła na dwóch mężczyzn ubranych od stóp do głów w czerni. Ten, który wydawał rozkazy, miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć. Jego głos stłumiony był przez maskę, ale odniosła wrażenie, że to ktoś młody, biały i mówi zupełnie poważnie. Nic w nim nie wskazywało na amatora.

Wypełniaj polecenia, ale nie trać nadziei, pomyślała i kopnęła korkociąg w odległy kąt kuchni.

- Obie na ziemię twarzami w dół! Ręce za plecy! Już!

Padły na podłogę z rękami na plecach. Ten, który wydawał rozkazy, wsunął pistolet do kabury, przyklęknął obok Rachael, skrepował nadgarstki opaską zaciskową i mocno zaciągnął. Jęknęła z bólu.

Drugi wciąż stał w rozkroku nad Liz. On również schował broń i sięgnął do kieszeni po opaskę zaciskową. Teraz, pomyślała Liz. Płynnym ruchem przetoczyła się na plecy i dźgnęła go kolaniem w krocze. Zgiął się wpół. Liz pociągnęła go na podłogę i próbowała wyrwać pistolet z kabury. Drugi napastnik rzucił się w jej stronę i chciał ją kopnąć w dłoń, ale nie trafił. Złapała go za nogę i on również wylądował na podłodze.

Podniosła się na kolana, wałąc w powalonego mężczyznę pięściami i starając się trafić we wrażliwe miejsca - skronie,

gardło, cokolwiek.

Uderzenie butem trafiło ją w tył głowy. Poleciała do przodu i poczuła wpijające się w jej plecy kolana. Ten, który ją przygwoździł do podłogi, złapał za włosy, szarpnął głowę do tyłu i przycisnął ramię do gardła.

- Nie ruszaj się, suko, bo złamię ci kark jak patyk! - wrzasnął.

Rozluźniła mięśnie, ale on wciąż przyciskał ramię do jej szyi, odcinając dostęp powietrza. Wiedziała, że znalazła się w śmiertelnym uścisku.

- Wystarczy! - krzyknął ten drugi. - Nie po nią przyszliśmy.

Gdy jego partner rozluźnił uścisk, Liz łapczywie zaczęła chwytać powietrze. Jeden z nich pochwycił ją za ramiona, a drugi za kostki nóg. Zanieśli ją do łazienki i ten, który omal jej nie udusił, przytrzymał głowę nad sedesem.

- Niczego nie próbuj, bo cię tu utopię, a mój kolega naszcza na ciebie, kiedy będziesz umierać.

Rzucili ją twarzą w dół na podłogę, zakleili usta wzmocnianą taśmą, rozłożyli nogi tak, że obejmowały podstawę sedesu, i ścisnęli opaską kostki, a potem wyprostowali ramiona nad głową i kolejną opaską przypięli do rury pod umywalką. Jeden odkręcił wodę i zaczął napełniać wannę. Pięć minut później ten drugi przyniósł wszystkie telefony, jakie znajdowały się w domu, włącznie z komórką Liz, i wrzucił je do wody.

- Powinniśmy cię zabić za to, że przechowywałaś dzieciobójczynię - oznajmił.

Wyłączyli wszystkie światła i zamknęli za sobą drzwi łazienki.

Liz leżała na zimnej posadzce z boleśnie rozciągniętymi nogami i rękami. Opaski wpijały się w skórę. Starła się wychwycić wszystkie nadlatujące dźwięki. Usłyszała, że wynoszą Rachael z domu przez tylne wyjście. Drzwi samochodu otworzyły się

i zamknęły. Potem trzasnęły jeszcze dwie pary drzwi, wreszcie silnik warknął i samochód ruszył.

A potem zapanowała cisza. Liz nie słyszała nic oprócz szlochu dochodzącego z jej poobijanego ciała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Bridget Sweeney, gospodyni przy kościele Świętej Agnieszki, była dużą, krzepką kobietą o jowialnym poczuciu humoru i z irlandzkim akcentem równie mocnym jak przed czterdziestu dwoma laty, gdy zaczęła tu pracować. Miała trzy obowiązki: gotować dla księży, nadzorować sprzątaczkę oraz, co najważniejsze, pełnić rolę oczu i uszu ojca Spinellego.

Odkurzała właśnie żaluzje na plebanii, gdy zobaczyła czarnego cadillaca escalade, który zatrzymał się przed kościołem. Natychmiast pobiegła do gabinetu ojca Spinellego i weszła do środka, nie zwracając sobie głowy pukaniem.

- Ojciec - powiedziała zasapana. - Ma ojciec gościa.

Ksiądz szybko spojrzał na zegarek.

- Za dziesięć minut mam poranną mszę. Kto to taki?

- Włoska arystokracja - odrzekła Sweeney. - Proszę spojrzeć.

Pociągnęła Spinellego do okna i popatrzyli na kierowcę, który wysiadł z cadillaca i otworzył tylne drzwi. Z wnętrza wysunął się Joe Salvi w doskonale dopasowanym dwurzędowym ciemnoszarym garniturze, białej koszuli, niebieskim krawacie i czarnych butach.

- Proszę tylko popatrzeć - mówiła Sweeney. - Wysztafirowany jak John Gotti i jeździ takim wielkim czarnym SUV-em jak Tony Soprano. Może mu się wydaje, że jeszcze nie wiemy, że jest w mafii?

Ksiądz potrząsnął głową.

- Pani Sweeney. „Nie będziesz szerzył oszczerstw...”^[2] - napomniał ją. - Księga Kapłańska 19, wers 16.

Gospodyni z udawaną skruchą przycisnęła dłonie do policzków

i wyrecytowała:

- „Głowa mafii, Joe Salvi, skazany wyrokiem sądu federalnego za wymuszenia”. *Daily News*, strona pierwsza.

Ksiądz zaśmiał się. Gospodyni była niepoprawna, ale zginąłby bez niej.

- To nie jest ani Boże Narodzenie, ani Wielkanoc - zauważyła. - Więc co on tu, na Boga, robi?

- To nie pani sprawa. Rodzina Salvich to nasi najwięksi dobroczyńcy, więc zechce pani łaskawie ruszyć swój podstarzały irlandzki tyłek do kuchni i przynieść nam dzbanek świeżej kawy. Och, i proszę poprosić ojca Daniela, żeby odprawił za mnie mszę.

- Tak, ojcze. - Gospodyni znów spojrzała w okno. - Ale bardzo jestem ciekawa, czego on chce tak wcześnie rano.

- Nie mam pojęcia - odrzekł ksiądz.

- Jasne jak słońce, że nie przyszedł się wypowiadać. - Zaśmiała się, zabierając swój podstarzały irlandzki tyłek za drzwi.

I całe szczęście, pomyślał rozbawiony Spinelli, bo nie mam tyle czasu, by wysłuchać wszystkich jego grzechów.

Trzy minuty później Salvi stanął przed drzwiami gabinetu.

- Dzień dobry, ojcze. Miałem nadzieję, że zastanę tu ojca przed mszą.

- Ojciec Daniel odprawia dzisiaj mszę poranną, ale jeśli chce pan wziąć w niej udział, to pójdę po ornat.

- Bardzo mi to pochlebia, ale Teresa modli się wystarczająco dużo za nas oboje. Przyszedłem tu, bo chciałem złożyć datek na naszą wspólnotę kościelną. Dziesięć tysięcy dolarów.

- Chwalmy Pana - odrzekł Spinelli. - A jeśli mogę zapytać, jakąż to radosna okazja stała się przyczyną tej szczodrości?

- Notes mojego syna Enza. Bardzo wiele dla nas znaczy - wyjaśnił Salvi bez cienia radości w głosie. - Chciałem ci

podziękować, ojcze, za to, że znalazłeś i oddałeś nam ten fragment życia naszego syna.

- Joseph - powiedział ksiądz. - Przyjmę twój dar z wdzięcznym sercem, ale nie mogę go przyjąć z fałszywego powodu. Mówiłem już Teresie, że to jedna z naszych parafianek znalazła notes i przyniosła mi z prośbą, żebym przekazał go wam.

Salvi skinął głową, jakby usłyszał to po raz pierwszy, i wyciągnął z kieszonki na piersi książeczkę czekową.

- W takim razie niech to będzie dwadzieścia tysięcy dolarów, ale chciałbym złożyć ten datek w jej imieniu. Powiedz mi, ojcze, kto to taki? Teresa i ja wyślemy jej podziękowania.

- Z pewnością bardzo się ucieszy - powiedział Spinelli. - Nazywa się Emma Frye. Zaraz poszukam jej adresu.

Bridget Sweeney wniosła do gabinetu srebrną tacę.

- Dzień dobry, panie Salvi. Jak się miewa pańska urocza żona?

Salvi błysnął swoim najłaskawszym uśmiechem lokalnego dobroczyńcy.

- Doskonale, a pani?

Podał księdzu czek, a Spinelli zrewanżował się niedużą karteczką, którą Salvi złożył i wsunął do kieszeni marynarki.

- Miewam się dobrze. Miło, że pan zapytał - odparła. - Przyniosłam gorącą kawę i świeżutkie bułeczki.

- Żałuję, ale muszę już uciekać - powiedział Salvi. - Pokój z tobą, ojcze.

- I z duchem twoim - dodał ksiądz.

Salvi uprzejmie skinął głową gospodyni, wyminął ją i zniknął.

Pewnie dostałeś to, po co przyszedłeś, pomyślała. I to nie były żadne bułeczki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Kiedy poznałem Cheryl, uznałem, że jest kompletnie poza moim zasięgiem. Ona miała doktorat z Uniwersytetu Fordham, ja blaszaną odznakę z akademii policyjnej. Ona była salsa, ja majonezem. No i oczywiście ona była żoną Freda Robinsona, a ja miałem twardą zasadę niewiązania się z kobietami, które nie były wolne.

Ale to mnie nie powstrzymało od fantazjowania. A potem jej małżeństwo się rozpadło, ale ja wciąż zachowywałem dystans. Powtarzałem sobie, że Cheryl potrzebuje czasu, by ochłonać po rozwodzie, ale myślę, że w gruncie rzeczy wciąż chodziło o tamto pierwsze wrażenie: że jest zupełnie poza moim zasięgiem.

Cheryl jednak najwidoczniej miała inne zdanie na ten temat i trzy miesiące temu zaprosiła mnie do opery. To był magiczny wieczór i jeszcze przed końcem spektaklu stało się jasne, że drzwi do poważnego związku są szeroko otwarte. Tyle że ja nie byłem gotów na zobowiązania. W tym samym tygodniu moja była dziewczyna dołączyła do Red i została moją nową partnerką. I choć Kylie była szczęśliwą mężatką, ja wciąż żałośnie do niej wzdychałem.

Przez następne trzy miesiące Kylie, Cheryl i ja żyliśmy razem w ciasnym, niebezpiecznym wnętrzu mojego pokrętnego umysłu. Chciałem mieć je obie, choć byłem pewien, że żadna z nich nie chce mnie. Gdybym zachował się jak mężczyzna i powiedział Cheryl, przez co przechodzę, z pewnością wystawiłaby mi pełnowartościowe żółte papiery, jednak głęboko skrywałem swoje uczucia, jak przystało na mężczyznę wychowanego w środowisku białych anglosaskich protestantów.

Ale gdy obudziłem się rankiem po kolacji w restauracji U Paoli, wszystko się zmieniło. Czułem się inaczej – dobrze, fantastycznie. To nie była tylko euforia poranka, która rozgrzewa człowieka, gdy wieczór, który zapowiadał się na katastrofę, kończy się seksem, od którego serce bije jak szalone. Poczułem coś, czego nie czułem już od wielu miesięcy – poczułem się spójny. W końcu wiedziałem, czego chcę. A chciałem tej inteligentnej, pogodnej, niewiarygodnie namiętnej i gotowej na nowatorskie seksualne wyzwania kobiety, która leżała obok mnie w łóżku, z gęstymi czarnymi włosami opadającymi kaskadą na gładkie brązowe ramiona.

Poszedłem pod prysznic. Dwie minuty później Cheryl dołączyła do mnie, ubrana tylko w przewrotny uśmiech. Jedna rzecz prowadziła do drugiej. Nie kwestionowałem swojego szczęścia, po prostu je akceptowałem.

Dwie godziny później znalazłem się w gabinecie Matta Smitha w towarzystwie Kylie.

- Zrobiłem listę wszystkich osób, do których Parker-Steele dzwoniła ze swojej komórki, telefonu stacjonarnego i telefonu w biurze – powiedział Smith. - I sprawdziłem, czy ktoś z nich ma czarnego SUV-a. Większość jej kontaktów mieszka na Manhattanie i w ogóle nie ma samochodu, a spośród tych trzydziestu siedmiu osób, które mają, tylko jedna jeździ dziesięcioletnim czarnym dżipem patriotem. To jej stomatolog.

- Jak on się nazywa? - zapytała Kylie.

- Ona. Nazywa się Jo Ann Kinane – odrzekł Matt. - Nie szukamy kobiety, a poza tym, biorąc pod uwagę to, jak połamane zęby miały ofiary, czy naprawdę sądzisz, że jej dentystka mogłaby...? - Urwał, bo w drzwiach stanęła Cates. - Pani kapitan – powiedział Smith. - My tu właśnie...

- Nieważne. Wszyscy wiecie, kim jest Rachael O'Keefe? Oskarżono ją o zamordowanie córki, ale ława przysięgłych uniewinniła ją. - Nie czekała na odpowiedź. Pół świata wiedziało, kim była Rachael O'Keefe. - Została uprowadzona wczoraj w nocy. Porywacze byli uzbrojeni. Pojechała do Jersey ze swoją siostrą. Dwóch zamaskowanych mężczyzn wpadło do domu około trzeciej nad ranem i zabrało Rachael. Siostrę związali, udało jej się uwolnić dopiero po pięciu godzinach. Miała tyle rozumu, że nie zadzwoniła na miejscową policję, tylko do prokuratora okręgowego na Manhattanie. Prokurator zadzwonił do komisarza, który zadzwonił do prokuratora federalnego, który zadzwonił do mnie. Możliwe, że mamy do czynienia z Czyścicielem. To porwanie jest inne niż cztery poprzednie, bo tamtych ofiar nie uprowadzano siłą, ale jeśli ktokolwiek może być kandydatem do kilkudniowych tortur i spowiedzi na wideo, to z pewnością Rachael O'Keefe. Chcę, żebyście pojechali do Jersey i porozmawiali z jej siostrą.

- To poza naszą jurysdykcją - zauważyła Kylie. - Jak pani sądzi, wkurzymy miejscowych czy federalnych? Trochę za wcześnie, żeby rozwalać im imprezę.

- Patrzcie, patrzcie - mruknęła Cates. - I kto to nagle chce grać zgodnie z zasadami? Wydaje ci się, że mam czas, żeby pytać jakiegoś komendanta posterunku w Leonii w New Jersey, czy mogę się pobawić w jego piaskownicy? Polityczne reperkusje biorę na siebie, a wasza robota polega na tym, żeby tam być, zanim miejscowi albo federalni zaczną grzebać w tej sprawie. Wysłałam tam już ekipę CSI. Macie znaleźć wszystko, co może mieć związek ze sprawą Czyściciela, a potem natychmiast zniknąć.

- Kto wiedział, gdzie Rachael ma zamiar pojechać, gdy ją

zwolnią z aresztu? - zapytała Kylie.

- Tylko kilka osób. Ci, którzy musieli wiedzieć. To miała być dobrze strzeżona tajemnica, ale tajemnice zwykle wyciekają.

- Może siostra komuś powiedziała?

- Nie sądzę, żeby była aż tak głupia, ale jeśli była, to dowiedźcie się, komu wychlapała prawdę, i wyśledźcie te osoby.

Kylie i ja ruszyliśmy do drzwi.

- A jeśli szansa, żeby zapobiec kolejnemu morderstwu, nie jest dla was wystarczającą motywacją - dodała Cates - to przypomnę wam jeszcze, że wybory są za sześć dni.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

- Niech to szlag - powiedziała Kylie, kiedy wsiadaliśmy do forda interceptora. - Mam ochotę dać sobie kopniaka.

- Bo chciałaś się podlizać szefowej, udając, że przestrzegasz zasad, a ona nie dała się na to nabrać?

- Nie podlizywałam się, a poza tym ona doskonale wie, że nie jestem harcerką, ale pomyślałam, że skoro pakuje mnie w śliską sytuację ze względu na Damona Parkera, to powinnam przynajmniej dać jej do zrozumienia, że zdaję sobie sprawę, jakie przepisy łamię. Wysłała dwoje policjantów z Nowego Jorku, żeby przeprowadzili dochodzenie w sprawie medialnego uprowadzenia, które zdarzyło się w sąsiednim stanie. Przez jedno przedpołudnie złamiemy więcej przepisów niż większość policjantów przez całe życie. Narażamy się nie tylko miejscowym. Każdy będzie chciał dostać kawałek tego tortu, szeryf z Bergen County, policja stanowa i oczywiście federalni.

- Taka zabawa powinna ci się podobać - skomentowałam. - Więc dlaczego masz ochotę dać sobie kopniaka?

- Bo wiedziałam, że to się stanie. Wiedziałam, że Rachael O'Keefe zostanie porwana.

- A kiedy się dowiedziałas? - zapytałam, zjeżdżając z FDR na Dziewięćdziesiątą Szóstą Ulicę.

- W poniedziałek wieczorem, kiedy ogłoszono wyrok. Cały świat wiedział, że O'Keefe jest winna, więc kiedy ława przysięgłych puściła ją wolno, dając tylko lekko po łapach, natychmiast pomyślałam, że Czyściciel miałby z nią uciechę.

- Szkoda, że nic nie powiedziałaś.

- Komu? A nawet gdybym powiedziała, to jaki byłby z tego

pożytek?

- No właśnie. Nikt by cię nie słuchał, a nawet gdyby słuchali, to i tak nikt nic by nie zrobił, więc przestań się obwiniać.

Zadzwoiła komórka. Kylie popatrzyła na ekran i wymamrotała tylko dwa słowa:

- O cholera.

- Cześć, Shelley - powiedziała do telefonu. - Co się stało?

Przez następną minutę siedziała w milczeniu i słuchała. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, ale wiedziałem, kto do niej zadzwonił. Shelley Trager zrodził się w *Piekielnej Kuchni*, a potem stał się jednym z najbogatszych i najsympatyczniejszych producentów telewizyjnych i filmowych w całej branży. Przez wiele lat jego firma, Noo Yawk Films, dawała pracę tysiącom nowojorczyków, którzy w innym wypadku chodziliby głodni albo - co byłoby jeszcze gorsze - musieliby się przeprowadzić do Los Angeles. Jednym z jego najważniejszych protegowanych był Spence Harrington, mąż Kylie.

- Który to szpital? - zapytała Kylie. - Nie. Przyjadę, gdy tylko będę mogła. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

Zjechałem na wąski pas trawy po lewej stronie drogi i zatrzymałem samochód.

- Zdaje się, że coś się stało ze Spence'em.

- Coś się stało. Właśnie karetka wiezie go do szpitala Elmhurst. Był na planie, potknął się o stojak na lampy, uderzył głową w podłogę i pokaleczył się rozbitym szkłem. Dlaczego się zatrzymałeś?

- Jesteśmy o kilometr od mostu George'a Washingtona. Nie mam czasu, żeby cię zawieźć na Queens, ale mogę skrócić w Sto Siedemdziesiątą Dziewiątą i wyrzucić cię przy dworcu autobusowym. Stamtąd złapiesz taksówkę do szpitala.

- Nie jadę do szpitala.
- Na pewno? Zdaje się, że to coś poważnego.
- Jedź dalej - powiedziała.
- Posłuchaj, dam sobie radę z siostrą O'Keefe. Jedź sprawdzić, co ze Spence'em, a potem się spotkamy.

- Zach, nie chodzi tylko o to, że Spence upadł. Był tak naćpany lekami przeciwbólowymi, że nic przed sobą nie widział. Udało mu się zniszczyć sprzęt wart tysiące dolarów i narazić życie nie tylko swoje, ale i innych. Spence ma problem. W niczym mu nie pomogę, gdy pojedę do szpitala i potrzymam go za rękę. Mówiłam ci o tym w poniedziałek i powiem jeszcze raz. To jest najlepsza robota w całym NYPD i nie mam zamiaru tego spieprzyć przez męża narkomana. A teraz zrób coś dla mnie.

- Co tylko chcesz.

- Zamknij się i jedź.

Zamknąłem się, wróciłem na drogę szybkiego ruchu i znalazłem wjazd na most prowadzący do New Jersey.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Wjeżdżając na Harold Avenue w Leonii, stan New Jersey, trudno było przypuszczać, że ten nieodznaczający się niczym szczególnym skrawek przedmieść to beczka z prochem, która eksploduje przy najbliższym wydaniu wiadomości.

Na podjeździe do ostatniego domu po lewej stała czarna furgonetka przyciśnięta ciasno do wysokiej kępy żywopłotu, tak że złoty napis na boku „Ekipa Śledcza NYPD” był niewidoczny.

Nasz stary przyjaciel Chuck Dryden podniósł głowę, kiedy usłyszał nasz samochód, ale zamiast znów zagrzebać nos w robocie, wyszedł nam na powitanie.

- Detektywi - powiedział z nietypowym dla siebie uśmiechem. - Znów się spotykamy.

- Zdziwiona jestem, że cię tu widzę - odrzekła Kylie. - Nie ma żadnych ciał, które można kroić na plasterki.

- Ach, detektyw MacDonald - westchnął Dryden. - Wiem, że twoim zdaniem zajmuję się wyłącznie ludźmi, ale mam również inne talenty, o których być może jeszcze nie wiesz.

Kylie roześmiała się, jakby to było zabawne, a nie przerażające.

- Kazano mi tu wszystko obejrzeć i zniknąć jak najszybciej - mówił Dryden. - Za pięć minut będę miał dla was wstępne wnioski. Siostra jest w środku.

Elizabeth O'Keefe, kobieta, którą z uwagi na rodzinne podobieństwo łatwo było rozpoznać od czasu procesu Rachael, czekała na nas w kuchni. Siedziała na jedynym krześle, które stało jeszcze na czterech nogach.

- Nie wchodźcie tu - powiedziała. - Chciałam tylko, żebyście zobaczyli, jak to wygląda.

Zatrzymaliśmy się w drzwiach, patrząc na bałagan. Podłoga była mokra, śliska i pokryta rozbitym szkłem. Wszędzie unosił się zapach wina. Drzwi szafek po jednej stronie były roztrzaskane, a dolna część lodówki ze stali nierdzewnej wyglądała tak, jakby zderzyła się z toyotą.

- Tam jest sernik. - Elizabeth wskazała kremowózółty glut przyklejony do jednego z przewróconych krzesel. - Możecie zawieźć kawałek prokuratorowi i powiedzieć mu, żeby wsadził to sobie w dupę.

- Pani O'Keefe - powiedziała Kylie. - Jesteśmy tu, żeby pomóc odnaleźć pani siostrę.

- Przepraszam, ale jestem cholernie wściekła. Prosiłyśmy prokuratora o ochronę policyjną dla Rachael, ale tuzin pogróżek i fakt, że ława przysięgłych uznała ją za niewinną, to było za mało, by go przekonać.

- A jednak kiedy porwano pani siostrę, zadzwoniła pani do prokuratora, a nie na dziewięćset jedenaście - stwierdziła Kylie.

O'Keefe wstała. Dżinsy i koszulkę miała przemoczone i wysmarowane tym samym czymś co podłoga, lewą stronę twarzy posiniaczoną, na szyi i brodzie skaleczenia, a przeguby rąk i kostki nóg pokryte zaschniętą krwią.

- Pani O'Keefe, zawieziemy panią do szpitala.

- Proszę mówić do mnie Liz. Nie, nic mi nie jest. Wyjdźmy stąd.

Przeszła na palcach przez porozbijane szkło. Poszliśmy za nią i znaleźliśmy się w ciasnym salonie, który wyglądał tak, jakby zamknięto go w kapsule czasu zaraz po umeblowaniu w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Kylie i ja usiedliśmy na miękkiej sofie, a Liz ze względu na przemoczone ubranie wybrała drewniane krzesło z trzciniowym oparciem.

- Nie od razu zadzwoniłam do prokuratora - wyjaśniła. -

Najpierw zadzwoniłam do Dennisa Wolocha, prawnika Rachael. Nie mógł mi odradzać dzwonienia na dziewięćset jedenaście, ale powiedział, że jeśli tam zadzwonię, to połączę się z lokalną policją, która przyjedzie, jak tylko załatwi skargę na zbyt głośną muzykę albo na to, że paru nastolatków pali trawę w parku. Wiem, że to bzdury, ale powiedział też, że jeśli wiadomość wycieknie z komisariatu, to prasa zrobi z tej historii kolejny cyrk medialny.

- A to już nie są bzdury - stwierdziła Kylie.

- Pan Woloch powiedział, że skoro prokurator wypuścił Rachael bez żadnej ochrony, to może teraz poczuje się głupio i wezwie elitarną jednostkę z NYPD, ale zdaje się, że zamiast tego przysłał was.

- Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale to my jesteśmy tą elitarną jednostką - oznajmiła Kylie.

- Och... Pewnie podświadomie spodziewałam się supermenów z Komanda Fok.

- Proszę nam opowiedzieć, co się zdarzyło.

- Rachael i ja byłyśmy w kuchni i rozmawiałyśmy, gdy nagle przez łącznik wpadło dwóch zamaskowanych facetów z bronią.

- Czy sądzi pani, że jechali za wami z Nowego Jorku? - zapytałam.

- Bałam się, że ktoś może nas śledzić, ale nikogo nie widziałam, nawet kiedy skręciłam w ten ślepy zaułek. Zupełnie nikogo.

- Co się stało, kiedy tu weszli?

- Kazali nam się położyć na podłodze. Jeden związał Rachael, a drugi wsunął pistolet do kabury, żeby związać mnie, a ja wtedy uderzyłam go kolanem w krocze. Zna pan krav magę? To izraelska technika samoobrony.

- Znamy ją dobrze - powiedziała Kylie.

- Ćwiczę to od pięciu lat, po tym, jak przeżyłam napad. Gdyby był tylko jeden facet, może by mi się udało, ale było ich dwóch.

- Co potem się wydarzyło?

- Zanieśli mnie do łazienki, związali i zniszczyli wszystkie telefony. Zaraz potem usłyszałam, jak wynoszą Rachael z domu i odjeżdżają.

- Jeśli ich samochód stał zaparkowany gdzieś w pobliżu, czy mogła go pani zauważyć, wjeżdżając tutaj?

- Nie. Martwiłam się o to, że ktoś może za mną jechać, i na to byłam nastawiona, więc nie przyglądałam się zaparkowanym samochodom.

- Czy może pani opisać tych dwóch?

- Byli ubrani na czarno. Jeden miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć, drugi mniej. Obydwaj silni. Sądząc po głosach, biali i raczej młodzi. Wiedzieli, co robią, jakby mieli przeszkolenie wojskowe.

- Kto wiedział, że przywiezie pani Rachael właśnie tutaj? - zapytałem.

- Tylko ja i prawnik Rachael, pan Woloch.

- Nie mówiła pani nikomu więcej?

- Nie, ale pan Woloch musiał powiedzieć szefowi służb więziennych i kuratorskich, bo sędzia Levine za czterdzieści pięć dni wyda werdykt w sprawie o narażenie życia dziecka i muszą wiedzieć, gdzie ona jest.

- Detektywi. - W proggu pojawił się Dryden. - Czy mogę was na chwilę prosić na zewnątrz?

Wyszliśmy więc za dom. Tylne drzwi były wyłamane, drewniana framuga pęknięta, a jedna ze szklanych szybek leżała rozprysnięta na podłodze łącznika.

- Są jakieś odciski? - zapytałem.

- Mieli rękawiczki. Zostawili ślady butów, kiedy przechodzili

przez ten bajzel w kuchni. Mogę określić, jakie mieli trampki i w jakim rozmiarze, ale wątpię, czy to w czymkolwiek pomoże. Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej, ale to profesjonaliści, a ja już muszę się stąd zmywać.

Poszedł. Kylie i ja staliśmy przy tylnych drzwiach, nie mając pojęcia, jakie podjąć dalsze działania.

- Zrób coś dla mnie - powiedziała. - Przejdź przez ten łącznik, wejdź do kuchni i zamknij drzwi.

Zrobiłem to. Po pięciu sekundach usłyszałem odgłos rozbijanego szkła. Otworzyłem drzwi do łącznika. Kylie trzymała pistolet w ręku.

- Rozbiłam jeszcze jedną z tych szybek w drzwiach. Słyszałeś to?

- Oczywiście, że słyszałem.

- Więc gdyby ci dwaj włamali się wtedy, kiedy Rachael i Liz były w kuchni, to musiałyby usłyszeć rozbijanie szyby.

- Ale nie słyszały.

- Bo włamali się wcześniej, zanim tu przyjechały.

- Według Liz nikt nie wiedział, gdzie Rachael zamierza się ukrywać - zauważyłem.

- Ktoś jednak wiedział - stwierdziła Kylie. - Byli już w domu i czekali na nią.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

- Jaki ojciec, taki syn - stwierdził Jojo, kartkując oprawiony w skórę notes, w którym Enzo prowadził rachunki. - Jeszcze chodził do szkoły, a już całkiem nieźle rozkręcił interes i czyścił kolegów. Używał nawet naszego rodzinnego kodu numerycznego.

Papa Joe Salvi siedział przy biurku na krześle, które odziedziczył po swoim ojcu, a ten po swoim. Uśmiechnął się i odchylił do tyłu, przesuwając kciukiem po mosiężnych ćwiekach, którymi wyściółka z zielonej skóry przybita była do ozdobnych mahoniowych poręczy.

- Nauczyłem go tego kodu, kiedy miał dwanaście lat.

- Nigdy ci o tym nie mówił? - zdziwił się Jojo.

- O czym?

- O kodzie. To mnie uczyłeś kodu, kiedy miałem dwanaście lat, ale ja niezbyt dobrze sobie z nim radziłem i nie chciałem ci o tym mówić, więc pokazałem ten kod jemu. Rozgryzł go w dwie minuty i wytłumaczył mi, jak to działa. Był jeszcze mały, miał dopiero dziewięć lat, ale Enzo zawsze był bystry.

- Tak, był bystry - potwierdził Joseph, po czym wyjął notes z rąk syna i pogładził miękką czerwoną skórę. Enzo, jego najmłodszy syn, nazwany po świętej pamięci ojcu. To Enzo miał przejąć rodzinny interes. To Enzo miał głowę do interesów. Był przebiegły jak lis, gdy jego starszy brat przypominał raczej byka.

- Ta pani Frye, która zwróciła notes - odezwał się Jojo. - To biała kobieta?

- Jest z parafii Świętej Agnieszki - odrzekł Salvi. - Więc jaka ma być?

- Tak tylko mówię. Zawsze myślałem, że Enza zabili czarni

z Ozone Park. Naraził im się, kiedy stłukł jednego z ich bandy.

Salvi potrząsnął głową.

- Sądysz, że pani Frye dostała notes Enza od jakiegoś czarnego dzieciaka z Ozone Park? Nie. Znalazła go u siebie w domu i założyła się, że to jej syn schował go tam tamtej nocy, kiedy Enzo zginął.

- To znaczy, że ten młody Frye zabił Enza?

- Albo sam go zabił, albo wie, kto to zrobił.

- To może pójde tam i z nim porozmawiam? - zaproponował Jojo.

- Najpierw musiałbym wiedzieć, kim jest syn pani Frye i gdzie go szukać.

- Żaden problem. Mogę tam pójść z Tommym i pogadać chwilę z panią Frye.

Salvi potarł podbródek i westchnął ciężko.

- Jojo, czy naprawdę uważasz, że powinienem tam wysłać dwóch głupich mięśniaków, żeby śmiertelnie wystraszyli jakąś staruszkę?

- Nie wiem, papo. Nie pomyślałem o tym. Chciałem tylko pomóc.

- Ty i Tommy Boy będziecie mieli jeszcze mnóstwo okazji do pomocy. - Salvi poklepał Joja po kolanie, jakby klepał psa po łbie.

- Ale na razie nie myśl za dużo. Ja sam wiem, co mam zrobić.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

- Ja prowadzę - powiedziała Kylie, kiedy wróciliśmy do samochodu.

- Skoro tak ładnie prosisz, to jasne. - Rzuciłem jej kluczyki. - Tylko postaraj się nie zapomnieć, że to jest ford, a nie Batmobil.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie chcę znowu czuć się jak samobójca, jak czułem się w poniedziałek, kiedy jechałaś przez Park Avenue.

- Będę jechać jak staruszka - obiecała. - Tak jak ty.

Zawróciła, dojechała do szczytu Harold Avenue i skręciła w lewo na Broad.

- Zapewne masz rację - odezwałem się po chwili. - Ci dwaj, którzy zabrali Rachael, czekali na nią w domu. To spokojne miasteczko. Liz mówiła, że przez cały czas patrzyła w lusterko wsteczne. Po prostu niemożliwe, żeby o trzeciej nad ranem ktoś jechał za nią niezauważony.

- Tylko skąd wiedzieli, gdzie Rachael się wybiera?

- To dość łatwe dla prawdziwych policjantów. Następny punkt, który za tym przemawia.

- Ty i ja jesteśmy prawdziwymi policjantami, ale nie wiedzieliśmy.

- Ale mogliśmy się dowiedzieć bez większego trudu. Wystarczyłoby zadzwonić do kogoś znajomego w wydziale kuratorskim albo do biura prokuratora. Przeciek musiał wyjść stamtąd.

- Jak sądzisz, ilu ludzi w tych obu wydziałach znało jej miejsce pobytu?

- Tylu, że nie miałbym ochoty śledzić ich wszystkich, ale w tej

chwili to jedyny trop, jaki mamy.

Moja komórka zadzwoniła. To była Cates.

- Gdzie jesteście?

Powiedziałem jej.

- Potrzebuję was tu natychmiast.

- Możemy być w biurze za...

- Nie jestem w biurze.

Powiedziała mi, gdzie mamy ją znaleźć.

- Co się tam dzieje?

- Po prostu przyjeżdżajcie. - Rozłączyła się.

- O co chodzi? - zapytała Kylie. - Nawet jej nie opowiedziałeś, co wymyśliliśmy.

- Nie pytała. Wygląda na to, że ma na głowie coś ważniejszego.

- Na przykład co?

- Nie powiedziała. Chce tylko, żebyśmy przyjechali do niej do Queensu.

- A co jest w Queensie? - zdziwiła się Kylie.

- Silvercup Studios.

- Czy ty robisz sobie jaja, Zach? Bo jeśli tak, to...

- Żadnych jaj, przysięgam. Cates tak powiedziała. Mamy przyjechać do Silvercup Studios.

- Chodzi o Spence'a? Nic mu się nie stało?

- Nie wspominała o nim. W ogóle nic nie powiedziała.

- Niech to jasny szlag! - Kylie uderzyła dłonią w kierownicę. - Oczywiście, że chodzi o Spence'a. Inaczej po co mielibyśmy jechać do Silvercup?

Włączyła światła i przycisnęła gaz do dechy. Batmobil wyprysnął do przodu.

Zapiąłem pas. Staruszka za kierownicą zniknęła zastąpiona przez wariatkę.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

Przemknęliśmy po dolnej części mostu George'a Washingtona, znaleźliśmy się na Manhattanie i wjechaliśmy na Harlem River Drive.

- Cates jest na mnie wkurzona za te niewinne rozmówki z Damonem Parkerem - powiedziała Kylie, wjeżdżając na FDR.

Wskazówka na szybkościomierzu forda pomknęła do stu dwudziestu kilometrów.

- Nie przebierając w słowach, oskarżyłaś brata ofiary o to, że wykorzystuje jej śmierć dla osobistych korzyści. Nie jestem pewien, czy departament uzna to za niewinne rozmówki.

- A skoro Cates zmieszała mnie za to z błotem, to jak myślisz, co robi teraz, gdy już się dowiedziała, że mój mąż ma problem z narkotykami i w ciągu ostatnich trzech dni dwa razy wylądował na pogotowiu?

- A kto wie, co wie Cates? Nie wspomniała ani słowem o twoim mężu.

- Nie musiała. Kazała nam wszystko rzucić i przyjechać do jego miejsca pracy.

Zjechała z FDR w Pięćdziesiątą Trzecią Ulicę, skręciła w prawo w Pierwszą Aleję i znów wjechała na most prowadzący na Queens. Czternaście minut po telefonie Cates wsunęliśmy się na parking przy Silvercup.

Przy głównym wejściu czekał na nas wózek golfowy. Za kierownicą siedział Bob Reitzfeld, były sierżant NYPD, który odszedł z departamentu po trzydziestu latach służby, a potem uniknął, jak to nazywał, śmierci emerytalnej, zatrudniając się w Silvercup na stanowisku nocnego stróża. Dwa lata później

dowodził tu całą ochroną.

- Jak się czuje Spence? - zapytała Kylie, gdy wsiadaliśmy na tylne siedzenie wózka.

- Na krótką metę wszystko z nim będzie w porządku - odrzekł Reitzfeld, jadąc wąskim korytarzem między studiami. - Pozszywają go na pogotowiu. Ale na dłuższą metę twój facet ma problem i Shelley nie może go już dłużej kryć.

- Od jak dawna Shelley wiedział, że Spence ćpa?

- Przynajmniej od miesiąca. Wtedy powiedział mi o tym po raz pierwszy, ale teraz wiedzą już wszyscy, aktorzy i obsługa. Jeśli szybko tego nie odstawi, to może się pożegnać z karierą.

- On może się pożegnać z karierą? A co z moją karierą? - oburzyła się Kylie. - W tej chwili prowadzę dochodzenie w sprawie głośnego morderstwa, ale możliwe, że jutro rano Cates każe mi ścigać szóstoklasistów za to, że podpisali się sprayem na murze za szkołą!

Reitzfeld zatrzymał wózek, obrócił się i popatrzył na nią.

- Czy ja cię dobrze rozumiem? Myślisz, że Cates jest tutaj, bo Spence się naćpał i przewrócił parę reflektorów?

- A jaki moja szefowa miałaby inny powód, żeby się pojawiać w studiu w godzinę po tym, jak mój mąż narozrabiał?

- Kylie, wiem, że sprawiam wrażenie faceta w niebieskim mundurku, który jeździ wózkiem golfowym, ale przez kilka kadencji byłem szefem komisariatu i mogę ci dać słowo, że kapitan Cates nie przywlekła się do Queensu po to, żeby kazać ci zapłacić za grzechy Spence'a, bo gdyby tak było, to nie przywiozłaby ze sobą burmistrza.

- Burmistrz też tu jest? - zdziwiła się Kylie, tak samo zresztą jak i ja.

- A także Irwin Diamond i Shelley. Wszyscy czekają na was

w Studio 5. I to nie jest moja sprawa, ale zestresowana policjantka nie jest im do niczego potrzebna, więc proponuję, żebyś wzięła się w garść i popracowała nad wyrazem twarzy, zanim tam wejdiesz.

Znów obrócił się plecami do nas i resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.

- Dzięki, sierżancie - powiedziała Kylie, gdy wysiedliśmy przed drzwiami studia. - Dam sobie radę.

- Nie mów tego mnie, tylko temu facetowi, który ma z tobą wejść do studia.

Odjechał, a my zostaliśmy.

- No, dalej - powiedziałem. - Popatrz mi prosto w oczy i powiedz, że wszystko z tobą w porządku.

- Jasne, że nie. Jak usłyszałam, że mamy tutaj przyjechać, żeby się spotkać z Cates, myślałam tylko o tym, że Spence zniszczy moją karierę.

- Jest tylko jedna osoba, która może zniszczyć twoją karierę, i nie jest to Spence - stwierdziłem. - Jeśli będę mógł cokolwiek zrobić, żeby cię powstrzymać przed autodestrukcją, to daj mi znać.

- Jest coś takiego. - Wbiła ręce w kieszenie i rzuciła mi kluczyki do samochodu. - Po pierwsze, nie pozwól mi prowadzić, kiedy jestem taka wściekła.

- Dobry pomysł. - Wziąłem kluczyki. - Coś jeszcze?

- Tak. Wiem, że przez ostatnie dwa tygodnie nie byłam najlepszą partnerką. Zrób coś dla mnie. Cofnij zegar i daj mi jeszcze jedną szansę, żebym mogła naprawić nasze stosunki.

- Masz to jak w banku, Kylie.

Nie powiedziałem jednak tego, że nie byłem pewny, czy chciałbym cofnąć zegar o dwa tygodnie, czy o jedenaście lat.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Studio 5 jest jednym z mniejszych mieszczących się pod dachem Silvercup, ale i tak ma co najmniej trzydzieści metrów długości i dwadzieścia pięć szerokości. Cates, burmistrz, jego *consigliere* Irwin Diamond oraz szef Spence'a, Shelley Trager, czekali na nas w dalszym końcu sali, w kącie urządzonym na potrzeby jakiegoś telewizyjnego programu, którego nie rozpoznawałem. Cates wyszła nam na spotkanie.

- Burmistrz Spellman szaleje jak pijany zając - powiedziała.

- A to nie jest przypadkiem hasło z kampanii Muriel Sykes? - zapytałem.

Niestosowny humor w chwilach stresu jest stałym spoiwem łączącym wszystkich policjantów, toteż mimo powagi sytuacji i różnicy pozycji zawodowej, Cates wybuchnęła głośnym śmiechem. Szybko zakryła usta i udawała, że złapała ją kaszel.

- Co tu się dzieje? - zapytałem.

- Muriel Sykes zapowiedziała konferencję prasową, dlatego Irwin przyciągnął tu burmistrza. Chcą to obejrzeć, nagrać jakąś ripostę i wyemitować, zanim kampania ostatecznie wymknie się im spod kontroli.

- To wyjaśnia, dlaczego oni tu są - powiedziałem. - Ale co my tu robimy?

- Bo prowadzicie dochodzenie w sprawie seryjnego mordercy. Sykes wykorzystuje tę sprawę przeciwko burmistrzowi, a on ma nadzieję, że powiecie mu coś, co będzie mógł powtórzyć.

- Chce pani, żebyśmy mu podpowiedzieli jakieś niezłe zdanko do powtórzenia przed kamerami? Na przykład może takie: „Wycofuję się z kandydowania i życzę Muriel Sykes powodzenia

w zarządzaniu miastem, którym ja nie potrafiłem zarządzać”? – Tym razem nie roześmiała się, natomiast ja mówiłem dalej: – Pani kapitan, słyszała pani, co powiedział Irwin w poniedziałek. Burmistrz wpadł w dołek, który sam wykopał. NYPD chciała prowadzić dochodzenie w sprawie zamordowania Cynthii Pritchard przez Evelyn Parker-Steele, ale Leonard Parker wywarł presję na ratusz. Burmistrz się ugiął, Evelyn nie spadł włos z głowy, a uliczny mściciel i seryjny morderca, który chodzi wolno po tym mieście, uczynił z niej swoją czwartą ofiarę.

– Detektywi – głośno powiedział Irwin Diamond. – Cieszę się, że mogliście tu przyjechać. Kapitan Cates mówiła, że byliście w New Jersey i rozmawialiście z siostrą Rachael O’Keefe.

– Czy to ma jakiś związek? – przerwał mu burmistrz. – Czy jej porwanie ma jakiś związek ze sprawą Czyściciela?

– Sir, nie mamy żadnych dowodów, że uprowadzenie Rachael jest powiązane z pozostałymi sprawami – powiedziałem. – Ale wszystko wskazuje na to, że Rachael może być ofiarą numer pięć.

– Dlaczego ona ma być numerem pięć u nas, a nie ofiarą numer jeden w New Jersey?

– Została uprowadzona z Jersey, ale informacje o miejscu jej pobytu mogły pochodzić z Nowego Jorku.

– I nie tak ogólnie z Nowego Jorku – dodała Kylie. – Być może ta informacja wyciekła od urzędnika miejskiego związanego z tą sprawą. Detektyw Jordan i ja jechaliśmy właśnie na Manhattan, żeby porozmawiać z szefem wydziału penitencjarno-kuratorskiego i z biurem prokuratora, by sporządzić listę wszystkich, którzy wiedzieli, dokąd Rachael zamierza pojechać. Im szybciej zdobędziemy te nazwiska, tym lepiej.

Burmistrz z pewnością widział w niej w tej chwili tylko oddaną swojej pracy policjantkę, której jedynym celem jest dotrzeć na

Manhattan i wysledzić złoczyncę, ale ja widziałem w niej panią Harrington, która zrobi wszystko, by jak najszybciej wydostać się z Silvercup. Ale to nie miało znaczenia, bo tak czy inaczej miała rację.

- Czy podano już do publicznej wiadomości, że O'Keefe została uprowadzona? - zapytał Diamond.

Cates podniosła rękę, sygnalizując nam, że sama odpowie na to pytanie.

- Irwin, znacznie przekroczyliśmy granice naszej jurysdykcji. Naginamy zasady, bo wydaje się, że to porwanie ma związek ze sprawą Czyściciela. Nasi ludzie byli tam po cichu, ale lada chwila dorwą się do tej sprawy federalni i policja z Jersey. Więc jeśli ci się wydaje, że Rachael O'Keefe zdominowała media w czasie procesu, to poczekaj tylko, aż rozniesie się wiadomość o uprowadzeniu. Wszystkie programy nadające bieżące serwisy informacyjne będą o tym gadać na okrągło.

- Rozumiem - powiedział Diamond. - Ale na razie oficjalnie nic jeszcze nie wiadomo?

- Masz rację, na razie - zgodziła się Cates.

- To dobrze, bo konferencja prasowa Muriel Sykes zaczyna się za dwie minuty. Przynajmniej tego nie będzie mogła wyciągnąć.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

- Wchodzi na wizję! - zawołał Shelley Trager.

Oderwał się od grupy i zatrzymał przed dużym monitorem zawieszonym na metalowym stojaku, a pozostali zgromadzili się wokół niego. Obraz zmienił się i w miejsce dwóch dziennikarzy prowadzących wiadomości w stacji NY1 pojawił się obraz z Muriel Sykes stojącej na podium. Za plecami miała ściankę z logo swojej kampanii, a po lewej stronie strategicznie ustawione dwie flagi, biało-czerwono-niebieską flagę Stanów Zjednoczonych oraz pomarańczowo-biało-niebieską miasta Nowy Jork. Wyglądała jak ucieleśnienie pewności siebie - wyprostowana, dobrze ubrana, na pozór swobodna, choć przed sobą miała trudną drogę. Halo, agencja aktorska? Proszę mi przysłać silną kobietę, która wygląda tak, że mogłaby zostać burmistrzem.

Zerknąłem na Spellmana. Przygarbiony i znużony, przypominał raczej faceta, którego agencja mogłaby przysłać do roli kierowcy autobusu po ciężkim dniu pracy.

- Witam państwa - powiedziała Sykes prosto do kamery. - Przez ostatnie dziewięć miesięcy wszyscy państwo widzieli moją energiczną kampanię wyborczą na stanowisko burmistrza miasta. Ale ta konferencja nie będzie poświęcona polityce, tylko smutnej tragedii osobistej. Poprosiłam mojego drogiego przyjaciela Damona Parkera o wygłoszenie kilku słów. Damon nie przyszedł tu jako dziennikarz o międzynarodowej sławie, ale jako pogrążony w żalu brat brutalnie torturowanej i zamordowanej Evelyn Parker-Steele, która prowadziła moją kampanię wyborczą.

Odsunęła się na bok i Parker wszedł na podium.

- Co za kupa szajsu - mruknął Diamond. - Evelyn nie cierpiała

tego fałszywego, nadętego dupka.

- Morderstwo mojej siostry Evelyn było druzgocącym ciosem dla całej naszej rodziny - powiedział Parker uroczystym tonem, bez śladu krzyków i hysterii, czyli tych tonów, które dominowały w jego programie *Ludzie chcą wiedzieć*. Dopasował się do stylu narzuconego przez Sykes i włożył swoją najlepszą maskę dziennikarza cieszącego się międzynarodową renomą. - Ale jeszcze bardziej druzgocąca niż jej śmierć była ta w oczywisty sposób wymuszona spowiedź do kamery. To tylko podłe kłamstwo, które ma splamić nazwisko naszej rodziny i podkopać postępowe reformy, które zapowiada kampania wyborcza prokurator federalnej Muriel Sykes. Ten osobisty i polityczny atak rani moje serce jako brata Evelyn i gniewa mojego ducha jako obywatela najwspanialszego miasta na świecie.

- Jak to dobrze, że Muriel powiedziała wyraźnie, że nie chodzi tu o politykę - stwierdził Irwin.

Parker tymczasem mówił dalej:

- Tragiczna śmierć Cynthii Pritchard ciążyła na sercu mojej siostry każdego dnia jej życia. Nie da się znieść myśli, że sadystyczny oprawca... - urwał, całkiem przekonująco udając, że te słowa go dławią - że sadystyczny oprawca zmusił moją siostrę do wypowiedzenia podyktowanych jej kłamstw. Nasza rodzina otrzymała tysiące mejli, listów i telefonów od ludzi, którzy są pewni, że ta spowiedź była wymuszona. A niczyje słowa nie były bardziej serdeczne i nie dały nam więcej pociechy niż słowa kobiety, której moja siostra oddała całą swoją energię. Muriel Sykes.

Przyłożył dłoń do piersi i skłonił się przed Sykes z uszanowaniem. Wymienili krótki uścisk i Muriel Sykes znów zajęła miejsce na podium.

- I kto tu mówi o kłamstwach pod dyktando - stwierdził Irwin. -
Co za spektakl!

Sykes spojrzała w kamerę i jej oczy wypełniły się współczuciem.

- Chciałabym złożyć moje najszczerze kondolencje rodzinom Parkerów i Steele'ów. Bezsensowne morderstwo Evelyn Parker-Steele nigdy nie powinno się zdarzyć. Była czwartą ofiarą seryjnego mordercy, który zabija z zimną krwią. Zbrodniarza, którego już wiele miesięcy temu należało oddać w ręce sprawiedliwości. Jako prokurator federalny nigdy nie zgodziłabym się tolerować tego rodzaju ulicznej zemsty, jaką wymierza nieźrównoważony morderca, który wciąż czai się na ulicach tego miasta.

Irwin z długopisem i notatnikiem w ręku robił notatki, żeby napisać ripostę, albo może szkicował mowę pożegnalną burmistrza.

- Nie zamierzam upolityczniać śmierci Evelyn - powiedziała Sykes.

- Prawie jej uwierzyłem! - zawołał Irwin, wciąż notując.

- Ale zamierzam wykorzystać do celów politycznych potrzebę mocnego przywództwa, które zapewni naszej policji i wszystkim organom porządku publicznego wsparcie i niezbędne środki, żeby chronić to miasto i jego mieszkańców przed ludźmi, którzy pragną je skrzywdzić - mówiła Sykes. - Dziękuję. Czy są jakieś pytania?

Reporterzy zaczęli się przekrzykiwać. Irwin wyłączył telewizor.

- Nie mam ochoty patrzeć, jak Muriel Sykes odpowiada na kilka głupich pytań, które Damon Parker przekazał dziennikarzom - powiedział. - Ten facet sunie jak czołg. Właśnie opowiedział się po stronie naszej przeciwniczki, a dalej będzie tylko gorzej. Mam prowizoryczny skrypt reklamy, którą burmistrz może nagrać

natychmiast, ale to jest chwywanie się brzytwy. Gdy ludzie się dowiedzą, że Rachael O'Keefe została uprowadzona, natychmiast zapomną, że zamordowała własne dziecko, a Damon Parker zrobi z niej męczennicę, którą niesłusznie uwięziono, a potem, już całkiem słusznie, uniewinniono. Prosiła NYPD o ochronę, ale niewrażliwy, bezduszny burmistrz rzucił ją na pożarcie wilkom. Nie ma w tym nic osobistego, Stan. Po prostu uprzedzam, w jaki sposób się do ciebie dobiorą.

- Nie, nie, Irwin - powiedział Spellman. - Mnie już przekonałeś. Będę głosował na Muriel.

Diamond rzucił swemu najlepszemu kumpłowi krzywy uśmiech.

- Jeszcze żyjemy, Stan.

Burmistrz jednak nie wydawał się przekonany.

- Co proponujesz?

- Musimy znaleźć Rachael O'Keefe, póki jeszcze żyje. I musimy złapać Czyściciela, czy też ilu ich tam jest. - Powiedział „my”, ale patrzył przy tym wprost na Kylie i na mnie. - Czy jesteście w stanie to zrobić, detektywi? - zapytał lekkim tonem, jak facet, który pyta kumpli, czy mogliby mu pomóc pomalować garaż. - Tak czy nie?

- Sir - powiedziałem. - NYPD robi wszystko, co w naszej...

- Nie obchodzi mnie, czy jesteście w stanie to zrobić! - wybuchnął burmistrz. - Obchodzi mnie tylko jedno, żebyście to zrobili jeszcze za mojej kadencji. Muszę odtańczyć taniec zwycięstwa i lepiej, żeby to się zdarzyło przed dniem wyborów, bo głównie mnie obchodzi, co będzie potem!

Wypadł ze studia jak burza, a Irwin Diamond natychmiast pobiegł za nim. Cates popatrzyła na nas i wzruszyła ramionami.

- Mówiłam, że zupełnie zwariował. Informujcie mnie na bieżąco. - Wyszła za nimi.

Shelley Trager dotychczas nie odezwał się do nas ani słowem. Teraz podszedł do Kylie i położył jej rękę na ramieniu.

- Wracam do swojego gabinetu - powiedział łagodnie. - Przyjdź tam za pięć minut. Musimy porozmawiać.

On też wyszedł ze studia. Zostaliśmy sami z Kylie.

- Zaczekam na ciebie w samochodzie - powiedziałem. - Idź, porozmawiaj z Shelleyem.

- Nie. - Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem jej tak ogłuszonej. - Chodź ze mną, proszę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

- W każdym razie ten stóg staje się coraz mniejszy - powiedziała Kylie w drodze do gabinetu Shelleya. Mijaliśmy właśnie warsztat stolarski.

- Chyba nie jestem na bieżąco z tym policyjnym żargonem - odrzekłem. - Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że szukaliśmy igły w olbrzymim stogu siana. Jeszcze w poniedziałek mieliśmy jakieś osiem milionów podejrzanych. Ale ostatni ślad ogranicza ich do garstki ludzi, którzy mogli się dowiedzieć, dokąd pojechała Rachael. To już o wiele mniejszy stóg.

- No i szukamy dwóch igieł - zauważyłem.

Weszliśmy do Studia 1 i pojechaliśmy windą na czwarte piętro do biur produkcji. Kylie poprowadziła mnie korytarzem do narożnego gabinetu Shelleya Tragera.

- Jesteśmy - powiedziała.

Shelley podniósł głowę znad biurka.

- My? Ach, Zach.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytała Kylie. - Zach wie o wszystkim. Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, możesz mówić przy nim.

- Nie mam nic przeciwko temu. Wejdźcie.

Gabinet był duży i jasny, z ośmioma oknami. Pięć z nich wychodziło na Dwudziestą Pierwszą Ulicę, a trzy na Queens Plaza. Tuż za oknem widziałem wielki, zbudowany ze stali i kamienia Ed Koch Queensboro Bridge, wspaniałą stuletnią konstrukcją, która przecinała East River, przechodziła nad Roosevelt Island i w końcu znikwała w panoramie wieżowców

środkowego Manhattanu.

- Miałem zamiar zadzwonić do ciebie i przekazać ci nowiny - powiedział Shelley. - Ale gdy usłyszałem, że masz tu przyjechać, uznałem, że łatwiej będzie porozmawiać osobiście. Siadajcie.

Usiedliśmy na dwóch skórzanych krzesłach przed biurkiem Shelleya.

- Jak się czuje Spence? - zapytała Kylie.

- Czuje się dobrze, ale nie przyjmuje do wiadomości, że ma problem. Jest mi bardzo bliski, ale prowadzę interes i nie mogę przyjąć go z powrotem do studia, dopóki się nie ogarnie. To wielkie obciążenie. A tak prywatnie, to nie mogę patrzeć, jak sobie to robi, więc jestem szczęśliwszy, kiedy go tu nie ma.

- Rozumiem - powiedziała Kylie. - Żałuję, że ja nie mogę zrobić tego samego. Też wolałabym na to nie patrzeć.

- Nie musisz - odrzekł Shelley. - Mamy ładne małe mieszkanie na East End Avenue. Możesz się tam na jakiś czas przenieść.

- Ładne małe mieszkanie. - Kylie spojrzała na mnie. - Zach, powinieneś to zobaczyć. Dziesiąte piętro, widok na rzekę i trzy sypialnie.

- Dwie i sala konferencyjna - skorygował Shelley, jakby to, że nazwie jedną z sypialń inaczej, miało sprawić, że mieszkanie będzie się wydawało mniejsze. - To własność firmy. Korzystamy z niego, kiedy gwiazdy przylatują do nas na zdjęcia. Tam jest przyjemniej niż w hotelu.

- Zach, ja tam byłem. Wierz mi, jest znacznie ładniejsze niż większość apartamentów w Nowym Jorku.

Shelley wzruszył ramionami.

- A zatem jest ładne i duże. Gdybym miał coś mniejszego i nie tak ładnego, to z przyjemnością bym ci zaproponował, ale mam tylko to.

To była klasyczna szkoła nowojorskiego wdzięku. Kylie uśmiechnęła się.

- Sama nie wiem, Shelley.

- Posłuchaj, akurat nie gościmy żadnego celebryty, więc to mieszkanie stoi puste. Płacimy za nie, i to sporo, czy jest używane, czy nie, więc jeśli wprowadzisz się tam na kilka tygodni, wyświadczysz mi przysługę. Co ty na to? - Shelley wyrzucił dłonie w powietrze i spojrzał na mnie. - Zach, pomóż. Wyjaśnij swojej twardogłowej partnerce, że jej i jej mężowi przydałoby się trochę świeżego powietrza. Powiedz jej to.

Obróciłem się w stronę mojej twardogłowej partnerki.

- Kylie, wyjaśnij, proszę, swojemu wielkodusznemu przyjacielowi, że przyszedłem tu tylko po to, żeby cię wspierać moralnie i że byłabyś mu bardzo wdzięczna, gdyby nie próbował wrabiać mnie w rolę doradcy małżeńskiego.

- Shelley, Zach ma rację. Tę decyzję muszę podjąć sama ze Spence'em.

- Skarbie, Spence w obecnym stanie nie nadaje się do podejmowania żadnych decyzji - skontrował Shelley. - I ty też się nie będziesz nadawać, jeśli nie prześpisz spokojnie paru nocy. Będzie wam znacznie łatwiej dojść z tym wszystkim do ładu, jeśli każde z was zyska trochę czasu, żeby ochłonąć. Zrób mi tę przysługę. Przenieś się tam przynajmniej na kilka dni.

Kylie znów popatrzyła na mnie. Potrząsnąłem głową.

- Przepraszam, ale to twoja decyzja.

- Dobrze... - Westchnęła. - Spróbuję. Jedna noc i zobaczymy, co dalej.

Shelley obszedł biurko dokoła i uścisnął ją.

- Portier zna już twoje nazwisko. Da ci klucze. A ja powiem konsjerżce, żeby zaopatrzyła lodówkę.

- Dziękuję. Nie mam pojęcia, jak mogę ci się odwdzięczyć, ale mam u ciebie dług.

- Chcesz mi się odwdzięczyć? To znajdź tego obłąkanego Czyściciela. Wtedy i ja, i całe to popieprzone miasto będziemy coś winni tobie.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

- *Tieni i tuoi amici vicino, ma i tuoi nemici più vicino* - przypomniał Joe Teresie, wysyłając ją do Emmy Frye z podziękowaniami za uprzejmy gest. Trzymaj przyjaciół blisko siebie, ale wrogów jeszcze bliżej. To Teresa potrafiła zrozumieć, ale podziękowania? Miała ochotę złapać tę Frye za gardło i wykrzyknąć: „Skąd wzięłaś notes mojego nieżyjącego syna?!”.

Joe poinstruował ją, jak ma to rozegrać.

- Po prostu bądź dla niej miła. Pamiętaj, że więcej much łapie się na miód.

Kochała męża, ale za każdym razem, kiedy opowiadał jej o muchach i miodzie, miała ochotę zapytać: „Czy tak właśnie zdobywasz sobie ludzi, Joe? Miodem?”.

Nie zadzwoniła wcześniej, tylko po prostu podjechała pod dom Frye'ów. Ta kobieta omal nie zsikała się w majtki z wrażenia, kiedy otworzyła drzwi.

- Pani Salvi - powiedziała natychmiast, choć nigdy nie były sobie przedstawione.

Oczywiście, że mnie zna, pomyślała Teresa. Rodzina Salvich to arystokracja Howard Beach.

- Chciałam pani podziękować jak matka matce - powiedziała załamującym się głosem.

Emma Frye oczywiście zaprosiła ją do środka na kawę i zaczęła wylewnie przeproszać za bałagan. Teresa z kolei przeprosiła, że pojawiła się bez uprzedzenia. Zachowywały się jak siostry, które spotkały się po długim niewidzeniu. Po dziesięciu minutach Teresa dotarła do sedna.

- A zatem gdzie znalazła pani notes mojego Enza? - zapytała

mimochodem.

- W pokoju syna - wyjaśniła Emma. - Robimy z mężem remont. Zbierałam wszystkie stare rzeczy Gideona i znalazłam ten notes.

- Gideon - powtórzyła Teresa. - Pamiętam chłopca o tym imieniu, ale nie nazywał się Frye.

- Mój pierwszy mąż, ojciec Gideona, zmarł przed dwoma laty. Prowadziliśmy kwiaciarnię przy Cross Bay Boulevard.

- Cross Bay Flowers? Często zamawiałam u was kwiaty.

Emma rozpromieniła się.

- Wiem. To ja przyjmuję zamówienia przez telefon.

- Jaki ten świat jest mały - zauważyła Teresa. - Teraz już wiem, kim jest pani syn. Zmyliło mnie nazwisko Frye.

- Wyszłam powtórnie za mąż.

- Jakie to wspaniałe, że udało się pani znaleźć szczęście tak szybko po stracie. Nie miałam pojęcia, że nasi synowie przyjaźnili się w czasach szkolnych.

- Ja też nie. Ale wie pani, jak to jest z nastoletnimi chłopcami. Nic nie mówią matkom.

Może irlandzcy chłopcy, pomyślała Teresa, ale Enzo mówił mi bardzo dużo. Nasi synowie nigdy się nie przyjaźnili. Nigdy.

Spokojnie popijała kawę.

- To wyjaśnia, w jaki sposób notes Enza znalazł się w pokoju pani syna. Chłopcy pewnie spędzali razem sporo czasu.

Emma wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak.

- A jak się teraz miewa Gideon?

Emma zawahała się.

- Dobrze.

- Brzmi to tak, jakby coś jednak było nie w porządku - zauważyła Teresa.

- Nie, nie. Chciałam tylko powiedzieć, że życzyłabym sobie widywać go częściej. Ale to nietaktowne mówić coś takiego przy kobiecie, która już nigdy nie zobaczy swojego syna. Tak mi przykro, pani Salvi.

- Nie musi pani przepraszać i proszę zwracać się do mnie po imieniu, tak jak wszyscy moi przyjaciele. Ale zaciekawiała mnie pani. Dlaczego tak rzadko widuje pani Gideona? Wyprowadził się gdzieś daleko?

- Och nie. Mieszka na Manhattanie. Ale jest tak zajęty ratowaniem innych, że z trudem znajduje czas, żeby odebrać telefon od matki.

- A zatem jest lekarzem - odgadła Teresa.

- Gdyby - westchnęła Emma. - Wtedy nie musiałabym się o niego tak martwić. Gideon jest policjantem w Nowym Jorku. To bardzo niebezpieczna praca, ale on ją kocha.

Ręce Teresy zaczęły drżeć. Odstawiła filiżankę, obawiając się, że za chwilę ją wypuści, i zmusiła się do uśmiechu.

- Zawsze miło jest słyszeć, że chłopak do czegoś w życiu doszedł. Szkoda, że mojemu Enzowi się to nie udało, ale wdzięczna jestem, że zwróciła pani rodzinie tę częśćkę mojego syna. To dla nas wszystkich wielka pociecha.

Z uśmiechem wciąż przyklejonym do twarzy wstała, jeszcze raz podziękowała Emmie i szybko wyszła.

Nie mogła się już doczekać, kiedy powie Joemu, że ten irlandzki sukinsyn, który przez te wszystkie lata miał notes Enza i który prawdopodobnie go zabił, jest pieprzonym gliniarzem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

- Mama już idzie, Kimi - szeptała. - Przykro mi za to, co się stało. Mama już idzie do ciebie i wszystko będzie dobrze. Mama bardzo cię kocha.

Rachael O'Keefe wiedziała, że umrze. Wiedziała to od chwili, gdy rozebrali ją i włożyli w biały kombinezon ochronny. Potem ją zakneblowali, przykuli do rury i zostawili bez jedzenia, picia i bez nadziei.

Mówiła do Kimi, bo tak było jej łatwiej. Te trzy słowa - mama już idzie - stały się jej mantrą. Zapętlily się w jej umyśle i powtarzała je szeptem i w myślach w nadziei, że pozwolą jej zapaść w sen, ale oślepiające światło, przenikliwy wilgotny chłód i zapach pleśni utrudniały zaśnięcie, a strach zupełnie je uniemożliwiał.

- Mama jest w lochu, Kimi, ale nie płacz, niedługo mama...

Światła zgasły ze szczęknięciem, które odbiło się echem od zardzewiałych metalowych drzwi. Rachael gwałtownie wciągnęła powietrze. Czy wrócili? Może światła były podłączone do wyłącznika czasowego? Co teraz?

Szum. Odgłos silnika. A potem to poczuła - powietrze, ciepłe powietrze dochodzące skądś z góry.

- Dziękuję ci, Kimi, dziękuję ci, Kimi...

Głowa jej opadła i ciało zaczęło się osuwać w błogosławione ciepło i ciemność.

Gdy przekraczała granicę snu, rozległo się szczekanie. Zbudziła się z drgnięciem. Do pierwszego psa dołączył drugi. Usłyszała niski, złowieszczy warkot i wykrzyknęła ze strachu, ale przez knebel wydobył się tylko stłumiony jęk.

Szczekanie rozlegało się coraz głośniejsze i bliżej. Rachael próbowała się uwolnić. Więzy na przegubach, kostkach i szyi wbiły się w ciało, przecinając je, gdy pomieszczenie eksplodowało ujadaniem hordy szczerzących zęby, rozzłoszczonych psów. Przez cały czas zanosila się bezgłośnym krzykiem, a potem straciła kontrolę nad pęcherzem, tak jak wtedy, gdy miała dziewięć lat i zaatakował ją pitbull sąsiada.

- Mama już idzie, Kimi. Mama już idzie, Kimi. Mama już idzie, Kimi. Mama już idzie, Kimi.

A potem rozległ się głos:

- Czy jesteś gotowa, żeby nam powiedzieć prawdę?

Światło znów się zapaliło i szczekanie urwało się raptownie. Rachael rozejrzała się dokoła. Nie było żadnych psów, tylko dwaj mężczyźni w czerni.

Ten wyższy, przywódca, zerwał taśmę z jej ust i wyjął knebel.

- Czy jesteś gotowa powiedzieć nam prawdę? - zapytał jeszcze raz.

Nadgarstki i kostki krwawiły, szyję miała otartą od łańcucha.

- Powiedziałam wam prawdę - jęknęła.

- Nie. - Otworzył butelkę wody mineralnej, przechylił ją do ust i jednym haustem wypił połowę.

Rachael wpatrzyła się w wodę.

- Wyglądasz, jakby chciało ci się pić. Dam ci resztę, tylko powiedz, kto zabił Kimi.

- Przysięgam, że nie zabiłam mojej córki. Kochałam ją. Nigdy nie skrzywdziłabym mojego jedyne dziecko.

- Ano tak, byłaś matką roku. A to jest pierwsza nagroda.

Podniósł butelkę i obrócił ją dnem do góry. Rachael zaszlochała, gdy woda rozprysnęła się po cementowej posadzce.

- Ława przysięgłych uwierzyła, że tego nie zrobiłam. Dlaczego

wy nie możecie uwierzyć?

- Przysięgli są głupi i śpieszy się im do domu, a nam nie.

Ten niższy i sympatyczniejszy wskazał na kamerę wideo ustawioną na statywie.

- Mów do kamery. Powiedz nam, co się naprawdę zdarzyło, a dostaniesz coś gorącego do jedzenia i dużo bardzo zimnej wody. A potem będziesz mogła zasnąć.

- Chcesz powiedzieć, że potem będziecie mogli mnie zabić.

- To prawda - powiedział przywódca. - Śmierć jest nieunikniona, ale cierpienia i bólu możesz uniknąć. Patrz, pokażę ci.

Trzymał w ręku drewniane pudełko. Przypominało Rachael pozytywkę, którą jej matka miała w dzieciństwie. Gdy je otworzył, podświadomie spodziewała się usłyszeć irlandzką kołysankę, ale nie było żadnej muzyki. W pudełku leżało dziwne metalowe urządzenie. Nigdy czegoś podobnego nie widziała, ale wiedziała, że kryje się w tym zło.

- To jest gruszka do tortur. Niektórzy nazywają ją gruszką cierpienia. Ta pochodzi z szesnastego wieku. Kupiłem ją na eBayu za tysiąc dwieście dolców.

Rachael mocno zacisnęła powieki.

- Otwórz oczy - powiedział powoli - bo ja ci je otworzę.

Otworzyła oczy. Pudełko stało na podłodze. Mężczyzna trzymał przedmiot o kształcie gruszki w rękach.

- A teraz otwórz usta.

Potrząsnęła głową.

Skinął na tego sympatyczniejszego, który zacisnął jej nos i zmusił, by otworzyła usta, a wtedy tamten wsunął w nie metalową gruszkę.

- Całe piękno tego urządzenia polega na tym, że trzonek działa

jak korkociąg i kiedy go obróczę...

Szybko obrócił korkociąg dwa razy. Rachael zaczęła się jednocześnie dusić, krztusić i krzyczeć.

- Spokojnie - powiedział. - To tylko demonstracja. Nie będzie bolało. Jeszcze nie teraz.

Obrócił korkociąg w przeciwnym kierunku i wyjął gruszkę z jej ust. Rachael szybko łapała powietrze.

Mężczyzna w czerni uśmiechnął się.

- Obróciłem ją tylko dwa razy, o tak.

Obrócił trzonek dwukrotnie. Gruszka rozdzieliła się na dole i na zewnątrz zaczęły się wysuwać cztery części podobne do łyżek.

- A teraz zobacz, co będzie, kiedy obróczę jeszcze raz. I jeszcze raz, i jeszcze.

Metalowe płatki rozszerzały się coraz bardziej. Rachael nie miała wątpliwości, jakich zniszczeń dokonają w jej ustach.

- Ile to było? Pięć obrotów? Powinnaś zobaczyć, co się dzieje przy dziesięciu albo piętnastu. To piekielne urządzenie, ale wiesz, jacy byli ci średniowieczni sędziowie. Nie mogli się doczekać, żeby tego użyć.

- Nie zabiłam mojej córki - powiedziała Rachael. - Przysięgam.

- Poczekaj chwilę. Jeszcze nie skończyłem.

Przysunął gruszkę do jej twarzy.

- Najbardziej genialne w tym urządzeniu jest to, że można go używać do różnych otworów ciała. Heretykom i bluźniercom wkładano to do kłamliwych ust, męskich homoseksualistów karano analnie, a kobiety, które cudzołożyły z szatanem... cóż, tak jak mówiłem, można tego użyć do każdego otworu w ciele.

Zadzwoniła komórka. Mężczyzna poklepał się po kieszeni.

- Zastanów się nad tym, a ja odbiorę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

- Zaczekaj chwilę - powiedział Gideon do telefonu i przeszedł za przegrodę, którą zbudowali, żeby ukryć sprzęt audio.

Sprawdził wszystko gruntownie i wiedział, że Rachael będzie przerażona, gdy usłyszy psy. Fragment nagrania z kolekcji efektów dźwiękowych wystarczył, żeby doprowadzić ją niemal do hysterii.

Wyszedł na zewnątrz tylnymi drzwiami i przyłożył telefon do ucha.

- Mamo, co tam? Jestem trochę zajęty.

- Myślałam, że już skończyłeś zmianę, dlatego czekałam do tej pory.

- Skończyłem zmianę. Jestem zajęty życiem. - W drugiej ręce wciąż trzymał gruszkę. Pogładził ją pieszczotliwie.

- Dobrze. Będę się streszczać. Nie uwierzysz, kto nas dzisiaj odwiedził.

- Mamo, czy to nie może poczekać? Jestem naprawdę zajęty.

- Teresa Salvi.

- To świetnie, mamu, muszę... Co? Kto?

- Pani Salvi. Prosiła, żebym zwracała się do niej po imieniu.

- Po co ona, kurwa, przyszła?

- Gideon, język!

- Mamo, mamu, przepraszam, zapomniałem się. Ale powiedz to jeszcze raz. Teresa Salvi przyszła do ciebie do domu? Żona Joego Salviego?

- Widzę, że wreszcie zaczęłaś mnie słuchać. Tak, przyszła. Specjalnie przyjechała, żeby mi podziękować, że zwróciłam notes jej syna.

Za garażem stała plastikowa skrzynka na mleko. Gideon opadł na nią powoli.

- Jaki notes? - zapytał, chociaż oczywiście znał odpowiedź, zanim jeszcze zdążył zadać pytanie.

- Notes jej syna, Enza. Był wciśnięty za szufladę biurka. Znalazłam go, kiedy sprzątałam w twoim pokoju.

- To... to niemożliwe.

- Czy coś się stało? Czy zrobiłam coś złego?

Umysł Gideona wirował. Jego matka nie mogła znaleźć tego notesu, bo notes był u niego. Mógłby przysiąc, że jest u niego.

Tamtej deszczowej nocy w dwa tysiące pierwszym przeczytał go od początku do końca i pamiętał, jak myślał: Gdyby ci ludzie, których nazwiska się tu znajdują, wiedzieli, że to ja usunąłem Enza Salviego z tego mafijnego biznesu, urządziliby mi imprezę nie z tej ziemi.

Ale nie mógł o tym nikomu powiedzieć. Nie mógł się też zdobyć na to, żeby spalić notes. Miał szesnaście lat i notes Enza Salviego, oprawiony w skórę ze złotymi zdobieniami, był jego trofeum. W ciągu następnych lat czasami przychodziło mu do głowy, żeby go zniszczyć, ale nie potrafił się na to zdobyć. To był symbol tego, co udało mu się osiągnąć jeszcze w dzieciństwie; a zatem jak potężny mógł się stać później?

Oczywiście przechowywanie notesu było niebezpieczne, ale Gideon nigdy nie cofał się przed niebezpieczeństwem. Nie powiedział też Dave'owi, że wciąż ma ten notes, bo zesrałby się ze strachu. Ale przez te wszystkie lata był zadowolony, że zatrzymał notes, i nawet przez chwilę tego nie żałował. Jeśli nawet miał kiedyś wyrzuty sumienia z powodu zabicia Enza, to w notesie czarno na białym spisana była szczegółowa lista przestępstw tego sukinsyna.

Przed kilku laty, gdy wyprowadzał się od matki, spakował wszystko, co chciał zatrzymać. Mógłby przysiąc, że zabrał również ten notes. Tamtego wieczoru pił, ale mimo to był pewny, że notes znajduje się na dnie jednego z pudeł ustawionych w szafie w jego nowym mieszkaniu. Musiał tam być. Musiał.

- Gideon, czy ty mnie słuchasz? - zapytała matka. - Zadałam ci pytanie.

- Co takiego, mamó? Nie dosłyszałem.

- Powiedziałam, że mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego. Ten notes był podpisany, więc dałam go ojcu Spinellemu, który przekazał go pani Salvi. Syn tej biednej kobiety został zabity, kiedy miał zaledwie osiemnaście lat.

- Nie, mamó. Nie zrobiłaś nic złego.

- Wiem, że ta rodzina zamieszana jest w różne ciemne sprawy, ale matka nie ma z tym nic wspólnego. Zawsze chodzi do kościoła i wydaje wielkie przyjęcia dla sąsiadów. Pomyślałam, że mogę zrobić dla niej przynajmniej tyle, przekazać jej pamiątkę po nieżyjącym synu. Bóg jeden wie, jakim sposobem ten notes znalazł się w twoich rzeczach.

- Dobrze zrobiłaś, mamó - powiedział Gideon. - Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Muszę już kończyć.

- Wiem, wiem, jesteś taki zajęty, ale może któregoś wieczoru znajdziesz czas na kolację ze mną i z Shermanem?

- Obiecuję - powiedział Gideon. - Kocham cię, mamó.

Wyłączył telefon i zakrył twarz dłonią. Nie musiał sprawdzać zawartości kartonów w szafie. Cóż, po prostu udało mu się spieprzyć sprawę. Zostawił notes Enza w domu matki, a ona oddała go Salvim.

Podniósł się, myśląc: A teraz Salvi będzie próbował dopaść mnie i Dave'a.

Drzwi otworzyły się i Dave wyszedł na zewnątrz.

- Hej, Gid, co się dzieje?

- Nic - odrzekł Gideon. - Zwykły głupi telefon od matki. Wiesz: „Z kim się spotykasz? Nie pracuj za dużo”. Nic ważnego.

- Świetnie ci poszło z tą gruszką. A psy, to dopiero był pomysł. Zaczyna się łamać.

- Też tak myślę. Jest już na krawędzi.

- Dajmy jej jeszcze dwadzieścia cztery godziny - zaproponował Dave. - Wrócimy tu jutro. Powinna już być gotowa, żeby wywalić całą prawdę.

- Dobry pomysł - stwierdził Gideon.

Nie ma sensu już dzisiaj mówić Dave'owi o notesie. Zgłupiałby ze strachu. Najpierw złamiemy Rachael, a potem zajmę się mafią.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Chociaż mieliśmy do dyspozycji najbardziej wyrafinowane techniki śledcze, wraz z Kylie spędziliśmy resztę dnia na przedzieraniu się przez biurokratyczne przeszkody, jakie rzucały nam pod nogi biuro prokuratora okręgowego hrabstwa Nowy Jork oraz Departament Służb Więziennych i Kuratorskich miasta Nowy Jork.

O piątej po południu zameldowaliśmy się u Cates.

- Cztery osoby w Departamencie Służb Więziennych i Kuratorskich wiedziały, gdzie zamierza się udać Rachael O'Keefe po wyjściu z aresztu - powiedziałem. - I co najmniej osiem z biura prokuratora.

- Co najmniej osiem? - powtórzyła Cates. - Nie udało wam się ustalić, ile dokładnie?

- Próbowaliśmy - wyjaśniła Kylie - ale mamy tu do czynienia z departamentem przeciwdziałania sprawiedliwości.

- Przepytałiliśmy już wszystkich z Departamentu Służb Więziennych i Kuratorskich oraz sześcioro ludzi prokuratora - powiedziałem.

- W takim razie zostało wam dwoje.

- Niezupełnie. Pracownicy biura prokuratorskiego poszli tamtego wieczoru na piwo i troje spośród nich przyznało, że powiedziało coś komuś, komu z całą pewnością mogli zaufać. Zatem zostało jeszcze pięć osób, które musimy sprawdzić.

- Jak trudno będzie ich odnaleźć? - zapytała Cates.

- To nie jest trudne. Wysłaliśmy im mejle, SMS-y i wiadomości na skrzynki głosowe. Wszyscy wiedzą, czego od nich chcemy. Problemem jest złapanie ich twarzą w twarz. Z przyjemnością do

nas oddzwonią, ale to są ludzie, którzy żyją z kłamstw. Łatwiej wydostaniemy z nich prawdę, jeśli porozmawiamy z nimi osobiście i pojedynczo.

- Dwoje z nich ma tu przyjść dzisiaj wieczorem. Trzecia osoba właśnie przeszła pilną operację wycięcia wyrostka i będziemy mogli z nią porozmawiać dopiero jutro. Ostatnie dwa nazwiska na liście to Mick Wilson i jedna z jego asystentek. Zna pani Micka. Ma ten brzydki zwyczaj, że albo nie odpowiada na wiadomości, albo w ogóle nic go nie obchodzi.

- To zróbcie tak, żeby go obchodziło. O'Keefe uprowadzono kilkanaście godzin temu. Czyściciel nie będzie jej zbyt długo trzymał żywej. Zadzwońcie, kiedy...

- Pani kapitan. - To była Katina Hronas, cywilna pracownica naszego wydziału, która każdego dnia przyjmowała setki mejli i faksów nadchodzących do Cates. Dobrze znała prywatne i zawodowe priorytety szefowej i przychodziła do niej tylko wtedy, gdy znalazła coś pilnego, toteż Cates przygotowała się na nieuniknione. - To przyszło przed chwilą z biura prokuratora. - Podała jej kartkę papieru.

Cates ogarnęła jej treść jednym rzutem oka.

- O cholera. Już się wydostało.

Kylie i ja popatrzyliśmy na siebie. Wiedzieliśmy, co się wydostało.

- Udało nam się zachować tajemnicę przez dziewięć godzin - mówiła Cates. - Ale *Times* ogłosił właśnie alert mejlowy. „Rachael O'Keefe uprowadzona kilka godzin po opuszczeniu miejskiego aresztu w Nowym Jorku”.

- *Times* nie drukuje plotek - zauważyła Kylie. - Kto ich poinformował?

- Uprowadzenie O'Keefe zostało potwierdzone przez jej

obrońcę Dennisa Wolocha - przeczytała Cates. - Oczywiście nie piszą, którzy to wyciekło, ale ja bym obstawiała samego Czyściciela. On kocha prasę, a media poświęcają mu mnóstwo uwagi.

- To znaczy, że nasza gorąca linia zostanie zalana setkami fałszywych zgłoszeń - powiedziała Kylie.

- To nie twój problem - odrzekła Cates. - Komisarz Harries da mi tylu ludzi, ilu będzie trzeba, żeby odsiać wszystkich świrów. Wy musicie tylko znaleźć Rachael O'Keefe, unieszkodliwić Czyściciela i przed dniem wyborów uczynić z burmistrza Spellmana bohatera narodowego. Do roboty.

- Najlepsza mowa motywacyjna, jaką słyszałam w życiu - powiedziała Kylie, kiedy wyszliśmy z gabinetu Cates. - Właśnie tego potrzebowałam, żeby wreszcie zacząć się przejmować tą sprawą.

Przed dziewiątą wieczorem pojawiło się jeszcze dwoje zabłąkanych asystentów prokuratora i przysięgło na wszystkie świętości, że z nikim nie rozmawiali o kryjówce Rachael w Jersey. Nie próbowali kręcić, nie wahali się i niczego nie starali się ukrywać. Mówili prawdę.

- Jeszcze troje - powiedziała Kylie. - Wnoszę o odłożenie tego do jutra. Kto za?

Miałem zamiar zagłosować, kiedy na naszym piętrze zatrzymała się winda. Pomieszczenia Red znajdują się na drugim piętrze Dziewiętnastego Komisariatu i nie miewamy tu zbyt wielu gości, szczególnie o takiej porze. Drzwi otworzyły się i z windy wyszło dwóch mężczyzn, których w żadnym razie nie spodziewałem się tu zobaczyć. Byli to, jak ich określił John Dho, defektywi Donovan i Boyle. Podeszli do naszych biurk skrzywieni. Wciąż byli urażeni i wyglądali, jakby ktoś wetknął im szczotkę w tyłek.

- Mieliśmy nadzieję, że jeszcze was tu zastaniemy - powiedział Donovan.

- Tak to już jest przy sprawach seryjnych morderców - odparła Kylie. - Nie da się wyjść z pracy wcześniej. A co wy tu robicie?

- A jak pani myśli? Powiedzcie nam, co wiecie.

- O czym?

Donovan roześmiał się.

- O czym? O tej pieprzonej sprawie. Może to wy tutaj dowodzicie, ale od samego początku to była nasza sprawa i nie mamy zamiaru jej zostawiać.

- Uspokój się - powiedział do partnera Boyle, unosząc rękę, i zwrócił się do Kylie: - Chyba widać, że jeszcze jesteśmy trochę wkurzeni, ale to nie wasza wina. To tylko polityka, więc nie zaczynamy wszystkiego od początku, dobra?

- No to próbujcie - zgodziła się Kylie. - Nie może być już gorzej.

- Słuchajcie - odezwał się Boyle. - W poniedziałek rano obaj z Donovanem byliśmy zaskoczeni. Czyściciel był nasz. Robiliśmy, co się dało, ale trzeba powiedzieć prawdę. Trzy pierwsze ofiary to były kanalie i nikt się nie skarżył, że nie złapaliśmy mordercy. Potem dorwał Parker-Steele i sprawa trafiła na czołówki gazet. A teraz wprowadził Rachael O'Keefe, a z tego już się robi potężna zadyma.

- Nie mamy żadnego dowodu, że Czyściciel jest powiązany ze sprawą O'Keefe.

- *Post* też nie ma dowodu, ale i tak o tym piszą na głównej stronie wydania internetowego. Rzecz w tym, że sprawa Czyściciela jest jeszcze głośniejsza niż przedtem, i nie chcemy, żeby zapamiętano nas jako dwóch przygłupich gliniarzy, którym nie udało się do niczego dojść. W poniedziałek mówiliście, że zostajemy oddani do waszej dyspozycji. Jeśli to nadal aktualne, to

powiedzcie nam, na czym stoimy.

- Niech będzie - zgodziła się Kylie. - Znaleźliśmy świadka, który widział, jak Parker-Steele wsiadała do samochodu.

- Rozpoznali samochód albo kierowcę? - zapytał Donovan.

- Mamy dwóch podejrzanych - wyjawiała Kylie. - Wsiadła z jakimś mężczyzną na tylne siedzenie, ale świadek nie widział kierowcy.

- Dwóch podejrzanych - powtórzył Boyle.

- Jest pani pewna? - zapytał Donovan. - My szukaliśmy jednego.

- Mamy także innego świadka, który widział, jak Alex Kang wsiadał do samochodu z dwoma mężczyznami - dodałem.

To ich zupełnie rozłożyło.

- Jasny gwint - powiedział Donovan. - Macie szczęście. Nam nie udało się znaleźć w całym Chinatown nikogo, kto chciałby gadać.

Co to był za samochód?

- Czarny SUV. Nie znamy modelu ani marki.

- A ci dwaj? Wiecie, jak wyglądali?

- Po prostu dwóch przeciętnych białych facetów, takich jak ty i ja.

- A co z O'Keefe?

- Zabrało ją dwóch ludzi, więc *Post* może mieć rację. Pewnie to oni są Czyścicielem.

- Namierzacie ich już?

- Jeszcze nie, ale jesteśmy coraz bliżej. Właśnie zdobyliśmy kolejne dowody.

- Jakie dowody? - zapytał Donovan.

- Ci dwaj, którzy uprowadzili O'Keefe, zostawili ślad. Zajmujemy się nim, ale to wszystko, co możemy wam w tej chwili powiedzieć.

- No tak... - Boyle skinął głową. - Wiem, że na początku nie

poszło nam najlepiej, ale skoro zaczynacie się do nich zbliżać, to będzie wam potrzebne wsparcie, nie?

- Pewnie tak - powiedziała Kylie.

- Rozumiem. - Boyle wzruszył ramionami. Wiedział, że nie doczeka się żadnej bardziej zobowiązującej deklaracji.

- W każdym razie macie nasze numery komórek. Możecie dzwonić o każdej porze.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Donovan i Boyle wsiedli do windy. Zaczekaliśmy, aż zjadą na parter.

- Nie ufałam im wtedy, kiedy próbowali nas wygryźć - powiedziała Kylie, kiedy usłyszeliśmy szcęk drzwi windy otwierających się na dole. - A teraz, gdy chcą nam pomóc, ufam im jeszcze mniej.

- Myślę, że w gruncie rzeczy tylko Boyle chce nam pomóc - dodałam. - Donovan pewnie wolałby nas znaleźć zapakowanych w kombinezony ochronne. Nie mogę uwierzyć, że spróbowali na nas starego numeru z dobrym i złym policjantem.

- A ja wciąż się zastanawiam, czy oni są tak przebiegli, czy tak głupi?

- Moim zdaniem głupi.

- W ciągu trzech dni znaleźliśmy więcej śladów i poszlak niż ci kowboje przez cztery miesiące. Więc na pozór wygląda to tak, że oni do niczego się nie nadają.

- Na pozór? - spytałam. - Sądzisz, że w tym przypadku pozory mylą?

- Przyjmijmy, że Cheryl ma rację i szukamy prawdziwych policjantów. Jeśli to właśnie Donovan i Boyle, to udało im się dostać przydział do tej sprawy przez to, że pierwsze morderstwo popełnili na własnym terenie. To jest nie tylko przebiegłe. To jest genialne.

- A jak wyjaśnisz to, że przyszli tu dzisiaj, żeby wydobyć od nas szczegóły? Cholera, przecież muszą wiedzieć, że to najprostszy sposób, by trafić na samą górę listy podejrzanych. Mnie to się wydaje głupie.

- To jest głupie, ale tylko pod warunkiem, że oni wiedzą, że szukamy dwóch policjantów - zauważyła Kylie. - A w tej chwili tylko cztery osoby wiedzą, że podejrzewamy kogoś z NYPD: ty, ja, Cheryl i Cates. Ci dwaj mogą być znacznie bystrzejsi, niż się wydaje. Myślę, że się wkurzyli, kiedy odebraliśmy im tę sprawę, i robili wszystko, żeby nam nie pomagać. Ale potem uświadomili sobie, że odcinając się od nas, tym samym odcinają się od informacji. Uznali więc, że jeśli zaproponują nam wsparcie, to zostaną w grze i będą na bieżąco.

- Nic mnie nie obchodzi, czy są bystrzy, czy głupi, ale jeśli oni chcą mieć na oku nas, to może my powinniśmy mieć na oku tych dwóch defektywów?

Twarz Kylie rozjaśniła się.

- Detektywie Jordan, czy masz na myśli, że powinniśmy ich śledzić?

- Tak.

- Czy sądzisz, że nasza Kapitan Praworzędna zaakceptowałaby to, że damy im ogony?

- Może tak, a może nie.

- Zapewne nie.

- Ale to nie ma znaczenia, bo nie zamierzam jej pytać. W tej chwili nic mnie nie obchodzi, co ona o tym myśli.

- I to mówi ten prawomyślny. - Uśmiechnęła się szeroko. - A mnie się wydawało, że w naszej jednostce jestem jedyną policjantką, która lubi zrywać się ze smyczy.

Jeszcze długo przed tym, zanim zaczęła pracować w Red, Kylie znana była z tego, że łamie zasady za każdym razem, kiedy uważa, że ją ograniczają. I choć wyższe szarże nie lubią nieprawomyślnych policjantów, akurat ona zawsze doprowadzała robotę do końca, więc patrzyli na to przez palce. Donovan i Boyle

mocno mi śmierdzieli i byłem gotów przycisnąć ich do muru, a zwierzchnicy niech idą do diabła.

- Słyszałaś, co powiedział burmistrz. To, co mamy do zrobienia, musimy zrobić przed dniem wyborów. Czy wydaje ci się, że to była tylko niezobowiązująca uwaga?

- Nie, już raczej bezpośredni rozkaz z samej góry. Podoba mi się twój sposób myślenia - dodała Kylie. - Tak trzymaj, partnerze.

Sięgnęła po telefon na biurku i wybrała numer.

- Cześć, tu Kylie. Bardzo się cieszę, że cię jeszcze zastałam. Czy mogę zajrzeć?

Usłyszała odpowiedź i wybuchnęła śmiechem.

- Świetnie. Będę za chwilę.

Ruszyła do drzwi.

- Masz ochotę powiedzieć mi, gdzie idziesz? - zapytałem.

- Do gabinetu Matta Smitha. Za pięć minut wracam.

Po tych słowach zniknęła.

Siedziałem naburmuszony, jakby dziewczyna, z którą przyszedłem na tańce, wróciła do domu z innym chłopakiem. Matt Smith? Tak trzymaj, partnerko.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Joe Salvi patrzył na garnek z sosem do spaghetti stojący na kuchence. Jego matka prędzej wyrzuciłaby taki sos do śmieci, niż nakarmiła nim papę. Potem jego wzrok pobiegł w stronę kobiety, która właśnie podała mu ten sos.

Teresa stała przy blacie kuchennym i otwierała kolejną butelkę wina. Przerwała na chwilę, żeby zrzucić z nóg buty na piętnastocentymetrowych obcasach, które kosztowały osiemset dolarów. Dobry pomysł, Tereso. Dama nie powinna klapnąć na tyłek, kiedy wlewa w siebie drugą butelkę Bruno Giacosa Barolo za dwieście dolarów.

Czterdzieści jeden lat temu była idealną żoną. Spełniała wszystkie trzy warunki, które były ważne według jego matki: dobra w kuchni, doskonała w sypialni i katoliczka. Ale mamy już nie było. Teresy też. Wciąż dzielili sypialnię, ale seks nie był już wyjątkowy. Nie był zły, ale po prostu nie był dobry, tak jak sos.

Powoli oddaliła się od niego. Mówiła, że dzieje się tak dlatego, że on za bardzo pochłonięty jest pracą. Pracą? A jak się jej zdawało, skąd były pieniądze na to wszystko – dom, samochody, ubrania, biżuterię, dobroczynność? Rozdawała jego pieniądze każdemu, kto wyciągnął rękę, i wszyscy stawiali ją na piedestale. Świetnie, skoro tego właśnie potrzebowała, ale jak jej się zdawało, skąd się te pieniądze brały? Brały się z jego pracy.

– Mówiłam ci, że ona powtórnie wyszła za męża? – zapytała Teresa.

Mówiła coś od dłuższego czasu, ale on jej nie słuchał.

– Tak, mówiłaś. – Już dwa razy, dodał w duchu.

– Jest bardzo szczęśliwa. Wyszła za nauczyciela z Johna Adamsa

i teraz prowadzą tę kwiaciarnię razem. Jej mąż umiera i już po dwóch latach inny mężczyzna śpi w jej łóżku. Dziwka.

Dolała sobie wina z nowej butelki, prowokując, żeby jej powiedział, że za dużo pije.

- Jest cholernie dumna, że ta świnia, jej kochany synek gliniarz, ratuje świat. Cieszę się, bo to tylko znaczy, że kiedy z nim skończę, zaboli ją jeszcze bardziej.

Joe wybuchnął śmiechem.

- Kiedy ty z nim skończysz? Ktoś umarł i przekazał ci tytuł szefa?

- Enzo umarł. Czekałam dwanaście lat, żeby się zemścić. I teraz to zrobię.

- Chcesz podskoczyć policji? Chcesz zabić gliniarza?

- Dwóch - sprecyzowała. - Jeszcze tego drugiego, którego nazwisko jest w notesie Enza, tego przyjaciela, Dave'a. Zawsze mówiłeś, że jeden to za mało, by zabić Enza. Myślałeś, że to czarni z Ozone Park, a to były te irlandzkie sukinsyny. - Jednym haustem wypłała pół kieliszka wina. - Ci ludzie byli naszymi sąsiadami. Wydawaliśmy dla nich przyjęcia, karmiliśmy ich. I tak nam okazują szacunek? Witaliśmy ich z otwartymi ramionami, a oni zadali nam cios w samo serce. Przy naszym stole siedział Judasz, Joe, Judasz!

Salvi podniósł rękę. Nie widział jej w takim stanie od dnia pogrzebu Enza.

- Dobrze, Tereso, wystarczy. Ja się tym zajmę.

- Kiedy?

Wstał.

- Znam pewnego sierżanta, który jest mi winien przysługę. Dowie się, gdzie ci dwaj pracują.

- I co dalej?

- Skąd mam wiedzieć? Najpierw muszę ich znaleźć. Daj mi czas na zastanowienie.

- Nie myśl, tylko działaj. Jeśli nie dla mnie, to zrób to dla swojej matki. Pamiętaj, co obiecała Enzowi, kiedy rzuciła się na jego trumnę. *La famiglia fornirà giustizia*. Rodzina wymierza sprawiedliwość. Oko za oko!

Podkraśla się do blatu, pochwyciła butelkę i chwiejnie wyszła z kuchni.

Salvi wyjął komórkę i zadzwonił do Bernice.

- Zaraz u ciebie będę.

Nic więcej nie musiał mówić. Wyłączył telefon i sięgnął do szafy po płaszcz.

Bernice pracowała u jego księgowego. Miała czterdzieści lat i nigdy nie wyszła za mąż. Nie była ładna, po prostu miła i spokojna Żydówka, która w łóżku okazała się tygrysicą. Sypiali ze sobą od siedmiu lat i nigdy o nic go nie prosiła. Dawał jej prezenty, a ona mówiła:

- Dziękuję, Joe, ale nie trzeba było.

Przyjmowała je, ale nigdy niczego nie żądała.

Seks był niewiarygodny, a do tego była piekielnie dobrą kucharką.

Mama nienawdziłaby jej z całego serca.

Bernice nie była katoliczką.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DRUGI

Kylie zawsze potrafiła mnie doprowadzić do wściekłości, a dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem. Od chwili, kiedy wykrzyknęła:

- Wracam za pięć minut! - i wypadła przez drzwi, żeby porozmawiać z Mattem Smithem, minęło dwadzieścia minut.

Nic nie wyjaśniła ani nie poprosiła mnie, żebym poszedł razem z nią. To było dla niej typowe. Ja tu rządzę, a ty czekaj na kolejne instrukcje.

Doprowadziłem się już do bardzo niezdrowego wkurzenia, kiedy zadzwoniła moja komórka. To była Cheryl. Wkurzenie roztajało i zmieniło się w przyjemne ciepło. Odebrałem telefon.

- Hej - powiedziałem. - Jesteś nie tylko piękna i inteligentna, ale też jasnowidząca. Skąd wiedziałaś, że właśnie w tej chwili desperacko potrzebuję psychiatry?

- A ty skąd wiedziałeś, że desperacko potrzebuję kogoś, kto mi powie, że jestem piękna i inteligentna? W prawdziwym życiu leżę w dresie na sofie, piję wino, jem popcorn i zamierzam dostarczyć sobie pożywki dla mojego niezrównanego intelektu w postaci filmu, który widziałam już siedem razy.

- *Pretty Woman* z Richardem Gere'em i Julią Roberts?

- Dobrze mnie znasz, Zachary. Dlaczego potrzebujesz psychiatry?

- Bo siedzę tutaj i pokrywam się kurzem, a moja cud-partnerka poszła sobie gdzieś, żeby rozwiązać na własną rękę najpoważniejszą sprawę w mojej karierze.

- Kylie przechodzi przez trudny okres. Z tego, co mi mówiłaś, jej prywatne życie trochę wypadło z torów. Praca to jedyny

obszar, który jest w stanie kontrolować.

- Super. Tylko że jej praca to również moja praca. Jestem jej partnerem.

- Bądź dla niej wyrozumiały, partnerze.

- Czy to jest twoja profesjonalna porada? To ja mam być dla niej wyrozumiały? Myślałem, że będziesz po mojej stronie.

- Profesjoniści nie stają po niczyjej stronie. Daj spokój, Zach, ty również miewałeś trudniejsze okresy, a Kylie zawsze cię wspierała. Nie bierz sobie tego do serca. Ona nie próbuje cię od niczego odciąć. Zaabsorbowanie pracą pomaga jej oderwać myśli od problemów ze Spence'em. W końcu jakoś dojdą z tym do ładu i między wami również zapanuje równowaga.

- A co mam robić do tego czasu?

- Zacytuję mojego znakomitego kolegę: przełknij to, stary.

- Kto to powiedział? Doktor Freud?

- Doktor Phil.

- Dobra, Cheryl, przywróciłaś mi równowagę psychiczną. Dzięki i życzę udanego wieczoru przy winie, popcornie i tym babskim filmie. Zdaje się, że zaplanowałaś sobie wieczór, którego nie zapomnisz do śmierci.

- Do pełni szczęścia czegoś mi jednak brakuje - powiedziała uwodzicielskim tonem.

Teraz naprawdę poczułem się podbudowany.

- Mnie?

- Prawdę mówiąc, miałam na myśli Richarda Gere'a, który zabrałby mnie na zakupy na Rodeo Drive, ale jasne, ty też się nadasz. Jesteś wolny?

- W tej chwili nie, ale zawsze trudno mi zrezygnować z darmowego wina i popcornu. Nie gaś światła. Będę u ciebie za jakieś dwie godziny.

- Za dwie godziny film już się skończy.
- Jesteś profesjonalistką. Na pewno znajdziesz jakiś sposób, żeby mi pomóc się z tym pogodzić. - Drzwi się otworzyły i weszła Kylie. - Muszę kończyć. Detektyw MacDonald wróciła ze swojej kwerendy.

- Nie bądź złośliwy. Bądź dla niej miły.
- Dobrze, dobrze. Obiecuję. Do zobaczenia później. Wyłączam cię.

- Ja też cię wyłączam. - Rozłączyła się.
Nadal nie znaleźliśmy najlepszego sposobu na kończenie rozmów telefonicznych. Żadne z nas nie było jeszcze gotowe powiedzieć „kocham cię”, ale kogo chcieliśmy oszukać po trzech miesiącach związku?

Kylie miała na twarzy uśmiech poszukiwacza, który właśnie trafił na żyłę złota.

- To uśmiech triumfu - zauważyłem. - Co masz?
- Trafiłeś w dziesiątkę, kiedy powiedziałaś, że trzeba śledzić Donovaną i Boyle'a. Matt przeszukał komunikacyjną bazę danych, żeby sprawdzić, jakimi samochodami jeżdżą.

- I okazało się, że któryś z nich ma SUV-a. W innym wypadku nie byłabyś taka podniecona.

- Detektyw Dave Donovan. Toyota highlander rocznik 2011. Czarna jak wzgórza Dakoty Południowej.

- To bardzo zachęcające, ale mogę ci zagwarantować, że to nie jest jedyny policjant, którego samochód odpowiada opisowi.

- Wiem. Matt też mnie ostrzegał. Bla, bla, bla, jak zwykle. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, bo w pięciu dzielnicach Nowego Jorku zarejestrowano dwa miliony pojazdów, a piętnaście tysięcy osiemset jednaście z nich to czarne SUV-y. Ale mimo wszystko, jeśli już mamy się narażać, to dla nas dobra wiadomość, że Dave

Donovan ma samochód, który wygląda tak jak ten używany w porwaniach.

- I co teraz? - zapytałem.

- Zgadza się, że nie możemy zapytać Cates, czy wolno nam śledzić dwóch detektywów tylko dlatego, że coś nam się wydaje. Nawet gdyby się zgodziła, to zostałyby ślad na papierze. A jeśli się okaże, że nie mieliśmy racji, to nie tylko my wyjdziemy na kretynów, ale i ona.

- Więc będziemy ich śledzić, nie mówiąc jej o tym - podsumowałem.

- Nie my. My i tak mamy za dużo na głowie. Musimy kogoś przy tym zatrudnić.

- Myślisz o kimś konkretnym?

- Mam parę pomysłów. A ty?

Zanim zadzwoniła Cheryl, miałem dwadzieścia minut, żeby się nad tym zastanowić, i wymyśliłem, kto mógłby ich śledzić niepostrzeżenie i po cichu. Powiedziałem to Kylie.

- Doskonały wybór - uznała.

- Naprawdę? Nie masz żadnej kontrpropozycji?

- Wiem, że trudno ci zaakceptować, że ktoś się z tobą zgadza, ale tym razem zgadzam się z tobą bardzo burzliwie. Zadzwońmy do ich szefa i sprawdźmy, czy są wolni.

- Do naszego nie dzwoniliśmy. Jesteś pewna, że powinniśmy dzwonić do ich szefa? Dlaczego nagle chcesz przestrzegać reguł? Zadzwońmy bezpośrednio do nich, zawsze to mniej biurokracji.

- Nielegalne śledztwo - stwierdziła. - Jestem z ciebie dumna, kowboju. W końcu chyba zacząłeś się uczyć, jak się nagina zasady.

- A tak. Praca z tobą bardzo przypomina kurs mistrzowski.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Gdy miałem piętnaście lat, moja matka pracowała jako charakteryzatorka przy serialu *Guiding Light*. Każdego dnia po szkole wstępowałem do niej, żeby skorzystać z bufetu z zakąskami, które stały tam przez cały czas na potrzeby ekipy.

Dość szybko uświadomiłem sobie, że biegnę do studia każdego popołudnia, bo bardziej niż śmieciowe jedzenie na stole dla obsługi interesują mnie pokręcone drogi życiowe serialowych postaci. Wciągnąłem się w operę mydlaną. Nastoletniemu chłopakowi pogodzenie się z tą myślą nie przychodziło łatwo i byłem pewny, że coś musi być ze mną nie tak.

Ale mama zapewniła, że jestem zupełnie normalny.

- Wszyscy lubimy przyglądać się cudzym problemom - powiedziała. - Taka jest ludzka natura.

Nie mogę wypowiadać się w imieniu całej reszty ludzkości, ale z całą pewnością taka jest moja natura i właśnie dlatego, gdy Kylie powiedziała „dobranoc”, złapała taksówkę i pojechała do apartamentu Shelleya, ja również wskoczyłem do taksówki i pojechałem do centrum, do jej mieszkania.

Spence'a wypisano ze szpitala tego wieczoru i uznałem, że to najlepsza chwila, żeby pogadać z nim od serca. Nie powiedziałem Cheryl, gdzie się wybieram, bo ona już poprzedniego wieczoru wyraziła swoją opinię na ten temat.

- Trzymaj się od tego z daleka - poradziła mi. - Ten człowiek jest uzależniony i jeśli nie wiesz, co robić, to trzymaj się od niego z daleka, bo to tak, jakby wysłać policjanta z drogówki do negocjacji z porywaczami.

Gdybyśmy byli wtedy w gabinecie, to zacząłbym z nią

dyskutować, ale byliśmy w łóżku, a mnie wciąż spowijała światłość postkoitalnego błogostanu. Nie był to najlepszy moment, żeby wdawać się w dyskusję z moją zaprzyjaźnioną panią psycholog o tym, czy mam wystarczające kwalifikacje, żeby wtrącać się w małżeńskie problemy mojej byłej dziewczyny, ani czy rzeczywiście mam ochotę to zrobić. Na to pytanie sam sobie nie potrafiłem odpowiedzieć, dlatego tylko szepnąłem:

- Masz rację.

Ale w głębi serca wiedziałem, że Cheryl się myli. Nie byłem policjantem z drogówki.

Kylie i Spence mieszkali na dolnym Manhattanie, w ośmiopiętrowej fabryce, którą przekształcono na osiem niewiarygodnych loftów z fantastycznym widokiem na rzekę Hudson. Nie było tu portiera, tylko dwie pary drzwi z grubego szkła i kamera bezpieczeństwa na ścianie. Zadzwoiłem.

- Zach? - wychrypiał Spence przez domofon. - Kylie nie ma.

- Wiem. Chciałem porozmawiać z tobą. Masz coś przeciwko temu, żebym wszedł?

- Jest późno. O czym chcesz rozmawiać?

O złych rzeczach, do jakich prowadzi uzależnienie od leków, ale miałem nadzieję, że zanim do tego przejdę, najpierw wypijemy piwo i pogadamy jak facet z facetem.

Spence wyraźnie nie miał ochoty mnie wpuścić, dlatego musiałem przejść do tematu od razu tutaj, na dole. Wziąłem głęboki oddech i zacząłem:

- Posłuchaj, Spence. Kylie powiedziała mi, co się dzieje. Wiem, że masz mały problem ze środkami przeciwbólowymi.

- O Jezu - jęknął. - Chcesz powiedzieć, że moja żona cię poprosiła, żebyś na chwilę przestał łapać seryjnych morderców

i zajął się narkotykami?

- Ona w ogóle nie wie, że tu jestem. To osobista sprawa między tobą a mną.

- Osobista? Stary, jesteś przyjacielem Kylie, a nie moim.

- Masz rację, Spence, nie jestem twoim przyjacielem. Jestem tylko przypadkowym znajomym, który ryzykował życie, żeby ocalić twoje.

Popatrzyłem wyzywająco w kamerę. Trwało to całe pięć sekund, ale w końcu usłyszałem brzęczyk domofonu i pchnąłem drzwi, zanim Spence zdążył zmienić zdanie.

Pojechałem na szóste piętro. Spence otworzył. Spodziewałem się, że będzie wyglądał jak śmierć na urlopie, i nie pomyliłem się. Przed spotkaniem z Kameleonem Spence Harrington ćwiczył w domowej siłowni dwie godziny dziennie. Ten Spence, który teraz stał w drzwiach, miał puste oczy i nabrzmiąłą, przekrwioną twarz. Wiedziałem dosyć o jego problemach, by mieć świadomość, że przyczyną nie jest brak ćwiczeń fizycznych.

- No, no, no - powiedział. - Domokrążny program dwunastu kroków. Jeśli przyszedłeś, żeby wygłosić mi jeden z tych wykładów Nancy Reagan z serii „Po prostu powiedz nie”, to nie trać czasu. Wysłuchiwałem tego już wtedy, kiedy paliłem trawę w liceum.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby wygłaszać ci wykłady. Chciałem tylko porozmawiać.

- Mam już dość gadania, stary, więc powiem ci krótko. Te środki przeciwbólowe, które łykam, to nie to samo co uzależnienie od kokainy. To nie są narkotyki rekreacyjne, zapisał mi je lekarz.

- Kylie mówiła, że bierzesz o wiele więcej, niż lekarz ci przepisał.

Natychmiast ugryzłem się w język. Zaprowadził mnie właśnie tam, gdzie nie chciałem iść. Zabrzmiało to tak, jakbym był prywatną agencją zapobiegania problemom narkotykowym wynajętą przez Kylie.

W oczach Spence'a błysnęło lekceważenie.

Popatrzyłem na jego nagie stopy w dwunastu różnych odcieniach czerwieni i fioletu.

- Winien ci jestem przeprosiny, Spence - powiedziałem, próbując się wycofać. - Gdybyśmy razem z Kylie wcześniej złapali tego sukinsyna, który ci to zrobił...

- Słuchaj, Nancy, jestem pewien, że masz dobre intencje - odparł, wciąż blokując drzwi - ale wracaj do domu. Mam już grupę wsparcia. Mam powyżej uszu programów, sponsorów, mityngów i haseł. W tej chwili Kylie i ja potrzebujemy tylko odrobiny przestrzeni, dopóki nie uda mi się zapanować nad tym bólem.

Zaczął zamykać drzwi, ale oparłem się o nie całym ciałem.

- Jakim bólem, Spence? Bólem stopy? Obaj wiemy, że już dawno cię nie boli. Jedyne bóle, jakie obecnie odczuwasz, pochodzą ze świadomości, że jesteś uzależniony. Ale jeśli połkniesz więcej tabletek, to ten ból przeminie, a jeśli nie przeminie, to o trzeciej w nocy pójdziesz do centrum szukać dilerki kokainy.

- Odpierdol się, Zach - powiedział, napierając na drzwi.

- Weź ze sobą dużo pieniędzy, Spence - poradziłem mu, pchając drzwi w drugą stronę - bo będziesz potrzebował mnóstwo koki, kiedy Kylie odejdzie. A wierz mi, że to zrobi. Wydaje ci się, że cierpiełaś poprzednim razem, kiedy cię rzuciła? Teraz będzie jeszcze gorzej.

Przestał pchać drzwi i wetknął twarz w szparę.

- Gorzej dla kogo, Zach? Ostatnim razem wyszedłem z tego

i wzięliśmy ślub. O ile dobrze pamiętam, to ciebie wtedy rzuciła.

Moje dobre intencje poszły na spacer. Z całej siły pchnąłem drzwi, zbijając go z nóg. Upadł na podłogę, a ja stanąłem nad nim.

- Była wtedy dwudziestodwuletnim dzieciakiem i chciała zostać policjantką! - wrzasnąłem. - Chłopak, który przez cały dzień wciąga proszek, nie był jej do niczego potrzebny. Wtedy zgodziła się do ciebie wrócić, ale nie licz na to, że po raz drugi podejmie taką samą decyzję. Dzisiaj ta praca jest dla niej jeszcze ważniejsza i nie pozwoli, żeby spieprzył jej wszystko nagrany kokainą, łykający tabletki w hurtowych ilościach mąż.

Popatrzył na mnie zupełnie ogłuszony. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

A ja mówiłem dalej:

- Nie mam dla ciebie żadnych pogadank Nancy Reagan, Spence. Zastanów się tylko nad jednym: co ci daje lepsze samopoczucie, percocet czy twoja żona, bo dobrze wiesz, że nie możesz mieć jednego i drugiego.

Odsunąłem się od drzwi, a on podniósł się na kolana i zatrzaskał je.

Stałem tak, zionąc wściekłością, pełen złości na niego i na siebie za własną głupotę, za to, że wydawało mi się, że potrafię czynić cuda, zmienić myślenie Spence'a i naprawić jego rozsypujące się małżeństwo.

Widocznie w dzieciństwie oglądałem zbyt wiele oper mydlanych, i to mi zaburzyło myślenie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Była jedenasta trzydzieści, gdy wreszcie dotarłem do mieszkania Cheryl.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował drinka i przytulenia - powiedziała. - I niekoniecznie w tej właśnie kolejności. - Zarzuciła mi ramiona na szyję i przycisnęła usta do moich.

Objąłem ją i mocno uściśnąłem. Moje zmysły natychmiast zaczęły pracować na najwyższych obrotach, wszystkie pięć. Zamknąłem oczy i wyłączyłem słuch, by dotyk, smak i zapach mogły sobie poużywać. Jej usta smakowały winem, włosy pachniały jaśminem, a dotyk ciała przy moim ciele pomógł mi zapomnieć o pierwszych dwudziestu trzech i pół godzinach tego wyjątkowo wyczerpującego dnia.

Staliśmy tak przynajmniej przez minutę, nie mówiąc ani słowa. W końcu Cheryl szepnęła mi do ucha:

- Straciłeś fantastyczny film.

- Czy za ósmym razem oglądało się go równie dobrze jak pierwszych siedem?

- Zach, na zewnątrz może jestem dorosłą kobietą i naukowcem, ale w środku wciąż jestem małą dziewczynką, która wierzy w bajki. Tym razem ten film był równie wspaniały i będzie taki za każdym razem, kiedy będę go oglądać. Jesteś mężczyzną, nie zrozumiesz tego.

Odsunęła się. Miała na sobie czarne obcisłe legginsy i wściekle różową obcisłą koszulkę z dekoltem w szpic.

- Mówiłaś chyba, że jesteś ubrana w dres?

- Byłam, ale oglądanie Julii Roberts, która zmieniała się z prostytutki w damę, podziałało na mnie inspirująco.

- Obie nieźle wyglądacie, kiedy się doprowadzicie do porządku. Poprowadziła mnie do sofy i naląła wina.

- Więc jak ci minął dzień?

- Nie najlepiej. Zaczął się od brutalnego porwania, a skończył na tym, że rzuciłem na glebę uzależnionego od leków męża mojej partnerki. A jak ci minął twój?

Otworzyła usta ze zdumieniem, które zaraz przeszło w coś w rodzaju uśmiechu wyrażającego zaskoczenie. A może to było potępienie? W każdym razie nie widziałem jeszcze u niej takiego wyrazu twarzy.

- Powiedz to jeszcze raz. To o tym uzależnionym mężu.

Już wcześniej obiecałem sobie, że bez względu na to, czy wygram, przegram, czy zremisuję ze Spence'em, niczego nie będę ukrywał przed Cheryl.

- Ignorując dobre rady mojej pani doktor, poszedłem porozmawiać ze Spence'em. Chyba można to nazwać interwencją.

- Nie - powiedziała. - Ja bym to nazwała złą i egoistyczną decyzją opartą na błędnych przesłankach, ale pozwól, że wstrzymam się z osądem, dopóki nie usłyszę wszystkich szczegółów.

- Jasne, pani doktor. - Napilem się wina. - Czy mam się położyć na kozetce, gdy ty będziesz szukać notesu i ołówka?

Dowcip nie wypalił. Tym razem bez żadnych wątpliwości jej twarz zmarszczyła się z potępieniem.

- Proszę, po prostu opowiedz mi wszystko.

Opowiedziałem jej wszystko, zaczynając od moich dobrych intencji, potem przeszedłem do oporu stawianego przez Spence'a i jego uporczywych zaprzeczeń, co opisałem ze szczegółami. Nie odezwała się ani słowem, dopóki nie doszedłem do mojego dramatycznego ultimatum.

- Percocet albo żona? - wykrzyknęła z zachwytem. - Błyskotliwa technika, doktorze Jordan! Gdzie pan zdobył tytuł naukowy, w szkole leczenia uzależnień imienia Brudnego Harry'ego?

- Chcesz posłuchać do końca czy wolisz siedzieć tu i krytykować moje metody?

- Zatrzasnął ci drzwi przed nosem - powiedziała. - Myślałam, że to już koniec. Jest coś jeszcze?

- Tak. Stałem tam i czułem się jak dureń. Zrozumiałem, że powinienem cię posłuchać, ale nie posłuchałem. Sprawa zamknięta. Wróciłem do windy, ale nim zdążyłem nacisnąć guzik, on otworzył drzwi i kazał mi wejść. Więc wszedłem.

Wyraz twarzy Cheryl złagodniał.

- Co było dalej?

- Nic. Po prostu na mnie patrzył. Nie byłem pewien, czy chce mi dać w zęby, czy zadzwonić do Kylie i opowiedzieć jej, jakim jestem idiotą. A potem obrócił się i poszedł w stronę sypialni. W połowie drogi zatrzymał się i skinął głową, żebym poszedł za nim. Więc poszedłem.

- Do sypialni?

- Przez sypialnię do łazienki. Podeszedł do szafki z lekami, wyjął butelkę tabletek, otworzył i wytrząsnął jedną na rękę, potem jeszcze jedną i jeszcze jedną. Patrzył na nie i naprawdę myślałem, że ma zamiar wrzucić je wszystkie do ust, ale nie. Wyciągnął rękę nad sedesem i wrzucił je tam powoli, po jednej. Potem obrócił butelkę dnem do góry i wysypał wszystkie tabletki do wody.

Cheryl dotknęła podbródka.

- Och, Zach. Niesamowite. Mów dalej.

- Staliśmy tam, a żaden z nas się nie odezwał. Nie wiem, jak długo to trwało, ale dość długo. Nie chciałem na niego patrzeć, więc patrzyłem na te tabletki, które pływały w sedesie. W końcu

spojrzałem na niego i zapytałem: „Spuścisz wodę?”. A on popatrzył na mnie tymi swoimi wielkimi, smutnymi, brązowymi oczami i powiedział: „Daj mi chwilę, do cholery. To nie jest takie łatwe, jak się wydaje”. Potem objął mnie jak niedźwiedź, spuścił wodę, poszedł do sypialni i zadzwonił na oddział terapii uzależnień. To była moja pierwsza interwencja i od razu pełne powodzenie. Myślę, że kiedy już skończę z tą zabawą w policjanta, to wywieszę stosowny szyld i otworzę gabinet.

- A co będzie napisane na tym szyldzie? Najgorszy terapeuta świata?

- Możesz mnie krytykować, ile chcesz, pani doktor Robinson, ale nie możesz spierać się z rezultatami.

- Masz rację. Może na tym szyldzie powinno być napisane: najbardziej fartowny terapeuta świata.

- Może nie mam akademickiego wykształcenia, ale musisz przyznać, że mam inne cechy, które kompensują ten brak.

- Niejasno sobie przypominam, że rzeczywiście tak. - Wzięła mnie za rękę i pociągnęła z sofy. - Ale musisz mi odświeżyć pamięć.

- Masz rację - powiedziałem, gdy prowadziła mnie do sypialni. - Dzisiaj rzeczywiście jestem najbardziej fartownym terapeutą świata.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

Byłem w biurze o siódmej rano. Kylie wpadła do środka dziesięć minut później. Wyglądała jak zombie na prochach.

- Wyglądasz, jakbyś spędziła noc w schronisku dla bezdomnych - powitałem ją.

- I tak byłoby lepiej. Spędziłam bezsenłą noc w apartamencie, który kosztuje osiem tysięcy dolarów za miesiąc. Omal nie zwariowałam przez to martwienie się o Spence'a.

Chciałem jej powiedzieć, że ja też zamartwiam się o Spence'a, ale nie jest dobrym pomysłem mówienie osobie, która ma hopla na punkcie kontroli, że próbowało się przejąć kontrolę nad jej życiem.

- W końcu zdrzemnąłam się o drugiej - dodała. - Ale obudziłam się o czwartej i już nie mogłam zasnąć. Myślałam, że bardzo bym już chciała śledzić Donovana i Boyle'a.

- W twoim stanie nie jest to dobry pomysł. Wczoraj omal nas nie zabiłaś, jadąc Batmobilem na Queens, a przecież byłaś wyspana.

Mieliśmy do przesłuchania jeszcze trzy osoby, które wiedziały, że Rachael będzie w New Jersey. Ta po pilnej operacji wyrostka znajdowała się zaledwie o kilka przecznic dalej, w szpitalu Lenox Hill. Potrzebowaliśmy niecałe pół godziny, żeby tam dojechać i porozmawiać z nią.

Zostało jeszcze dwoje: Mick Wilson, uparty jak muł starszy asystent prokuratora, i młoda prawniczka, którą dano mu do pomocy. W biurze Wilsona powiedziano nam, że oboje jadą właśnie do zakładu wychowawczego Great Meadow w Comstock, żeby porozmawiać z więziennym donosicielem. Comstock leży w hrabstwie Washington, o cztery godziny jazdy od miasta.

Dobrze znam Micka. Jest gwiazdą w biurze prokuratora i pierwszym kandydatem na to stanowisko, kiedy obecny prokurator odejdzie na emeryturę. Nie odpowiadał na moje wiadomości w skrzynce głosowej, więc wysłałem mu SMS-a, w którym wyjaśniłem, że musimy pilnie porozmawiać z nim i z jego asystentką.

Odpowiedział natychmiast.

A miałem nikomu nie mówić, gdzie się zaszyla O'Keefe? Chyba niepotrzebnie opublikowałem to na Facebooku. Nie ma mnie i nie będzie do późnego wieczoru. Potem możecie mnie zaaresztować.

- Urocze - stwierdziła Kylie.

- To sposób Micka, żeby mi powiedzieć, że uważa mnie za durnia, bo w ogóle go o to zapytałem.

- A ta prawniczka, z którą jedzie? Ostatnia na naszej liście.

- Dobrze by było, żeby Mick ją przesłuchał w naszym imieniu, ale na pewno uważa, że każdy, kogo wybrał sobie do współpracy, jest ponad wszelkimi podejrzeniami, tak jak on sam. Możemy spróbować znaleźć ją wieczorem, ale myślę, że do niczego nie dojdziemy.

- W takim razie Matt miał rację - stwierdziła Kylie. - Wczoraj wieczorem powiedział mi, że ten, kto porwał Rachael, nie musiał mieć związków z biurem prokuratora. Mówił, że dla zawodowca to żaden problem włamać się do komputera Departamentu Więziennictwa.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wczoraj?

- Sama nie wiem. Byłeś tak wkurzony na Matta, że wolałam...

- Jordan! MacDonald! - Cates używała swojej ulubionej metody komunikacji pomiędzy gabinetami, to znaczy wrzeszczała na cały korytarz.

Poszliśmy do jej gabinetu. Machnięciem ręki pokazała, że mamy

zamknąć drzwi i usiąść.

- Możliwe, że mamy przełom - powiedziała. - Ale to delikatna sytuacja, bo chodzi o moją znajomą, Almę Hooks. Znam ją od dzieciństwa. Kiedy miała piętnaście lat, zaszła w ciążę i urodziła dziecko, a potem ciężko pracowała, żeby się jakoś utrzymać. Zdobyła tytuł magistra bibliotekoznawstwa w Pratt College i jest asystentką bibliotekarki w filii Nowojorskiej Biblioteki Publicznej przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Ma teraz dwadzieścia dziewięć lat i jest samotną matką. Jej syn Shawn ma trzynaście lat. Alma właśnie do mnie zadzwoniła z pewną informacją. Otóż jej syn widział, jak uprowadzono Tinsdale'a.

- To było ponad miesiąc temu - zauważyłem. - A on chce rozmawiać z nami dopiero teraz?

- Ma szczęście, że w ogóle może rozmawiać. Przedwczoraj dostał trzy kule. To ta delikatna część. Alma przekonała go, żeby powiedział nam wszystko, co wie o porwaniu, ale tylko tyle. Mamy nie pytać o strzelaninę ani o to, co łączyło czy nie łączyło Shawna z Tinsdale'em.

- Blaszyński zatrudniał małoletnich naganiaczy - przypomniała sobie Kylie. - Sądzi pani, że Shawn mógł dla niego pracować?

Cates ścisnęła usta między dwoma palcami, a potem dodała:

- Nie pytaj i nie mów. Obiecałam Almie, że będziemy pytać tylko o to, co się stało z Tinsdale'em. Takie są ustalone zasady. Jasne?

- Absolutnie - powiedziała Kylie.

- To dobrze. Stan Shawna właśnie się poprawił. Nie jest już krytyczny, tylko stabilny. Jest w szpitalu Harlem. Jedźcie tam, zanim zmieni zdanie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Joe Salvi siedział przy stole w kuchni, czytał *Daily News* i pił drugą filiżankę kawy. Przed nim leżały trzy telefony komórkowe.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała Teresa, która stała po drugiej stronie kuchni.

Joe nie zdawał sobie sprawy, że się uśmiecha, ale zawsze tak było, gdy spędził trochę czasu z kochanką. Przy Bernice zawsze czuł się szczęśliwy. Mama miała rację, zakazany owoc zawsze smakuje najlepiej.

Ostatniej nocy, po tym, jak się kochali, Bernice przytuliła się do niego i szepnęła mu do ucha:

- Joe... seks...

W tym miejscu urwała. Czekał, ale nie skończyła zdania. Drażniła się z nim, a on złapał haczyk.

- Co takiego?

Skubnęła ustami jego ucho.

- Był fantastyczny, z uwzględnieniem czynnika wieku.

Roześmiał się głęboko i szczerze, aż łzy napłynęły mu do oczu. Tylko Bernice potrafiła coś takiego wymyślić, a tym bardziej powiedzieć. Właśnie wspominał tę chwilę, gdy Teresa przyłapała go na uśmiechu.

Jedna z komórek zawibrowała, neutralizując jej ciekawość.

- Odbierz - powiedziała, jakby nie potrafił tego zrobić bez jej polecenia.

Odebrał. Głos po drugiej stronie powiedział tylko jedno słowo. Była to liczba. Salvi powtórzył ją.

- Jesteś pewien - stwierdził, chociaż dzwoniący wiedział, że to jest pytanie. Znowu nastąpiła krótka chwila milczenia, po czym

Salvi powiedział: - *Grazie. Ciao.*

Rzucił telefon synowi, który stał przy zlewie. Jojo zanurzył komórkę w zimnej wodzie, a potem wrzucił do rozdrabniarki śmieci pod szafką.

- Znalazłeś go? - zapytała Teresa.

- Obu. Pracują razem, w tym samym komisariacie.

- Chcesz, żebyśmy ja i Tommy Boy porozmawiali z nimi? - zapytał Jojo.

Na dźwięk swojego imienia Tommy Boy podniósł wyżej ramiona i obciągnął rękawy skórzanej marynarki. Urodził się jako Tommaso Benito Montanari. Nazywał się tak samo jak jego ojciec, toteż od urodzenia nazywano go Tommy Boy. Dwadzieścia sześć lat później miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i ważył sto pięćdziesiąt kilo, ale nadal dla wszystkich był to Tommy Boy.

Wbił oczy w twarz papy Joego, czekając na odpowiedź.

- Nie - powiedział Salvi. - Nie jesteśmy jeszcze gotowi na to, żeby z nimi gadać. Na razie po prostu będziecie ich śledzić. Dacie mi znać, co robią i gdzie jeżdżą.

- A jeśli się rozdziela? - zapytał Jojo. - Czy na wszelki wypadek mamy wziąć dwa samochody?

- Dwa samochody? - powtórzył Joe. - Doskonały pomysł. A skoro już o tym mowa, to weźcie też parę koni, orkiestrę dętą i kolorowe baloniki. Co ty sobie wyobrażasz? Powiedziałem: śledzić ich, a nie organizować paradę. Jeśli się rozdziela, trzymaj się Gideona. Sprawdź możliwości i wróć do mnie, ale nic nie rób.

- Ale jeśli nadarzy się okazja, mógłbym...

- Czy wspominałem coś o okazji? Nie. Powiedziałem, że masz nic nie robić. *Non fare niente. Niente.* Czy to jest jasne?

Jojo popatrzył na Teresę i wzruszył ramionami.

Salvi zauważył ten gest.

- Gównu mnie obchodzi, o co prosiła cię matka. Może chciała dostać jego głowę na srebrnej tacy albo jaja w szklanym słoju. Chcę dopaść Gideona i jego kumpla razem. Potem zdecyduję, co dalej. Czy to jest jasne?

- Tak, papo, jasne.

Joe spojrzał na Tommy'ego Boya.

- Ci dwaj, których macie śledzić, to gliniarze. Mają oczy z tyłu głowy, więc jedźcie mądrze.

- Może powinienem wziąć samochód pani Salvi? - odezwał się Tommy Boy. - Buicka. Jest beżowy i nie będzie się tak rzucał w oczy jak escalade.

Joe postukał dwoma palcami w skroń.

- Teraz zacząłeś myśleć. Ruszajcie.

Zeszli do garażu. Tommy Boy odsunął fotel kierowcy w buicku do samego końca, Jojo usiadł po stronie pasażera.

- Może powinienem wziąć samochód pani Salvi - powiedział, przedrzeźniając kamienną twarz i intonację Tommy'ego Boya.

- Zrobiłem coś nie tak?

- Mój ojciec olewa wszystko, co mówię, więc ty musisz się zachowywać jak jakiś *consigliere*? Jesteś zwykłym żołnierzem, Tommy Boy. Nikim więcej.

- Daj spokój, stary. - Tommy Boy skręcił w lewo w Cross Bay Boulevard. - Mam prawie trzydzieści lat i należę do rodziny. Jestem za bystry, żeby przez całe życie być żołnierzem.

Jojo obrócił się w fotelu.

- Posłuchaj mnie, durniu. Masz dwadzieścia sześć lat, a nie prawie trzydzieści. Jesteś mężem córki kuzynki mojej matki, więc nie jesteś z nami spokrewniony. A gdybyś był taki bystry, za jakiego się uważasz, to nie próbowałbyś mnie ośmieszyć przed ojcem. - Gdy Tommy Boy roześmiał się, spytał ze złością: - Co cię

tak bawi?

- Ty. Z tobą za każdym razem jest tak samo, Jojo. Twój ojciec traktuje cię jak gówno, a ty wyładowujesz się na mnie. To się nazywa transferencja.

- A wiesz, jak to się nazywa? - Jojo wystawił do góry środkowy palec. - To się nazywa: zamknij gębę i jedź na ten pieprzony komisariat.

- Jasne, Jojo. A jak już tam będziemy, to może wpadnę do środka i poproszę o zezwolenie na paradę.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Jeśli zostaniesz postrzelony w Nowym Jorku, szpital Harlem to jedno z najlepszych miejsc, gdzie mógłbyś trafić. Jest to specjalistyczne centrum urazowe położone zaledwie sześć przecznic od miejsca, w którym Shawn Hooks dostał trzy kule.

Architektonicznie jest to również jeden z najciekawszych nowych budynków w mieście. Jedna ze ścian, w całości szklana, wysoka na pięć pięter i długa na całą przecznicę, pokryta jest reprodukcjami barwnych murali, pierwotnie zamówionych przez administrację rządową w ramach robót publicznych podczas wielkiego kryzysu i namalowanych przez afroamerykańskich artystów. Na zewnątrz jest to symbol dumy mieszkańców tej okolicy, ale wiedziałem, że w środku czekają na nas twarde realia ulicznego życia.

Alma Hooks była drobna, mogła mieć najwyżej metr pięćdziesiąt. Fizycznie wydawała się w porządku, ale sądząc po ściągniętej twarzy, zaczerwienionych oczach i zaciśniętych dłoniach, emocjonalnie była zupełnie wyczerpana. Gdy weszliśmy do sali, podniosła się.

- Dziękuję, że przyszliście. Czy Delia wszystko wam wyjaśniła?

- Tak. I dziękuję, że pani zadzwoniła - odpowiedziałem. - Jak się czuje syn?

- Wciąż go boli, ale godzinę temu pielęgniarka dała mu kolejny zastrzyk toradolu. To silny chłopak. Lekarze mówią, że to trochę potrwa, ale wróci do zdrowia.

- A pani jak się czuje? - zapytała Kylie.

- Wciąż jeszcze jestem wstrząśnięta. Nie spałam od wtorku, kiedy do mnie zadzwonili. Ale jestem im wdzięczna.

- I skontaktowała się pani z nami, bo sądzi pani, że Shawn mógł być świadkiem przestępstwa?

- Blaszyński Drwal - odrzekła. - Antoine Tinsdale. Był dilerem narkotyków. Niszczył chłopców z sąsiedztwa. Wychowujemy ich na porządnym ludzi, uczymy robić to, co słuszne, a potem pojawia się taki ktoś jak on, ubrany jak gwiazda rocka, jeździ mercedesem i obiecuje im gwiazdkę z nieba, a oni się na to nabierają. To tylko dzieci.

Nie powiedziała, czy Shawn był jednym z tych chłopców, których Tinsdale demoralizował. Podkreśliła tylko to, co i tak już wiedzieliśmy. Ci młodzi naganiacze byli bardziej ofiarami niż przestępcami. W pełni doceniałem to, że Cates zawarła układ z Alną Hooks. Nie chciałbym być policjantem, który zacząłby grzebać w przeszłości jej syna i być może zniszczył mu przyszłość.

- Bardzo bym skłamała, gdybym powiedziała, że jest mi przykro z powodu tego, że Tinsdale na zawsze zniknął z ulic - powiedziała, patrząc na syna. - Ale porwanie i morderstwo to nie jest wymierzenie sprawiedliwości. Nie takie, jakie chcielibyśmy pokazać naszym dzieciom.

- Czy mogę zadać pani synowi kilka pytań?

Shawn, który leżał pod kołdrą, na moje oko miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył pewnie ze sto kilo, ale najwyraźniej to drobna kobieta u jego boku podejmowała decyzje.

- Proszę bardzo - powiedziała, wciąż na niego patrząc. - Zgodził się pomóc w dochodzeniu.

- Shawn, nazywam się Jordan i jestem detektywem, a to jest moja partnerka, detektyw MacDonald. Wszystko, co powiesz, zostanie między nami. To nie potrwa długo. Kiedy po raz ostatni widziałeś Antoine'a Tinsdale'a?

Shawn zastygł. Wyznanie prawdy matce jest akceptowane

w kulturze ulicznej, ale rozmowa z policją już nie.

Alma usiadła na łóżku i pogładziła go po czole.

- Mów, dziecko. Oni są w porządku. To przyjaciele pani Delii. Powiedz im, kiedy po raz ostatni widziałeś Antoine'a Tinsdale'a.

- Tego wieczoru, kiedy go porwano.

- Dziękuję - powiedziała i skinieniem głowy przekazała mi pałeczkę.

- Kto go zabrał? - zapytałem.

- Dwóch policjantów. Zgarnęli go na rogu Sto Trzydziestej Szóstej i Amsterdam Avenue.

- Skąd wiesz, że to byli policjanci?

- Zakuli go w kajdanki. Najpierw jeden wysiadł z samochodu i zaczął z nim rozmawiać, ale Blaszyński zawołał: „Zaraz! Moment!”, więc pewnie nie chciał wsiadać. Ale wtedy kierowca też podszedł, zakuł go w kajdanki i wepchnęli go na tylne siedzenie.

- Czy to był radiowóz?

- Nieoznakowany. Czarny SUV.

- Marka i model?

- Nie wiem, było ciemno. Po kształcie wiem, że to był SUV, ale nie widziałem nic więcej.

- A widziałeś, jak wyglądali ci dwaj?

- Byli biali.

- Czy możesz ich opisać?

- Zwyczajni biali faceci w garniturach. Byli wysocy, ale przeciętnie wysocy, nie jak gracze z NBA. Tylko tyle zauważyłem. Byłem za daleko, żeby widzieć dokładniej.

- A gdybyśmy przynieśli zdjęcia twarzy, czy sądzisz, że coś mogłoby ci się przypomnieć?

- To nic nie da. Mówiłem już, nie widziałem twarzy.

- A czy był z tobą ktoś, kto mógł widzieć więcej? - zapytała Kylie.

Chłopak miał już dość. Popatrzył na matkę. Zdawało się, że ona też dotarła do granic swojej odpowiedzialności obywatelskiej.

- Detektywi - powiedziała. - Mój syn był z wami szczery. Powiedział, że tamtego wieczoru, kiedy zniknął pan Tinsdale, widział, jak zaaresztowało go dwóch policjantów. Dla Shawna nie wyglądało to jak przestępstwo, więc niczego nie zgłosił. To wszystko, co wie. Jeśli ktoś inny coś widział, to może się z wami skontaktować, tak jak on. Czy macie jeszcze jakieś pytania?

- Nie, pani Hooks - powiedziałem. - Naprawdę bardzo nam pomogliście. Gdyby coś jeszcze przyszło wam do głowy, to proszę, zadzwońcie.

Gdy sięgnąłem do kieszeni marynarki po wizytówkę, moje palce otarły się o kopertę. Przed wyjściem z biura postanowiłem wziąć ze sobą kilka fotografii. Cztery przedstawiały przypadkowych białych przestępców w średnim wieku, których na chybił trafił wyciągnąłem z kartoteki. Pozostałe dwa to były zdjęcia, o które mi chodziło. Miałem nadzieję, że Shawn wskaże właśnie te. Znalazłem wizytówkę i podałem pani Hooks.

- To nie jest potrzebne. - Oddała mi ją. - Jeśli coś mi jeszcze przyjdzie do głowy, zadzwonię do waszej szefowej.

Poczułem podziw dla Almy Hooks. Bardzo się starała chronić syna i gdy już powiedział nam wszystko, co miał nam do powiedzenia, odesłała nas, przypominając, że ja i Kylie podlegamy jej koleżance, pani Delii.

Wsunąłem wizytówkę do kieszeni razem ze zdjęciami moich podejrzanych, Donovana i Boyle'a.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

- Gdzie, do ciężkiej cholery, ludzie parkują na Manhattanie? - złościł się Jojo, gdy Tommy Boy po raz trzeci przejeżdżał obok komisariatu. - Na tej cholерnej ulicy nigdy nie ma żadnych wolnych miejsc!

- Najpierw trzeba obejść wszystko dokoła piechotą - wyjaśnił Tommy Boy. - Kiedy już wypatrzysz jakieś miejsce, znajdujesz kogoś, kto się na nim położy, a ty biegniesz kupić samochód.

Jojo nie roześmiał się.

- Wydaje ci się, TB, że to zabawa?

- Nic mi się nie wydaje, Jojo. Nie wiem nawet, o co tu chodzi, oprócz tego, że śledzimy dwóch gliniarzy. Chcesz mi wyjaśnić? Coś jest z nimi nie tak?

- Wszystko jest z nimi nie tak. Zabili mojego brata.

- Jasny gwint. Gliniarze zabili Enza?

- Wtedy jeszcze nie byli gliniarzami. Chodzili do liceum.

- No dobra. Znajdziemy ich, będziemy za nimi jeździć i co potem?

- Nic. Słyszałeś mojego starego. My robimy tylko rekonesans, a on zdecyduje, co dalej.

- A jak ci się wydaje, co on może wymyślić? Zatłucze ich. Pozostaje tylko pytanie, kto ma to zrobić.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Może. - Tommy Boy zaparkował przed hydrantem przeciwpożarowym. - Kiedy Pacino utłukł Sollozzę i tego gliniarza w restauracji, musiał wyjechać na parę lat na Sycylię. Nie miałbym nic przeciwko temu.

- Możesz sobie pomarzyć, Pacino. - Jojo wyjął iPhone'a

i wetknął w uszy białe słuchawki. – A teraz miej oczy otwarte, a gębę zamkniętą. Potrzebuję trochę Springsteena.

Po trzech piosenkach gwałtownie wyciągnął słuchawki z uszu.

– Ten przed nami to Gideon – powiedział, wskazując na dwóch mężczyzn, którzy wyszli z komisariatu i skierowali się w stronę zaparkowanych w pobliżu policyjnych samochodów.

Wsiedli do czarnego SUV-a i ruszyli.

– Nie jedź tuż za nimi – powiedział Jojo. – Gliniarze potrafią zauważyć ogon. Zostaw trochę przestrzeni.

Tommy Boy przepuścił dwa samochody.

– Dobra. Miejmy tylko nadzieję, że nie włączą syreny i świateł, bo wtedy nic nie zrobimy.

Ale nie było syren, świateł ani niczego równie spektakularnego. SUV skręcił na most Eda Kocha, przejechał przez East River, skręcił w prawo w Vernon Boulevard i zatrzymał się przy San Remo, małej pizzerii na rogu Czterdziestej Dziewiątej Alei. Gideon wszedł do środka, po chwili wyszedł z firmowym pudełkiem pizzerii i znów wszedł do samochodu.

– Słyszałeś kiedyś o tym miejscu? – zapytał Tommy Boy. – Musi być cholernie dobre, skoro przyjechali po pizzę aż tutaj o dziewiątej rano.

Wjechali na Jackson, a pół kilometra dalej skręcili w prawo na Crane Street. To była ślepa ulica. Tommy Boy zaczekał, aż gliniarze dotrą do końca кварталу, wjadą do garażu całego pokrytego graffiti i zamkną za sobą przerdzewiałą metalową bramę, i dopiero wtedy zaparkował za poobijaną furgonetką trzydzieści metrów dalej.

Po czterdziestu minutach drzwi garażu otworzyły się i SUV wyjechał tyłem.

– Na co, do diabła, czekasz? – zapytał Jojo, gdy policjanci

ruszyli.

- Czekam, żeby zniknęli z pola widzenia. Wtedy wejdziemy do tego garażu i zobaczymy, co tam mają.

SUV skręcił w Jackson.

- Zgubisz ich! - wrzasnął Jojo.

- Potem ich znajdziemy. Przecież wiemy, gdzie pracują.

- Jedź za nimi.

- Jojo, oni nie przyjechali tutaj, żeby zjeść pizzę. Twój ojciec na pewno będzie chciał wiedzieć, co się tu dzieje.

- Ojciec kazał nam jeździć za nimi. Słyszałeś, nic więcej. *Niente*. A teraz albo ruszaj, albo wysiadaj i ja pojedę.

Tommy Boy zapalił silnik i ruszył wąską ulicą.

- W porządku, ale wydaje mi się, że popełniasz wielki błąd.

- Wiesz co, palancie? Płacimy ci za to, żebyś jeździł, a nie myślał.

Jojo odchylił oparcie fotela do tyłu i znów włożył do uszu słuchawki. Właśnie słuchał Bruno Marsa, kiedy komórka zawibrowała. Przysunął ją do twarzy.

- Mamo, jestem zajęty.

- Znaleźliście ich? - zapytała Teresa.

- Tak. Przyjechali na jakieś zadupie w Long Island City.

- Jakie zadupie?

- Nie wiem, jakiś stary garaż. Zniszczony betonowy budynek na ślepej ulicy przy torach kolejowych.

- Po co tam przyjechali? Co tam jest?

- A skąd mam wiedzieć?

- Jak to skąd? Jak tylko wyjdą, wejdź do środka i dowiedz się, co tam robią.

- Już wyszli. TB i ja jedziemy za nimi.

- Czyś ty zwariował? - warknęła Teresa. - Nie jedźcie za nimi!

- Jak to nie? O co ci chodzi? Papa powiedział, że nic innego mam nie robić, tylko za nimi jeździć. Wytropić ich i wszystko mu przekazać.

- *Mannaggia!* Znaleźliście miejsce, gdzie ci dwaj załatwiają swoje brudne sprawy, i nawet nie zajrzeliście do środka? Jak ci się wydaje, co to znaczy tropić?

Jojo uderzył pięścią w deskę rozdzielczą.

- Mamo, nie mogę tam wejść i jednocześnie jechać za nimi!

Na te słowa Tommy Boy natychmiast zdjął nogę z pedału gazu.

- To pojedziecie za nimi jutro. Dzisiaj macie okazję przekonać się, co ukrywają w tym budynku. Może broń? Może narkotyki wyniesione z sejfu z dowodami? Cokolwiek tam jest, wiemy, że tam wrócą i tam będziemy załatwiać rachunki za Enza. Chyba nie myślisz, że możesz tak po prostu wejść do komisariatu i zastrzelić dwóch gliniarzy?

Jojo przetarł oczy i wziął głęboki oddech.

- Daj mi papę.

- Nie. Przestań ciągle biegać do ojca i zacznij używać mózgu. Pomyśl tylko. Ten budynek to dar opatrności.

- Mamo, to jest kompletna ruina.

- Mojego syna zostawili leżącego twarzą w błocie. Nie zasługują nawet na ruinę. A teraz sprawdź, co tam jest, a ja porozmawiam z papą.

Telefon zamilkł. Jojo nie mógł w to uwierzyć. Przerwała rozmowę.

- Zawracaj - powiedział. - Jedziemy tam.

Tommy Boy, powstrzymując uśmiech, gładko zawrócił buicka przy Czterdziestej Drugiej Ulicy.

- Jak chcesz, Jojo. Ty tu rządzisz.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Kiedy Tommy Boy miał dwanaście lat, rodzice kazali mu usiąść i powiedzieli coś, co ukrywali przed nim od dwóch lat. Jego iloraz inteligencji wynosił sto czterdzieści siedem.

- No to co? - zapytał.

- To znaczy, że jesteś jak Einstein - odrzekł Tommaso Montanari senior. - Bardzo inteligentny. Bardziej niż wszyscy inni.

- No to co? - powtórzył raz jeszcze.

- To wspaniale - powiedziała matka bez przekonania.

- Ale będziesz miał z tym problem - dodał ojciec. - A i tak masz już dosyć kłopotów. Ile masz teraz wzrostu, metr osiemdziesiąt trzy?

- Metr osiemdziesiąt pięć.

- A masz dopiero dwanaście lat, więc będziesz się wyróżniał. Inne dzieci będą się z ciebie śmiać, jakbyś był jakimś wariatem.

Oczy Tommy'ego Boya zaszkliły się łzami.

- Na przykład jak wtedy, kiedy nazywają mnie ptaszydłem?

- Co za głupole - stwierdził Montanari. - Ile oni wszyscy mają? Metr pięćdziesiąt? I ważą czterdzieści kilo w mokrym ubraniu? Zazdroszczą ci i chcą, żebyś czuł się źle, bo jesteś zbudowany jak mężczyzna, a oni nie. Wiesz, dlaczego mama i ja nie powiedzieliśmy ci o tym ilorazie inteligencji od razu, kiedy się dowiedzieliśmy? - Gdy Tommy Boy potrząsnął głową, wyjaśnił: - Bo chcieliśmy, żebyś się czuł normalny. Wystarczy już, że jesteś największy ze wszystkich. Będzie jeszcze gorzej, jeśli się dowiedzą, że jesteś od nich mądrzejszy. Ludzie nienawidzą takich, którzy są lepsi od nich.

Po policzkach chłopca spłynęły łzy.

- Więc co mam zrobić?

Montanari popatrzył na żonę. Wiedział, że to pytanie kiedyś nadejdzie. Jego odpowiedź była prosta: skop tyłki tym małym draniom, a zobaczysz, jak szybko zaczną cię szanować. Ale wiedział, że z Angelą to nie przejdzie, toteż używając wszystkich swoich umiejętności rodzicielskich, wymyślili inne rozwiązanie.

- Posłuchaj, mały. - Położył rękę na ramieniu syna. - Nie możesz udawać, że jesteś niski, ale możesz udawać, że jesteś głupi.

- Nie całkiem głupi - poprawiła go matka. - Po prostu nie taki inteligentny. Nie będziesz się tak wyróżniał.

Ta rada okazała się całkiem niezła, szczególnie odkąd Tommy Boy zaczął pracować u Joja. Ten facet nie miał o niczym pojęcia, ale dopóki Tommy udawał radosnego głupka, Jojo czuł się od niego lepszy.

Tylko jedna osoba zorientowała się w jego inteligencji. Papa Joe. Przed tym człowiekiem niczego nie dawało się ukryć.

- Jesteś głupi jak lis - powiedział któregoś wieczoru, gdy Tommy Boy wiózł go do Bernice.

Tommy zastygł za kierownicą.

- Nie martw się - dodał Salvi. - Na razie potrzebuję twoich mięśni, ale dobrze wiedzieć, że masz głowę na karku, kiedy przyjdzie odpowiedni czas.

Kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Tommy Boy czekał cierpliwie, ale teraz uznał, że ten odpowiedni czas właśnie nadszedł. Eliminując tych dwóch drani, którzy zabili Enza, zasłuży się w oczach Joego na zawsze, a nagrodą nie będą jakieś bzdurne wakacje na Sycylii, tylko pozycja w organizacji. Prawdziwa pozycja. Wtedy wreszcie będzie mógł przestać udawać.

- Masz już plan? - zapytał Jojo, skręcając w Crane Street.

- Wyłamię zamek, wejdem, rozejrzę się, zrobię parę zdjęć komórką, jeśli będzie cokolwiek widać, i wrócę do Howard Beach.

- Dobry pomysł - stwierdził Tommy Boy. - Ale może lepiej otworzyć zamek, niż wyłamywać, żeby się nie zorientowali, że tu byliśmy?

- No tak, otworzymy zamek. To chciałem powiedzieć, tylko nie myślałem, że będę ci to musiał tłumaczyć tak dokładnie.

Zaparkowali samochód i poszli na tyły budynku. Zamek był amatorski, więc Tommy Boy otworzył go w kilka sekund. Pomieszczenie było długie i szerokie najwyżej na metr. Stały tu dwa różne krzesła i nieduży składany stolik, a na nim sprzęt audio. Nic, co warto byłoby ukraść. Potem Tommy Boy coś dostrzegł.

- Tam - szepnął, wskazując na ścianę, w której były otworki. - Stąd obserwują to, co dzieje się po drugiej stronie.

Na wysokości oczu w ścianie wycięte były dwie wąskie szpary. Tommy Boy musiał przykucnąć, żeby spojrzeć przez jedną z nich. Jojo nie zawracał sobie tym głowy. Czekał, aż Tommy Boy powie mu, czy warto się wysilać. Ale Tommy Boy milczał. Patrzył na kobietę w kombinezonie ochronnym, którą ktoś przykuł łańcuchem do rury. Pudełko z San Remo leżało na podłodze, większa część pizzy wciąż była w środku. Przed kobietą stała kamera wideo. Tommy Boy w mgnieniu oka dodał dwa do dwóch i poczuł się tak, jakby trafił do grobowca Tutenchamona.

- Co tam jest, do diabła, takiego ciekawego? - Jojo przycisnął czoło do drugiej szpary. - Jasny gwint - westchnął. - Co to?

- Cii. Lepiej niech nas nie słyszy.

- Ci goście są gliniarzami i mają tu takie gównno? - szeptał Jojo.

- Co my mamy teraz zrobić?

Tommy Boy wyciągnął telefon.

- Do kogo dzwonisz?

- Do nikogo - odszepnął Tommy. - Chcę zrobić zdjęcia.

Przysunął telefon do jednej ze szpar i zaczął pstrykać. Zrobił około dziesięciu zdjęć i schował telefon do kieszeni.

- Spadajmy stąd.

- Czyś ty zwariował? - oburzył się Jojo. - Czy ty widzisz to co ja? Mają tu jakąś laskę przykutą do rury. Powinniśmy tam wejść i ją odciąć, a przynajmniej dowiedzieć się, kto to jest!

Tommy Boy odsunął się od ściany.

- Wiem, kto to jest, i wierz mi, ta sprawa przerasta i ciebie, i mnie. Musimy porozmawiać z twoim ojcem. - Gdy Jojo sięgnął po komórkę, dodał niecierpliwie: - Nie teraz. I z pewnością nie stąd. Pytałeś, co mamy robić, to ci mówię: spieprzać stąd, i to natychmiast.

- Skąd możesz wiedzieć, kto to jest? Co to za jedna?

- Powiem ci w samochodzie. Zaufaj mi. Chodź. - Tommy Boy wyjął chusteczkę i zaczął się wycofywać, wycierając po drodze wszystko, czego dotykali. Byli już przy drzwiach, kiedy kątem oka dostrzegł na stole coś, co było prawie niewidoczne pośród porozrzucanego dokoła sprzętu audio. - Zaczekaj.

- Co jeszcze? - szepnął Jojo.

- Sam nie wiem. Daj mi chwilę.

Na stoliku stało nieduże drewniane pudełko. Tommy Boy podniósł je i otworzył. Jojo zajrzał mu przez ramię.

- Co to, kurwa, jest?

- Nie wiem, ale się dowiem.

Przez chusteczkę wyjął gruszkę z pudełka, położył na stole i zrobił kilka zdjęć, a potem odłożył ją na miejsce.

- Teraz idziemy.

Zamknął drzwi, wytarł zamek i gałkę. Po chwili byli już na Long Island Expressway i jechali w stronę Howard Beach.

- Już wiem - oznajmił Jojo. - Ten biały kombinezon. Jeden z tych gliniarzy to Czyściciel.

- Obydwaj.

- Właśnie to powiedziałem. Ale kim jest ta dziewczyna?

Tommy Boy powiedział mu.

- Jesteś pewny, że to ona?

- Co wieczór pokazują jej twarz w telewizji.

- Nie było jej w ESPN.

- Ale była w *Daily News*. Nie widziałeś jej w gazecie?

- Może. Nie pamiętam wszystkiego, co czytałem. A pisali tam coś o tym dziwnym korkociągu w pudełku?

- Nie.

Jojo wyciągnął komórkę.

- Dzwonię do taty.

- Tylko zadzwoń na któryś z tych jednorazowych telefonów. Federalni mają wszystkie pozostałe na podsłuchu.

Jojo przerwał wybieranie numeru, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że jego ojciec jest głową mafii i FBI podsłuchuje go już od lat.

- Dobry pomysł. Lepiej, żeby federalni tego nie słyszeli. Wiesz co, ty wielki głąbie, czasem nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

- Dzięki, szefie. Żaden ze mnie geniusz, ale mam swoje momenty.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Ze wszystkich elitarnych jednostek naszego departamentu najtrudniej się dostać do Red. Jest nas tylko siedemdziesiąt pięć osób rozrzuconych po całym mieście i co najmniej tysiąc chętnych kandydatów. Ale jeszcze nigdy nie spotkałem dwóch policjantów, którzy mieliby większe kompetencje i chęci, żeby się dostać do Red, niż Casey i Bell, dwaj detektywi z programu przeciwdziałania przestępczości, którzy ocalili mi tyłek przy karuzeli w poniedziałek rano. Doskonale potrafią się kamuflować, są szybcy w działaniu, a także, jak to skomentowała Kylie, zawsze gotowi rozbić kilka jajek, żeby zrobić omlet.

Kiedy poprosiliśmy ich, żeby śledzili Donovana i Boyle'a, zgodzili się, a kiedy wytłumaczyliśmy, po co mają to robić, Bell zadał tylko jedno pytanie:

- Czy Biuro Spraw Wewnętrznych wie, że zatrudniacie gliniarzy do śledzenia innych gliniarzy?

- Nie - powiedziałem. - Jeśli się dowiedzą, to będą śledzić nas wszystkich.

- Nie martwcie się - odrzekł. - Nie dowiedzą się.

Zadzwoił do mnie o szóstej po południu, że nie mogą się już doczekać, żeby nam opowiedzieć, co udało im się osiągnąć pierwszego dnia. Zaproponowałem spotkanie w Uskudar, małej tureckiej restauracji przy Drugiej Alei. Logicznie i strategicznie był to doskonały wybór. Z knajpki było zaledwie kilka minut piechotą od naszego komisariatu, ale bez cienia ryzyka, że pojawi się tam ktoś ze znajomych. Być może na moją decyzję wpłynęło również to, że mieli naprawdę dobrą musakę.

Czekali na nas przy stoliku na tyłach sali. Patrząc na ich

uśmiechy, sam nie wiedziałem, kto jest bardziej podniecony, my czy oni. Zamówiliśmy piwo oraz kilka przystawek i przeszliśmy do rzeczy.

- Jeśli pomożemy wam rozwiązać tę sprawę, to czy będziemy mieli szansę przejść do Red? - zapytał Bell.

- Niczego nie mogę obiecać - odparłem. - Ale mogę powiedzieć wam jedno: jeśli nie rozwiążemy tej sprawy, to my mamy bardzo duże szanse, że nie będziemy już pracować dla Red.

- Dlatego proszę, powiedzcie nam, że zrobiliście zdjęcia Donovanu i Boyle'a w sklepie z kombinezonami ochronnymi - dodała Kylie.

Casey wybuchnął śmiechem.

- Nie mamy aż tak rewelacyjnych zdjęć. Mamy złe wiadomości, dobre wiadomości i świetne wiadomości.

- Zaczynajcie od tych złych, a potem dawajcie coraz lepsze. - Wepchnąłem do ust wielki kawał ciepłego chleba pita i popiłem zimnym piwem.

- Ósma trzydzieści dzisiaj rano. - Casey położył na stoliku iPhone'a i znalazł zdjęcie Donovanu, który wychodził ze Starbucksu, niosąc dwa kubki owinięte tekturowymi osłonami. - Połączyliśmy siły naszych przenikliwych detektywistycznych intelektów i doszliśmy do wniosku, że przyszli na kawę.

- Ale po dwóch minutach pojawiła się przeszkoda - podjął Bell. - Wezwał nas sierżant. Jakiś łepek wyrwał torebkę kobiecie w parku. Wystarczyłoby do tego dwóch krawężników, ale ofiarą była brytyjska niańka zatrudniona w rodzinie dyplomaty, więc padło hasło na temat wszystkich rąk i pokładu, no i musieliśmy przeczesać cały teren. Przez cztery godziny nie mogliśmy się wyrwać, dlatego ponownie zajęliśmy się Donovanem i Boyle'em dopiero o pierwszej.

- Zjedli lunch w Big Wong King na Mott Street. - Casey znów przejął pałeczkę. - Potem pojechali do zgłoszenia kradzieży w sklepie optycznym przy Franklin Street, a potem wezwano ich do buddyjskiej świątyni Pu Chao przy Eldridge Street.

- Nie dosłyszeliśmy przez radio, po co ich tam wzywano, ale zajęło im to tylko dwadzieścia minut, więc doszliśmy do wniosku, że to nie było żadne poważne przestępstwo - wtrącił Bell. - Może ktoś przeszkodził mnichom we wspinaczce na wyższy poziom oświecenia.

Kylie i ja roześmialiśmy się. Praca z tymi dwoma była o całe lata świetlne przyjemniejsza niż z Donovanem i z Boyle'em.

Casey pośpiesznie przerzucił zdjęcia z restauracji, ze sklepu optycznego i z buddyjskiej świątyni.

- Wszystkie te miejsca są w rejonie piątki - zauważyła Kylie. - Czyli trzymali się swojego rewiru.

- Mniej więcej do trzeciej po południu - przytaknął Casey. - Potem pojechali do sklepu przy Wschodniej Pięćdziesiątej Piątej.

Przeciągnął palcem po następnym zdjęciu.

- Jasny gwint - mruknęła Kylie. - To jest sztab wyborczy Muriel Sykes.

- Nie wiecie, czy Sykes też tam była? - zapytałem.

Casey pokazał następne zdjęcie. Przedstawiało całą trójkę: Donovana, Boyle'a i Sykes.

- Nie mamy pojęcia, o czym rozmawiali, bo byliśmy za daleko, żeby usłyszeć, ale spędzili tam ponad godzinę.

- Jeśli to są te dobre wiadomości, to nie mogę się już doczekać doskonałych - powiedziałem.

Casey z uśmiechem pokazał kolejne zdjęcie. Przedstawiało młodą, ładną kobietę o kręconych rudych włosach.

- To ta niańka, której wyrwano torebkę. Dała mi swój numer

i chce, żebym zadzwonił, kiedy będę miał wolny dzień.

Wyjąłem telefon z jego ręki i odnalazłem zdjęcie Donovana, Boyle'a i Sykes.

- Ja i Kylie szczerze podziwiamy twoje umiejętności podrywania ofiar, ale jeszcze bardziej cieszy nas to.

- To nam bardzo pomoże - dodała Kylie.

- Mieliliśmy nadzieję to usłyszeć - odparł Bell. - Ale za mało wiemy o tej sprawie, żeby zrozumieć dlaczego.

- Bo ci dwaj gliniarze, którzy mogą być Czyścicielem, są w dobrej komitywie z kandydatką, która ma wiele do zyskania, jeśli sprawa morderstw nie zostanie rozwiązana - wyjaśniłem. - Mogę się założyć, że Donovan i Boyle pojawili się wczoraj i próbowali wyciągnąć od nas, co się da, żeby przekazać to wszystko Sykes.

- To znaczy, że są podwójnymi agentami - zauważył Bell.

- Oględnie mówiąc - stwierdziła Kylie. - Mnie się to bardziej kojarzy ze skorumpowanymi gliniarzami. Zach ma rację. W krótkim czasie osiągnęliście bardzo wiele. Dziękujemy.

- Proszę bardzo - odpowiedział Casey. - Ale to działa w obie strony. Bardzo się cieszymy, że przydarzyła się okazja popracować z Red, więc my również dziękujemy panu, detektywie Jordan, i pani, detektyw MacDonald.

- Dzielimy się tu chlebem i piwem - powiedziała Kylie. - Nie musicie się zachowywać tak oficjalnie. Mam na imię Kylie, a to jest Zach.

- Kylie i Zach - powtórzył Casey. - Ja mam na imię Dave.

Bell podniósł piwo w toaście.

- A ja Gideon.

CZEŚĆ TRZECIA

LA FAMIGLIA FORNIRÀ GIUSTIZIA

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Poniedziałek zaczął się o wiele za wcześnie. Moja komórka zadzwoniła dwie minuty po trzeciej nad ranem. Sięgnąłem po nią po omacku i skupiłem wzrok na nazwisku dzwoniącego, które świeciło w ciemności. Delia Cates.

Wciąż byłem otępiały i przychodził mi do głowy tylko jeden powód, dla którego szefowa mogłaby do mnie dzwonić w środku nocy. Mianowicie dowiedziała się, że ja i Kylie nic sobie nie robimy z hierarchii służbowej i mamy w nosie naszą podległość kapitańskiej szarży. Dlatego nie była w stanie doczekać do rana, żeby przydzielić mi nowe zadanie, mianowicie wypisywanie mandatów nielicencjonowanym sprzedawcom ulicznym w Jackson Heights.

Przycisnąłem zielony guzik i wymamrotałem coś, co w bardzo dużym przybliżeniu brzmiało jak:

- Jordan, słucham.

- Sprawa Rachael O'Keefe właśnie eksplodowała - powiedziała Cates. - Chcę widzieć ciebie i MacDonald w Gracie Mansion za dwadzieścia minut.

Natychmiast się obudziłem.

- Co się dzieje z O'Keefe?

- Powiem ci, kiedy tu będziesz. Zadzwoń do swojej partnerki.

Powtarzam: Gracie Mansion. Jasne?

- Tak, jas...

Rozłączyła się.

Włączyłem lampkę nad wezglowiem łóżka. Cheryl obróciła się na plecy. Czarne jak smoła włosy opadły kaskadą na jasnoniebieską poduszkę, karmelowa skóra zaśniła w świetle

lampki.

Przerzuciłem nogi na podłogę i usiadłem na krawędzi łóżka.

- Mm, nie idź - wymamrotała. Usiadła i prześcieradło osunęło się z jej piersi.

Nie mogłem uwierzyć, że żyję w świecie, w którym kobieta tak piękna i warta pożądania jak Cheryl leży obok mnie naga, a ja wyskakuję z łóżka i naciągam spodnie, ale to właśnie zrobiłem.

- Muszę.

- Kto dzwonił?

- Komisarz policji. Dowiedział się, że śpimy ze sobą.

Rzuciła mi senny uśmiech.

- Chce cię wyrzucić z pracy?

- Do diabła, nie. Chce mi dać medal. Śpij dalej.

Pochyliłem się i pocałowałem ją. Otoczyła mnie ramionami i dotknęła językiem mojego języka. Jej dłoń powoli przesunęła się po moich plecach, wpełzła pod pasek i ścisnęła mój *gluteus maximus*. Poczulem ciepłe, miękkie usta tuż przy swoim uchu.

- Zostań jeszcze dziesięć minut. Obiecuję, że to będzie najlepsze dziesięć minut z całego dnia.

- Zabijesz mnie - jęknąłem, próbując się od niej oderwać.

- Wiem - wymruczała. - Ale umrzesz szczęśliwy.

Jej dłoń znalazła sobie nowe miejsce spoczynku. Przestałem się wrywać.

- Mam problem, pani doktor - mruknąłem prosto do jej ucha. - Właśnie zdarzyło się coś poważnego w związku z porwaniem O'Keefe. Cates kazała mi być u burmistrza za dwadzieścia minut. Ale z drugiej strony coś poważnego zdarzyło się również w moim życiu osobistym i naprawdę nie wiem, co zrobić.

Odsunęła rękę i usiadła prosto.

- Mówisz poważnie? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?

Idź!

- Dzięki za zrozumienie. - Jeszcze raz pocałowałem ją w usta. - Z całą pewnością wrócę, żeby kontynuować to, co zaczęliśmy.

Pojawienie się w pracy we wczorajszym ubraniu działa na plotkarzy jak czerwona płachta. Na takie właśnie okazje miałem swoją szufladę w mieszkaniu Cheryl. Złapałem czystą koszulę i zadzwoniłem do Kylie. Powiedziałem jej, co, gdzie i jak, i już chciałem się rozłączyć, gdy w tle usłyszałem męski głos.

- Kto dzwoni? Co się dzieje?

To był głos Spence'a.

- Śpij dalej - powiedziała Kylie i rozłączyła się.

Musiałem się roześmiać. Byłem pewny, że jej nie chce się wychodzić z łóżka tak samo jak mnie.

Tym razem życie okazało się sprawiedliwe. Równo wyrolowało nas oboje.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Dotarłem do Gracie Mansion o trzeciej dwadzieścia sześć. Kylie czekała już przy budce strażnika.

- Jak, do diabła, udało ci się tu dotrzeć tak szybko?

- Szczycę się swoją punktualnością. To znak rozpoznawczy najlepszych policjantów.

- Zasłużyłem sobie na to - skomentowałem, wchodząc na schody prowadzące do frontowych drzwi rezydencji.

- Poza tym chyba pamiętasz, że spędziłam noc w mieszkaniu Shelleya? To tylko o pięć przecznic stąd. Przyszłam tu piechotą.

Nie zapomniałem o tym, ale gdy usłyszałem głos Spence'a, natychmiast pomyślałem, że Kylie spędziła noc w centrum, we własnym łóżku. Widocznie jednak to Spence przywłókł się tutaj. A może to nie był głos Spence'a?

A może to nie jest moja sprawa?

Wszyscy czworo siedzieli w gabinecie burmistrza przy stole konferencyjnym. Burmistrz Spellman, Irvin Diamond, kapitan Cates i komisarz Richard Harries.

My również usiedliśmy, a komisarz zaczął mówić:

- Wczoraj wieczorem pewne małżeństwo mieszkające przy Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy, Larry i Clare Bertoli, wyszło z domu o siódmej piętnaście i udało się do teatru. Podczas pierwszego aktu pani Bertoli źle się poczuła, więc wrócili do domu i zaskoczyli włamywacza. Znali go, to był ich portier. Nie próbował uciekać, tylko usiadł na kanapie i rozkleił się. Pani Bertoli zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Włamywacz został zaareztowany i zabrany na dziewiętnastkę, gdzie mundurowi

przekazali go detektywom w celu przesłuchania.

Wiedziałem, że nie ściągnął nas tu o tej porze, żeby opowiadać o zwykłym włamaniu. Cates powiedziała mi już, że sprawa Rachael O'Keefe eksplodowała, więc czekałem na bombę. Ale znam Richarda Harriesa. Jest upierdliwie dokładny i potrzebuje czasu, żeby dojść do sedna.

- Śledczym jest detektyw Sal Catapano - mówił dalej. - Ma dwadzieścia jeden lat praktyki i gdy tylko wszedł do pokoju przesłuchań, zrozumiał, że ma w rękach sprawę na pierwsze strony gazet. Portier nazywa się Vidmar, Calvin Vidmar.

To była ta bomba. Popatrzyłem na Kylie. Ona też o tym wiedziała.

- Kojarzycie nazwisko - stwierdził Harries na widok naszej reakcji.

- Tak, sir - powiedziała Kylie. - Vidmar miał zmianę tamtej nocy, gdy córka Rachael O'Keefe została zamordowana. Świadczył przeciwko niej w sądzie.

- W tym rzecz. - Harries skinął głową. - Okazuje się, że nie jest praworządnym obywatelem, jakim przedstawiała go prokuratura, tylko złodziejem. Wszyscy lokatorzy na wszelki wypadek zostawiają na portierni zapasowe klucze. Vidmar wyjmował klucz z pudełka, wchodził do mieszkania i zabierał sobie coś niedużego, zwykle jedną czy dwie sztuki biżuterii. Jeśli znalazł pieniądze, brał trochę, ale nie tak dużo, żeby to zostało zauważone. A nawet jeśli ofiary zauważyły, że czegoś brakuje, to nie zgłaszały kradzieży, sądząc, że trochę dolarów czy jakaś broszka gdzieś się zapodziały. W jednym przypadku szczególnie czujny lokator wyrzucił sprzątaczkę, podejrzewając, że to ona kradła.

- Czy są jakieś dowody, że portier był w mieszkaniu O'Keefe tamtej nocy, kiedy Kimi została zamordowana? - zapytałem.

- Catapano zdobył nakaz rewizji, przeszukał mieszkanie Vidmara na Bronksie i znalazł kilka sztuk biżuterii, których tamten nie zdążył upłynnić. Oraz to. - Położył na stole zdjęcie przedstawiające Mookie, wypchaną różową małąkę identyczną jak ta, która zginęła z sypialni Kimi O'Keefe.

- Ile czasu trzeba, żeby zrobić analizę DNA i stwierdzić, że to jej małąka? - zapytała Kylie.

- Nie musimy czekać. Catapano powiedział Vidmarowi, że lepiej dla niego będzie, jeśli przyzna się do wszystkiego teraz niż później, kiedy zgromadzone dowody będą świadczyć przeciwko niemu. Znow zaczął płakać i przyznał się do wszystkiego. To było spartaczone włamanie. Dziewczynka obudziła się i zaczęła krzyczeć. Wpadł w panikę, przyłożył jej poduszkę do twarzy i wiecie, co było dalej. Nie chciał jej zabić, to się po prostu zdarzyło. Wrzucił jej ciało do worka na śmieci, zostawił, żeby zabrała je śmieciarka, i pozwolił, żeby wina spadła na matkę.

Czułem się tak, jakbym stał w samym epicentrum wybuchu w Hiroszynie. Ława przysięgłych nie pomyliła się. Rachael mówiła prawdę.

- Więc może teraz przestaną się mnie czepiać, że wypuściłem dzieciobójczynię - powiedział burmistrz.

- Panie burmistrzu, jeśli podamy do publicznej wiadomości, że O'Keefe jest niewinna, tym samym skazemy ją na śmierć - oznajmił komisarz. - Porywacze chcieli wydobyć z niej wyznanie torturami, ale jeśli się dowiedzą, że to Vidmar jest winny, zabiją ją na miejscu.

- A jeśli sądzisz, że ludzie cię znienawidzili, bo O'Keefe wyszła wolno - dodał Irvin - to znienawidzą cię jeszcze bardziej, gdy się okaże, że była niewinna, nie dostała ochrony policyjnej, o którą prosiła, i z tego powodu została zamordowana za twojej kadencji.

- W takim razie na czym, do diabła, stoimy w sprawie Czyściciela? - Burmistrz popatrzył prosto na mnie.

Nie mogłem powiedzieć Cates, że bez jej pozwolenia kazaliśmy śledzić dwóch policjantów, z pewnością nie mogłem też powiedzieć burmistrzowi, że Muriel Sykes spędziła całą godzinę za zamkniętymi drzwiami z naszymi dwoma głównymi podejrzanymi. Zastanawiałem się, co w takim razie mam powiedzieć, gdy wtrącił się Diamond:

- Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, zamierzaliście sporządzić listę osób, które wiedziały, dokąd wybiera się O'Keefe po wypuszczeniu z aresztu. Przepytaście ich wszystkich?

- Zostały nam jeszcze dwie osoby z biura prokuratora. Mieliśmy zamiar złapać je dzisiaj rano.

- Te cholerne wybory są za cztery dni - powiedział Spellman. - Nie mam czasu, żebyście łapali ich rano. Porozmawiajcie z nimi teraz. Dowiedzcie się, gdzie mieszkają, i wyciągnijcie ich z łóżek.

- Spojrzał na komisarza. - Richard, nie ma już czasu na pieprzenie się. Znajdź ją.

Komisarz podlega bezpośrednio burmistrzowi. Harries wiedział, że jeśli Spellman przegra wybory, on też poleci ze stanowiska.

Popatrzył na Kylie i na mnie.

- Z kim z biura prokuratora jeszcze nie rozmawialiście?

- Z asystentem Wilsonem i jedną z jego asystentek.

- Niech to szlag - mruknął Harries. - Mick Wilson to ostatnia osoba, jaką chciałbym budzić w środku nocy.

- To znaczy, że nie będziemy go budzić? - zapytałem.

- Niech go diabli. Będziemy, ale jako ostatniego. Najpierw obudzimy asystentkę.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

W całej swojej karierze zebrałem sporo ciosów, ale ten był najmocniejszy. Zupełnie nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Byłem tego samego zdania co cała reszta świata: uznałem Rachael O'Keefe za najgorszą matkę w Ameryce i zastanawiałem się, czy moje uprzedzenia mają jakiś wpływ na motywację do poszukiwań.

East End Avenue była ciemna, pusta i dziwnie mnie uspokajała. Jechaliśmy w milczeniu, próbując jakoś przetrwać to, co przed chwilą usłyszeliśmy.

W końcu Kylie przerwała ciszę.

- Biedna, nieszczęśliwa kobieta. Jej córka została zamordowana. Musiały ją przytłaczać wyrzuty sumienia, a potem została oskarżona i nikt jej nie wierzył. Nikt, łącznie ze mną. - Powoli obróciła się na fotelu i oparła dłoń na moim kolanie. Byłem bez reszty na niej skupiony. - Zach...

To było wszystko. Tylko moje imię, pojedyncza sylaba, która zawisała w powietrzu pośród splątanych emocji - współczucia, złości, a nade wszystko surowej siły charakteru, która sprawia, że Kylie MacDonald jest kobietą, jaką chce się mieć u boku, i partnerką, jaką chce się mieć za plecami.

Zwolniłem, stanąłem na czerwonym świetle i obróciłem się twarzą do niej. Podniosła rękę z mojego kolana. W ciemności nie mogłem być tego pewien, ale miałem wrażenie, że oczy mojej twardej jak hartowana stal, bezkompromisowej partnerki zaszyły łzami.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Kylie, i zgadzam się z tym. Priorytet numer jeden: musimy ją znaleźć. Żywą.

- Bez względu na wszystko - dodała. - Bez względu na to, ile durnych zasad będziemy musieli złamać.

Też to wiedziałem.

Asystentka Micka Wilsona mieszkała przy Czterdziestej Siódmej Ulicy i Dziewiątej Alei. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się Starbucks, ale o czwartej piętnaście rano był równie ciemny jak wszystko inne. Może gdybym wypił wcześniej kawę albo spał o kilka godzin dłużej, zwróciłbym uwagę na to, że nazwisko młodej prawniczki, z którą mieliśmy zamiar porozmawiać, brzmi znajomo. Ale to dość popularne nazwisko, szczególnie w policji i straży pożarnej miasta Nowy Jork.

Przedstawiliśmy się przez domofon, weszliśmy na trzecie piętro i zastukaliśmy do drzwi. Nie otworzyła.

- Przepraszam, ale z zasady nie wpuszczam nikogo obcego - powiedziała. - Jeśli jesteście prawdziwymi policjantami, to zrozumiecie. Muszę zobaczyć identyfikatory. Podnieście je do wizjera.

Najpierw Kylie, a potem ja pokazaliśmy jej odznaki i identyfikatory, ale to jeszcze nie wystarczyło.

- Wyglądają na prawdziwe - powiedziała zza drzwi. - Ale wyjaśnijcie mi, po co tu przyszliście?

Rozpoznałem ten syndrom. Kiedyś w życiu musiała paść ofiarą przestępstwa i nigdy nie pozbyła się traumy. Samym ruchem ust powiedziałem do Kylie:

- Ktoś na nią kiedyś napadł.

- Albo jeszcze gorzej - odpowiedziała również bezgłośnie.

Ruchem ręki kazała mi się odsunąć od drzwi i stanęła tuż przed wizjerem.

- Meredith, przepraszamy, że musieliśmy tu przyjść w środku nocy, ale nie możemy czekać do rana. Należałaś do zespołu

prokuratora w sprawie O'Keefe. Rachael została porwana, a my potrzebujemy twojej pomocy.

Rozległ się szcęk zamka, potem drugiego i drzwi otworzyły się.

- Wejdźcie - powiedziała. - Przepraszam, jeśli wydaję się paranoiczką. Mick mówił, o co pytacie. Kazałam mu przekazać, że wiedziałam, gdzie Rachael wybiera się po wypuszczeniu z aresztu, ale nikomu o tym nie mówiłam.

- Mick nic nam nie przekazał - odparłam. - Więc skoro już tu jesteśmy, to może usłyszymy o tym bezpośrednio od ciebie?

- Jasne. - Błady uśmiech nie był w stanie zamaskować zdenerwowania.

Też byłem zdenerwowany, ale wiedziałem, że nie mogę zaatakować jej z impetem.

- Meredith - powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem. - Mówisz, że wiedziałaś, dokąd Rachael się wybiera, ale nikomu o tym nie wspomniałaś. Znamy twoją reputację i jesteśmy pewni, że tak było.

- Jestem urzędnikiem sądowym - powiedziała.

- A skoro pracujesz u Micka Wilsona, to na pewno jesteś znakomita. Facet jest bardzo wymagający.

Roześmiała się.

- To bardzo oględny sposób na określenie bezlitosnego perfekcjonisty, ale taka jest prawda. Ogromnie się cieszę, że mam możliwość pracować dla człowieka takiego kalibru jak Mick.

- Wróćmy zatem do tamtego wieczoru. Co robiłaś po wydaniu werdyktu?

- A jak sądzicie? - Złożyła palce prawej ręki w półkole i trzykrotnie podniosła do ust.

Pomimo dziwnej pory i zdenerwowania doskonale wyglądała bez makijażu i z potarganymi, gęstymi ciemnorudymi włosami.

Można było śmiało założyć, że taka ładna dziewczyna nie pija sama.

- Też bym tak zrobił. - Uśmiechnąłem się. - Znalazłbym jakiś bar i spróbował utopić żal. Z kim tam byłaś?

- Z kolegami z pracy. Niektórzy wiedzieli, gdzie Rachael się ukryła, inni nie. Przegrana w tej sprawie była dla nas potężnym ciosem, więc owszem, wszyscy piliśmy sporo, ale nie rozmawialiśmy o tym, dokąd pojechała. Przez większość czasu po prostu wylewaliśmy żal i narzekaliśmy na Czarodzieja.

- Na co?

- Na Czarodzieja, Dennisa Wolocha, obrońcę. Znowu rzucił swoje prawnicze czary na ławników i przekonał ich, że istnieją uzasadnione wątpliwości. Prowadził tę sprawę pro bono. Rachael miała szczęście, że się nią zajął.

Wielkie szczęście. Przy każdym innym obrońcy zostałaaby skazana, siedziałaby teraz bezpiecznie w więzieniu i nie zostałaaby porwana dwa dni przed tym, zanim prawdziwy morderca przyznał się do winy. Należy zdjąć kapelusz przed Panem Czarodziejem.

- Przepraszam - wtrąciła Kylie, która dyskretnie rozglądała się po niewielkim salonie, gdy ja rozmawiałem z Meredith. - Kto to jest?

Wzięła do ręki oprawioną w ramkę czarno-białą fotografię, która stała na stoliku w kącie. Zdjęcie przedstawiało policjanta w mundurze NYPD.

- Mój tato - wyjaśniła Meredith. - Zginął na służbie.

- Przykro mi - powiedziała Kylie. - Co się stało?

- Rozpracowywał gang rosyjskich handlarzy bronią. Działał jako wtyczka, ale jego tożsamość wyszła na jaw i zabili go... - Przerwała na moment. - Ale najpierw on zabił dwóch. Dostał medal zasługi.

Wyjąłem zdjęcie z rąk Kylie. Przedstawiało przystojnego mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat. Wyglądał identycznie jak policjant, z którym piłem piwo ostatniego wieczoru. Nie potrzebowałem już kawy. W moich żyłach wrzała adrenalina.

- Jak się nazywał twój ojciec? - zapytałem.

- David, David Casey.

W duchu dałem sobie kopniaka.

- Znam detektywa Dave'a Caseya. Pracuje w oddziale przeciwdziałania przestępczości.

Uśmiechnęła się z wyraźną dumą.

- To mój brat. Skąd pan go zna?

- Pomógł nam. Porządny facet. Czy to możliwe, żeby wspomniała mu pani coś o Rachael?

- Nie, tamtego wieczoru prawie nie rozmawiałam z Dave'em. Wróciłam do domu ze swoim chłopakiem.

- A czy jemu coś pani powiedziała? - zapytała Kylie.

Bardzo się starała, żeby zabrzmiało to niewinnie, ale Meredith natychmiast przyjęła postawę obronną.

- Nie - oznajmiła krótko, ale zaraz dodała: - To znaczy... nie wiem. Byłam nieszczęśliwa i piłam, aż urwał mi się film.

Kylie przystąpiła do ataku:

- Więc to możliwe, że coś pani powiedziała, tylko teraz pani nie pamięta?

- Zupełnie jakbym rozmawiała z prawnikiem, a nie z policjantką. Mogłam coś powiedzieć, ale to mało prawdopodobne.

- Ale jest możliwe, że pod wpływem alkoholu coś się pani wymknęło? - Kylie uśmiechnęła się. - Wie pani, bezwiednie.

Meredith uczepliła się tego słowa jak koła ratunkowego.

- Kto wie? Jasne, mogłam bezwiednie coś powiedzieć, ale to nie ma znaczenia, bo mój chłopak też jest policjantem. Znam go od dzieciństwa. To partner mojego brata. Skoro znacie Dave'a, to jego pewnie też. Detektyw Bell, Gideon Bell.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

To był już drugi mocny cios w ciągu ostatniej godziny, ale ten miał o wiele bardziej osobiste zabarwienie. Wybuchnąłem, ledwie wsiedliśmy do samochodu.

- Jestem idiotą!

- Nie przypisuj sobie całej zasługi - mruknęła Kylie. - Mnie też nabrali. W naszym dwuosobowym zespole mamy dwoje idiotów.

- Ścigaliśmy nie tych policjantów, co trzeba.

- Zach, wiem. Domyśliłam się.

- Przypominam sobie tę sytuację przy karuzeli. Powiedzieli, że spędzili w parku całą noc jako przynęta. Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, była taka, że mam szczęście. Mojej partnerki jeszcze nie ma, więc bogowie od zabójstw zesłali na pomoc dwóch bystrych gliniarzy.

- Oni są bystrzy, Zach. Czy sądzisz, że Meredith też bierze w tym udział?

- Wątpię. Za dużo nam powiedziała. Gdyby miała jakieś pojęcie o tym, co się dzieje, nie wydusilibyśmy z niej ani słowa. Myślę, że nasi niedawno poznani najlepsi przyjaciele rozegrali to z nią w taki sam sposób jak z nami. Powiedziała Gideonowi, gdzie można znaleźć Rachael O'Keefe, ale była tak pijana, że potem w ogóle o tym nie pamiętała.

Nie zapalałem jeszcze silnika. Z całej siły uderzyłem dłonią w deskę rozdzielczą.

- Cholerny Starbucks! - wrzasnąłem w stronę ciemnego okna po drugiej stronie ulicy. - Czy oni nie wiedzą, że o wpół do piątej rano ludzie potrzebują kawy?

- Weź się w garść - poradziła Kylie. - Na Czterdziestej Drugiej

naprzeciwko poczty jest 7-Eleven. Uspokój się i jedź.

- Wiesz, co jest najgorsze? - powiedziałem, przejeżdżając przez kolejne czerwone światła na Dziewiątej Ulicy.

- Wiem. Przechytrzyli cię. Ja też nie jestem z tego powodu szczęśliwa, ale mężczyźni kompletnie rozpadają się na kawałki, gdy inny facet okaże się lepszy.

- Nie rozpadam się na kawałki, tylko czuję się jak ostatni kretyn. Zaprosiłem ich do kręgu wtajemniczonych i prosiłem, żeby pomogli nam śledzić Donovana i Boyle'a. To tak, jakby poprosić lisa, żeby doglądał kurnika.

- Popatrz na jasną stronę - poradziła Kylie.

- A możesz mi powiedzieć, gdzie świeci to słońeczko?

- Szukaliśmy Czyściciela i wiele wskazuje na to, że właśnie go znaleźliśmy.

Zatrzymałem samochód przy bezwzględnym zakazie parkowania przed 7-Eleven.

- Ale jak mamy to udowodnić, zanim oni się dowiedzą, że Rachael O'Keefe do niczego już nie jest im potrzebna, i zabiją ją? Nie możemy ich aresztować. Na jakiej podstawie? Że mogli wiedzieć albo nie wiedzieć, gdzie Rachael się ukrywa?

- A może poprosimy Matta Smitha, żeby sprawdził lokalizacje ich komórek? To nam powie, czy byli w pobliżu domu Rachael, kiedy ją porwano.

- Oni są za sprytni, żeby zostawiać za sobą takie cyfrowe okruszki, a nawet gdyby, to sam fakt, że tamtej nocy byli w New Jersey, nie wystarczy, żeby im cokolwiek udowodnić.

- Może udałoby się przekonać Alnę Hooks, żeby Shawn obejrzał zdjęcia - powiedziała Kylie.

- Trzynastoletni czarny pośrednik w handlu narkotykami pokazuje palcem dwóch białych gliniarzy. To będzie mocny

dowód w sądzie.

- Mam pomysł, którego na pewno nie będziesz w stanie utracić
- powiedziała na to Kylie. - Ale najpierw kupię ci kawę.

- Dobry pomysł. To będzie już pierwsza z kolei.

Wysiadła, a ja spróbowałem się skupić. Ford interceptor w odróżnieniu od większości policyjnych samochodów ma ruchome oparcie w fotelu kierowcy, więc odchyliłem je do tyłu i przymknąłem oczy. Do tej pory przez cały czas tworzyłem sobie w głowie obraz Donovana i Boyle'a, którzy przekonują Alexa Kanga, Antoine'a Tinsdale'a i Evelyn Parker-Steele, żeby wsiedli z nimi do samochodu. Teraz musiałem cofnąć tę taśmę i na ich miejscu umieścić Caseya i Bella.

To Casey siedział za kierownicą, gdy jechali Drugą Aleją. Bell był przystojniejszy, więc z pewnością to on siedział z tyłu i rozmawiał z Evelyn. Wsiadła do samochodu, pojechali na Queens, a potem obraz się zaczerniał.

To była odsłona pierwsza.

Przejrzałem ten sam scenariusz z Kangiem i Tinsdale'em. Bell z pewnością zachowywał się inaczej, ale wystarczyło, że pokazał policyjny identyfikator, żeby wsiedli do samochodu.

Ale to nie miało znaczenia. Odgrywanie tej sytuacji w wyobraźni z Caseyem i Bellem zamiast Donovana i Boyle'a w niczym mi nie pomogło. Odsłona druga. Odsłona trzecia.

I wtedy uderzyła mnie pewna myśl. Powinienem mieć cztery odsłony. O czymś zapomniałem. A raczej o kimś. Sebastian Catt.

Gdy drzwi samochodu otworzyły się, usiadłem prosto.

- Śpisz w pracy? - Kylie wsunęła się na fotel i podała mi kartonowy kubek.

- Myślę o pracy. - Zdjąłem pokrywkę, żeby zapach świeżej kawy dotarł do mojego umysłu.

- Aha... Może w takim razie wymyśliłeś coś, o czym warto wspomnieć?

- Tak, chyba coś mam. - Upiłem pierwszy łyk. - Nie, jestem pewny, że coś mam.

Nałożyłem pokrywkę na kubek i zapaliłem silnik.

- Mówisz poważnie? Masz jakieś dowody, które pozwolą połączyć Caseya i Bella z jednym z tych przestępstw?

- Nie mam, ale i ty, i ja znamy kogoś, kto je ma.

- Tak?

- Tak, panienko. - Zawróciłem na Czterdziestej Drugiej Ulicy i ruszyłem na wschód. - Znamy kogoś takiego.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

O piątej rano przelecieliśmy przez miasto i po dziesięciu minutach znaleźliśmy się na Wschodniej Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy, przy budynku, w którym mieszkał Horton LaFleur. Nacisnąłem dzwonek mieszkania 1A i cofnąłem się.

- Jeden dzwonek nie wystarczy na tego starego drania - powiedziała Kylie. - Ciśnij, póki nie otworzy.

Cisnąłem, ale nie otworzył.

- Odsuń się. - Kylie zaczęła naciskać wszystkie po kolei guziki domofonu. Ktoś w końcu nas wpuścił. Wpadliśmy do korytarza i zadudniliśmy pięściami w drzwi mieszkania 1A, krzycząc: - Policja!

- Macie nakaz? - wrzasnął LaFleur zza drzwi.

- Nie potrzebuję nakazu. Mam nogę i jeśli nie otworzysz, to wywalę drzwi kopniakiem.

Ja bym to zrobił inaczej, ale metoda okazała się skuteczna. LaFleur otworzył drzwi, zastawiając je swoim kościstym ciałem i butlą tlenowa na kółkach, którą za sobą ciągnął.

- Czego, do cholery, chcecie? - Zacisnął zęby, a ścięgna na jego szyi napięły się jak struny. - Szukacie mordercy? Macie go. Proszę, panienko. Tu jestem. To ja to zrobiłem. Zabiłem ich wszystkich. Możesz mnie aresztować. Zakuj mnie w kajdanki albo spieprzaj stąd.

Niektórzy policjanci w takiej sytuacji być może cofnęliby się, ale nie Kylie, a zwłaszcza nie w tej chwili.

- Nigdzie się nie wybieramy - oznajmiła. - Mamy kilka pytań. Może pan na nie odpowiedzieć tutaj albo możemy zaciągnąć pański żaloszny tyłek na komisariat.

- Mówiłem już, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Słyszeliście kiedyś o prawie do zachowania milczenia? To jedna z wolności, za które oberwałem kulkę, więc wynoście się stąd, do cholery.

- Skuj go, Zach. Zabieramy go ze sobą.

- Dobra, dobra - wymamrotał LaFleur i pod nosem dodał jeszcze kilka niewyraźnych przekleństw. - Czego chcecie?

- Chcemy przesłuchać taśmę - oświadczyła Kylie.

LaFleur może i wyglądał jak typowy staruszek, który płacze się po korytarzach domu spokojnej starości, ale jego umysł działał szybko i sprawnie i natychmiast osiągnął stan gotowości do konfrontacji.

- Jaką taśmę? - zapytał niewinnie. - Tę, na której Sebastian Catt przyznaje, że zabił moją żonę? Nie mam kopii tego nagrania. Poszukajcie na YouTube.

- Mówiłam o nagraniu z podsłuchu, który pan założył w mieszkaniu Catta.

LaFleur szeroko otworzył oczy.

- Ja? Podsłuch? - Wydawał się zdziwiony, niemal przerażony tym oskarżeniem. - To musi być jakaś pomyłka. Nigdy niczego nie nagrywałem, więc jeśli nie macie więcej pytań, to wracam do łóżka. Miłego życia.

- Niech pan posłucha - powiedziała Kylie. - Rozumiemy, dlaczego nie chce pan nam pomóc złapać człowieka, który zabił Catta.

- Rozumiecie? - warknął. - W takim razie po co tu wróciliście?

Kylie stanęła tuż przed nim.

- Bo ten człowiek... nie, tych dwóch, którzy zabili Sebastiana Catta, teraz mają zamiar zabić niewinną kobietę. Kobietę równie niewinną jak pańska żona. Hattie zginęła, bo zrobiła to co

słuszne, i gdyby wiedziała, że przeszkadza nam pan w ujęciu dwóch morderców, to wyrwałaby panu z nosa tę pieprzoną rurkę z tlenem.

Horton zaniósł się kaszlem.

- Dobrze się pan czuje? - zapytałem.

- Nie. - Odsunął się od drzwi i wciągnął butlę tlenową do pokoju, a potem usiadł przy stole jadalnym służącym też za biurko. - Może mi pan dać szklanę wody?

Podszedłem do zlewu i napełniłem szklanę. Wypił powoli, a potem wziął kilka haustów tlenu. Kaszel ustał.

- Panie LaFleur - odezwała się znów Kylie. - Wiem, że zachowałam się brutalnie, ale ci dwaj ludzie, których pan chroni, właśnie zamierzają zamordować niewinną kobietę. Działamy w pośpiechu, żeby ich powstrzymać, nim zrealizują swój zamiar, i tylko pan może nam pomóc.

- Co to za kobieta?

- Nazywa się Rachael O'Keefe.

- Ta suka, która zabiła swoje dziecko? - zatchnął się.

- Ława przysięgłych uznała tę sukę za niewinną. To również jest jedna z wolności, za które oberwał pan kulkę. A prawdziwy morderca został schwytany ostatniej nocy i przyznał się do wszystkiego.

- Prawdziwy morderca? Dobrze to brzmi, panienko, ale ja tego nie kupuję. Sądzicie, że jestem taki głupi? O sprawie O'Keefe trąbią wszędzie, a ja nie mam przez cały dzień nic do roboty i oglądam CNN. Najpierw mówią, że O'Keefe jest winna, potem, że niewinna, a potem, że ją porwali. Nie nadążam za tą dziewczyną. A teraz wy mi mówicie, że prawdziwy morderca przyznał się do winy? Co to za kupa bzdur?

- To prawda - powiedziała Kylie.

- Gdyby to była prawda, już by o tym trąbili w telewizji. Wczoraj wieczorem nic takiego nie słyszałem. Może powiedzą teraz. - Sięgnął po pilota.

- Nic nie powiedzą - oświadczyłem. - Próbujemy nie dopuścić do wycieku tej wiadomości, bo jeśli tak się stanie, to ci dwaj, którzy porwali Rachael, nie będą próbowali wyciskać z niej wyznania, tylko zabiją ją na miejscu, żeby chronić własne tyłki.

LaFleur odłożył pilota i potrząsnął głową.

- Gliny cały czas łżą. Dlaczego miałbym wam wierzyć?

- Gównu mnie obchodzi, czy nam pan wierzy - powiedziała Kylie, wyciągając w jego stronę palec jak rozgniewana nauczycielka. - Albo powie nam pan wszystko, co pan wie, i pomoże powstrzymać ich przed zamordowaniem niewinnej kobiety, albo może się pan zamknąć, włączyć telewizor jutro rano i resztę życia spędzić na rozpamiętywaniu swojego największego błędu.

W pokoju panowało milczenie, słychać było tylko świst powietrza z butli, które wciągał w płuca samotny starzec. Potrzebował trochę czasu i daliśmy mu ten czas. Zdjęcie ślubne jego i Hattie wciąż stało na biurku. Wziął je do ręki i zatrzymał na nim wzrok.

- Podśluchiwałem Catta przez kilka miesięcy - powiedział w końcu, nie podnosząc wzroku znad zdjęcia. - Nie było trudno założyć posłuch, nawet w moim stanie. Miałem nadzieję, że powie coś, co pozwoli go oskarżyć. Ale mieszkał sam, więc niewiele gadał. Najwyżej przez telefon. Nie powiedział nic, co mogłoby się wiązać z zamordowaniem Hattie.

Odstawił zdjęcie, milczał przez chwilę. Milczeliśmy, by go nie rozpraszać.

- Ale się nie poddawałem. To się stało moim życiowym celem.

Tylko tym się zajmowałem i tylko o tym myślałem: jak go zmusić, żeby za to zapłacił? Zastanawiałem się nad zabiciem go, ale wiedziałem, co by powiedziała Hattie. Nie zniżaj się do jego poziomu. Więc podsłuchiwałem dalej. I pewnego wieczoru, koło jedenastej, usłyszałem, jak ktoś zadzwonił do drzwi Catta. Założyłem słuchawki. To byli dwaj gliniarze. W każdym razie przedstawili się jako gliniarze.

- Sądzi pan, że byli fałszywi?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jeden powiedział Cattowi, że chcą go zabrać na przesłuchanie. Zapytał, w jakiej sprawie, a na to drugi: „Figurujesz w kartotece jako przestępca seksualny. Chcesz z nami współpracować i pójść dobrowolnie czy mamy cię zakuć w kajdanki i zaciągnąć siłą?”. - Podniósł wzrok na Kylie. - Brzmi znajomo? Ten sam szajs, inni gliniarze. Miałem nadzieję, że zaczną walczyć i będą mieli okazję trochę mu przyłożyć, ale poszedł grzecznie, nawet nie pisnął.

- I już nie wrócił?

- Nie. Wiem, bo pilnowałem. Sprawdziałem też w wiadomościach. Miałem nadzieję, że oskarżą go o coś potężnego. Ale nic. A po trzech dniach zobaczyłem na pierwszej stronie *Posta* zdjęcie w tym kombinezonie ochronnym i pomyślałem, że ci gliniarze zrobili to, co ja bym zrobił, gdybym mógł. Nie zabili go tak po prostu. Dużo o tym myślałem. Zmusili go, żeby się przyznał do zamordowania Hattie. Ci dwaj goście zostali moimi bohaterami. Za nic na świecie bym ich nie wydał.

- To było wtedy, a teraz jest teraz - stwierdziła Kylie. - Pańscy bohaterowie zamierzają właśnie zabić niewinną kobietę. Bohaterski uczynek, prawda?

LaFleur w milczeniu otworzył dolną szufladę biurka. Cała była wypełniona rzędami taśm magnetofonowych.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

W pudłach ze starymi telefonami, przewodami i narzędziami, które zachomikował Horton LaFleur, panował kompletny chaos, ale taśmy z podsłuchu, który założył mordercy swojej żony, były uporządkowane, opatrzone datami i kodami.

Zabraliśmy je wszystkie do biura, ale wystarczyło posłuchać tylko jednej, żeby się przekonać, że Dave Casey i Gideon Bell byli ostatnimi ludźmi, którzy widzieli Sebastiana Catta tego wieczoru, gdy zniknął. Przedstawili się jako NYPD, ale w oficjalnych dokumentach nie było żadnego śladu, by go aresztowali, przyprowadzili na przesłuchanie czy choćby jechali w tamtą stronę.

- Zostało nam to, co najtrudniejsze - powiedziałem.

- Zaaresztować ich? - zapytała Kylie.

- Powiedzieć o wszystkim Cates.

- No tak. - Kylie skrzywiła się. - Całkiem dobrze sobie radziliśmy, gdy nikt nam nie zaglądał przez ramię. Musimy jej mówić teraz?

- Nie. Trzeba to było zrobić dwa dni temu, zanim zaprosiliśmy do towarzystwa Caseya i Bella. Nie pogrążajmy się jeszcze bardziej.

Była dopiero za piętnaście szósta, ale Cates przyjechała do biura prosto z Gracie Mansion. Opowiedzieliśmy jej o wszystkim i puściliśmy taśmę.

- I to już wszystko? - zapytała.

- Tak, proszę pani - odpowiedziałem. - To, co dobre, to, co złe i to, co brzydkie.

- Brzydkie jest to, że działaliście na własną rękę, ale tym się

zajmę innym razem. Na razie skupmy się na tym, co dobre. Znaleźliście Czyściciela. I na tym, co złe. Nie macie oskarżenia. Macie taśmę z nielegalnego podsłuchu założonego przez człowieka, który powiedział wam, że nienawidził Catta tak bardzo, że chciał go zabić. Nawet student pierwszego roku prawa pogoniłby was z sądu z takimi dowodami. A jeśli aresztujecie Caseya i Bella, nigdy nam nie powiedzą, gdzie jest Rachael O'Keefe, a ona będzie umierać długo i powoli.

- Jest niewinna - powiedziała Kylie. - Myślałam, że tym dwóm chodzi o sprawiedliwość.

- To jedyna ofiara, która może ich zidentyfikować. Wrzucą sprawiedliwość pod autobus, żeby ratować własne tyłki - oznajmiła Cates. - Nie wiem, ile jeszcze mamy czasu, zanim wyznanie Calvina Vidmara wycieknie do mediów i cały świat się dowie, że O'Keefe jest niewinna. Musimy zmusić Caseya i Bella, żeby nas do niej doprowadzili, zanim to się stanie.

- Będziemy ich śledzić - powiedziała Kylie. - Muszą ją karmić. Wszystkie pozostałe ofiary karmili.

- Wiecie, gdzie są w tej chwili?

- Nie.

- Żeby ich śledzić, najpierw trzeba ich znaleźć - stwierdziła Cates. - A jeśli wiadomość się rozniesie, zanim ich znajdziecie, to Rachael będzie już trupem, a ci dwaj odwieszą na haczyk kombinezony ochronne, usiądą wygodnie i będą patrzeć, jak sprawa stygnie.

Cates nie bez powodu została dowódcą w tak młodym wieku. Cieszyłem się, że mamy po swojej stronie jej inteligencję.

- Wpadł mi do głowy pewien pomysł - powiedziała.

Naprawdę się z tego ucieszyłem.

O szóstej trzydzieści w piątek rano, dokładnie cztery dni po tym, jak uznałem, że znalazłem dwóch idealnych kandydatów do NYPD Red, zadzwoniłem do Gideona Bella. O siódmej piętnaście on i Casey pojawili się w komisariacie. Gdy stanęli w drzwiach, ja i Kylie powitaliśmy ich szerokimi uśmiechami. Nie musieliśmy udawać, że cieszymy się na ich widok. Naprawdę byliśmy szczęśliwi – tak samo jak szczęśliwy był wilk na widok Czerwonego Kapturka z koszykiem pełnym dobrych rzeczy.

- Zach, co się dzieje? - zapytał Bell. - Przez telefon wydawałeś się bardzo podniecony.

- Moja szefowa chce się włączyć do akcji. Zaraz wam wszystko wyjaśni.

Poszliśmy do gabinetu Cates. Na nasz widok wstała. Przedstawiłem ich sobie i zamknąłem drzwi.

- Po pierwsze, chcę wam, panowie, podziękować za pomoc - powiedziała. - Mamy dobre wiadomości. Na dziewięćset jedenaście zadzwoniła jakaś kobieta, która powiedziała, że to ona jest Rachael O'Keefe i że jest gdzieś przetrzymywana przez dwóch mężczyzn. Mówiła bardzo chaotycznie, ale wspomniała, że ją torturują. Dyspozytor próbował zidentyfikować miejsce, z którego dzwoniła, ale połączenie się urwało. Nie zadzwoniła już więcej i myśleliśmy, że to tylko głupi kawał, ale Liz, jej siostra, przesłuchała taśmę i potwierdziła, że to głos Rachael.

- A więc żyje - powiedział Bell. - To doskonałe wiadomości. Czy udało się określić, skąd dzwoniła?

- To była komórka, gdzieś na Queensie. Zebraliśmy za mało danych do triangulacji, ale próbujemy pingować. Może nie uda nam się zlokalizować jej precyzyjnie, ale gdy tylko zawężymy obszar do rozsądnych granic, będziemy chodzić od drzwi do drzwi, dopóki jej nie znajdziemy. Może być to cały kwartał domów

mieszkalnych, dlatego potrzebujemy ludzi. Chcieliście się przyłączyć, a szczególnie teraz wasza pomoc bardzo nam się przyda.

- To świetnie - powiedział Bell. - Dziękujemy, pani kapitan. Wchodzimy w to.

Nie drgnęła mu nawet powieka. Casey z kolei zmuszał się do uśmiechu, ale nie wyglądał jak policjant, który właśnie dostał swoją wielką szansę na wykazanie się wobec dowódcy elitarniej jednostki.

Telefon Cates zadzwonił.

- To nasz technik - powiedziała. - Co się dzieje, Matt?

Przez pięć minut słuchała z telefonem przy uchu, a potem się rozłączyła.

- Zawężają obszar. Potrzebują jeszcze dwudziestu minut.

- Bierzcie radio i jedźcie - powiedziałem. - Dam wam znać, kiedy określimy cel.

Każdy z nich wziął krótkofalówkę i ruszyli do drzwi. Bell obrócił się w progu.

- Pani kapitan, zawsze marzyliśmy o pracy z Red. Jeszcze raz dziękuję za tę możliwość.

- A ja dziękuję wam. Odegraliście w tej sprawie bardzo ważną rolę i zasługujecie na to, żeby być na miejscu, kiedy znajdziemy Rachael.

Poczekala, aż wyjdą na korytarz i oddalą się poza zasięg głosu, po czym dodała:

- Detektywi Jordan i MacDonald, wam również dziękuję za to, że pozwoliliście mi dołączyć do waszego prywatnego oddziału. A zatem - uniosła brwi - jak wypadłam?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Gideon wsiadł za kierownicę SUV-a i ruszył.

- Skąd ona, do cholery, wzięła komórkę?!

- Nie mam pojęcia, ale wszystko zaczyna się sypać - odparł Dave. - Tak jak z Enzem, tylko gorzej. Tym razem naprawdę już po nas.

- Może ktoś tam wszedł tylnym wejściem? Na pewno zamknąłeś na klucz?

- Nie, Gideon. Zostawiłem otwarte na oścież, żeby każdy mógł wejść i zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

- Nie ciskaj się. Tylko pytam.

- Dziwne. Brzmiało to tak, jakbyś tylko mnie obwiniał.

- Przepraszam, to przez ten nagły zwrot akcji. Trochę spietrałem.

- Na tym polega różnica między tobą a mną, Gideon. Ja spietrałem zupełnie.

- Może byśmy tak na chwilę przestali panikować i zaczęli myśleć, co?

- Myślę przez cały czas - odparł Dave. - Myślę o tym, jak to jest być gliniarzem odsiadującym dożywocie w Sing-Sing.

Gideon wyjechał na most Eda Kocha. Zaczynała się godzina szczytu, ale pojazdów opuszczających Manhattan było o wiele mniej niż tych, które jechały od strony Queensu.

- Powiem ci, co myślę. Nikt nie wszedł przez żadne tylne drzwi. W ogóle nikt tam nie wszedł. Gdyby ktoś tam był i rzeczywiście zobaczył Rachael, to zadzwoniłby po raz drugi. Mam rację?

- Mam nadzieję. - Dave wzruszył ramionami.

- Poza tym ona ma na sobie tylko kombinezon, więc gdzie

miałaby schować komórkę? Nawet gdyby jakimś cudem ją znalazła, to jest skuta łańcuchami. Jak miałaby zadzwonić? Zębami? To ściema, Dave. Jakaś wariatka zadzwoniła na dziewięćset jedenaście i udawała Rachael, a ci durni gliniarze to kupili.

- Którzy durni gliniarze? Jordan i MacDonald czy my? Kiedy powiedzieli, że jej siostra rozpoznała głos...

- Daj spokój, Dave, użyj mózgu. Siostra chciała, żeby to była Rachael. Gliny też chciały, żeby to była Rachael, więc kupili to, ale ty i ja wiemy, że nie miała skąd wziąć telefonu. To musiała być jakaś wariatka. Spokojnie.

- Spokojnie? Może byłbym spokojny, gdyby ta suka zadzwoniła z Brooklynu, ale nie. Ściema czy nie ściema, skupili się na Queensie, więc nie mogę się uspokoić, dopóki jej stamtąd nie wywieziemy jak najdalej. Im szybciej, tym lepiej.

- Myślałem, że do tej pory już się przyzna - powiedział Gideon - ale jest twarda. Może minąć jeszcze parę dni, zanim uda nam się nakręcić film.

- Nie mamy paru dni - odparował Dave. - Garaż jest zbyt ryzykowny. Nie możemy jej tam dłużej trzymać. Nie mam najmniejszej ochoty jechać aż w góry Adirondacks, ale wydaje mi się, że domek mojego kuzyna byłby najbezpieczniejszy. Moim zdaniem powinniśmy ją zabrać i ruszać tam natychmiast.

- Ale jest mały problem - zauważył Gideon. - To pięć godzin jazdy w jedną stronę. Jordan i MacDonald w każdej chwili mogą do nas zadzwonić, żebyśmy pomogli im przeczesać wybraną okolicę. Nie możemy zniknąć, a nie możemy też trzymać jej w bagażniku samochodu.

- Ale i nie możemy zostawić jej w garażu.

- Jasne, że możemy - stwierdził Gideon. - Tyle że nie możemy

jej tam zostawić żywej.

- Więc co chcesz zrobić? Tak po prostu ją zabić? Bez filmu?

- Nazwałbym to inaczej. Zabić ją, by nie dać się złapać - sprostował Gideon. - Nie można mieć wszystkiego. Nie złamała się, a nie mamy czasu już czekać. Nie ma innego wyjścia, musimy ją zabić.

- Kiedy?

- Najlepiej od razu. - Gideon zjechał z mostu na Vernon Boulevard. - Będziemy tam za pięć minut.

- Tak po prostu? Tak po prostu wejdziemy tam i zabijemy ją?

- A co chcesz zrobić? Zatrzymać się, żeby kupić jej następną pizzę albo pożegnalny prezent? Dave, to już nie będzie wyglądało tak jak z Enzem. Teraz wiemy, jak to się robi. Nałożymy jej plastikową torbę na głowę, spakujemy zabawki i zostawimy ją tam. W końcu ją znajdą.

Dave skinął głową, próbując oswoić się z myślą, że za pięć minut kogoś zabiją. Nigdy nie potrafił do tego przywyknąć. Gideonowi przychodziło to znacznie łatwiej.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś chorym na umyśle skurwysynem?

- Tak - powiedział Gideon. - Ale powtórz mi to jeszcze raz. Nigdy mi się to nie znudzi.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

W ciągu dziesięciu minut, które Casey i Bell spędzili w gabinecie kapitan Cates, słuchając jej kłamstw, Matt Smith założył w ich samochodzie czujnik GPS i dwa mikrofony. Potem użył swojego informatycznego geniuszu, dzięki czemu Kylie i ja mogliśmy śledzić ich ruchy i słuchać rozmów na iPadzie.

Trzydzieści minut wcześniej Cates ściągnęła oddział SWAT i helikopter, na którym oznaczenia NYPD zostały przykryte logo programu telewizji ABC *Naoczny świadek*. W godzinie szczytu był to najlepszy kamuflaż dla policyjnego helikoptera.

Cała operacja koordynowana była przez najnowszy miejski system obrony przed terroryzmem o nazwie Monitor. Była to elektroniczna centrala za dwadzieścia milionów dolarów połączona z ponad stu tysiącami oczu i uszu we wszystkich pięciu dzielnicach. Monitor przypominał Wielkiego Brata na sterydach.

Wszystkie te zasoby zostały uruchomione po to, by ocalić jedną kobietę, młodą matkę, której kryminalne zaniedbanie doprowadziło do śmierci niewinnej pięcioletniej córki i która zaledwie dwa dni wcześniej nie potrafiła zmusić miasta, by zapewniło jej eskortę w postaci kilku policjantów i jednego radiowozu.

Ale to było wtedy. A teraz Rachael O'Keefe nie była już anonimową pielęgniarką pracującą za piętnaście dolarów na godzinę, lecz jedną z najważniejszych obywaterek Nowego Jorku. Nie zaszkodziło również to, że stawką za jej życie był tyłek burmistrza.

Kylie i ja włożyliśmy kevlarowe kamizelki oraz kurtki z oznaczeniami NYPD i w chwili, gdy SUV Caseya i Bella ruszył

sprzed komisariatu, rzuciliśmy się biegiem do naszego samochodu. Kylie usiadła za kierownicą, a transportery SWAT, które do tej pory stały na jałowym biegu poza zasięgiem wzroku na York Avenue, przetoczyły się przez Wschodnią Sześćdziesiątą Siódmą Ulicę i ruszyły za nami.

Przez cały czas sprawdzałem pozycję Caseya i Bella. Jechaliśmy za nimi najbliżej, jak się dało, ale na tyle daleko, żeby nas nie zauważyli. Tak jak się spodziewaliśmy, ruszyli w stronę Queensu, a z ich kłótni w samochodzie jasno wynikało, że naprawdę znaleźliśmy Czyściciela.

Przechodnie na Drugiej Alei oglądali się za naszym solidnie uzbrojonym konwojem.

- Trzeba przyznać, że Cates błyskawicznie zebrała całą tę armię - powiedziałem.

- Moim zdaniem trochę przesadziła - mruknęła Kylie. Byliśmy już w połowie mostu Eda Kocha. - Szczególnie z tymi kłownami w ostatnim samochodzie.

Miała na myśli detektywów Donovan i Boyle'a. Cates wezwała ich i dołączyła do akcji bez żadnych wyjaśnień. Kylie nie była z tego zadowolona, ale wiedziała, że nie należy poddawać osądu dowódcy pod dyskusję.

- A co byś wolała zrobić? - zapytałem. - Przeprowadzić szturm w tej designerskiej kurteczce z pistoletem w każdej dłoni i z nożem w zębach?

Naraz niebo przed nami rozjaśnił jaskrawopomarańczowy błysk. Tylne światła jadących przed nami samochodów rozjarzyły się na czerwono niczym przewracające się po kolei kostki domina. Kylie nacisnęła hamulce, żeby nie wjechać w tył białej furgonetki.

Wywołałem przez radio Wielkiego Brata.

- Jakiś wybuch na Queensie na wysokości mostu Eda Kocha. Co

się dzieje?

- Wiemy. Już uruchamiamy całą rupieciarnię. Poczekaście, wywołuję kamery drogowe przed wami. Kod dziesięć pięćdziesiąt trzy. Zdaje się, że autobus miejski uderzył w wielką ciężarówkę i wybuchło paliwo. Z autobusu wyskakują ludzie. Kierowcy porzucają samochody.

Sprawdziłem GPS. Casey i Bell byli już po drugiej stronie wypadku. Właśnie przejechali przez Queensboro Plaza i przemieszczali się bardzo szybko.

I wtedy usłyszałem Gideona:

- Nie mamy innego wyjścia, musimy ją zabić.

- Monitor, tu pilot Red - powiedziałem. - Stoimy. Czy mamy szansę wydostać się z tego pułta?

- Żadnych. Wszystko jest zakorkowane. Chwileczkę. Możecie ominąć wypadek, ale tylko pieszo.

Teraz to my nie mieliśmy innego wyjścia.

- Pilot Red do oddziału Red - powiedziałem. - Natychmiast wysiądźcie z samochodów. Monitor, w biegu nie będę mógł śledzić celów. Informuj mnie.

Ja i Kylie wyskoczyliśmy z forda i pobiegliśmy przez stalowy most. Tuż za nami biegł oddział SWAT w pełnym rynsztunku bojowym. Kilku kierowców opuściło szyby w oknach, zachęcając nas okrzykami, żebyśmy biegli szybciej i rozładowali ten cholerny korek. Nowego Jorku nie można nie kochać. Zawsze znajdzie się w pobliżu ktoś, kto powie ci, jak masz wykonywać swoją pracę.

- Do pilota Red! Cele skręciły z Jackson na Crane Street. To ślepy zaułek. Możliwe, że tam przetrzymują uprowadzoną.

- Jak daleko od nas?

- Dwa przecinek jeden kilometra. Czy możesz zdobyć jakiś samochód, kiedy już miniecie wypadek?

- Właśnie się do niego zbliżamy - odpowiedziałem. - Kompletny chaos. Nie ma jeszcze służb ratunkowych, ale cały ten fragment drogi przebiega przez budowę i widzę robotników z gaśnicami. Słyszę, że straż pożarna już tu jedzie, ale nie mogę przejąć żadnego pojazdu. Nawet gdyby czekał tu na nas transporter, to korek sięga aż do Queens Boulevard. Piechotą będzie najszybciej. Myślę, że za jakieś dziesięć do dwunastu minut cała ekipa dotrze na Crane Street.

- Pilot Red, nie wiem, czy słyszałeś końcówkę transmisji. Chcą zabić uprowadzoną i uciec. Myślę, że nie masz dziesięciu minut.

- W takim razie muszę zyskać na czasie.

Zatrzymałem się. Nad głową miałem wyniesioną ponad poziom gruntu stację metra Queensboro Plaza. Oparłem się o jeden z pokrytych graffiti żelazobetonowych słupów, wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem.

Dave Casey odebrał po pierwszym sygnale.

- Zach, co się dzieje? Znaleźliście ją?

- Nie - odpowiedziałem, próbując uspokoić oddech, żeby mnie nie zdradził. - Ale Calvin Vidmar, portier z budynku, w którym mieszkała Rachael, przyznał się właśnie do zamordowania Kimi O'Keefe. W jego mieszkaniu znaleźliśmy dowody potwierdzające, że mówi prawdę. Pomyślałem, że ty i Bell powinniście o tym wiedzieć. Rachael O'Keefe jest niewinna.

Nie odezwał się ani słowem.

- Dave, słyszałeś mnie? Zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Tak, słyszałem. Słyszałem bardzo dobrze. Dzięki, że zadzwoniłeś.

Wyłączył się, a ja zacząłem biec. Kylie i cały oddział SWAT byli już przede mną.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

- Słyszałeś, co mówili przez radio? - zapytał Gideon.

Dave potrząsnął głową, wciąż myśląc o rozmowie z Zachem Jordanem.

- Nie. Rozmawiałem przez telefon. Co się dzieje?

- Ten wybuch. Dziesięć pięćdziesiąt trzy na zjeździe z mostu. Autobus uderzył w ciężarówkę i wybuchł zbiornik z benzyną.

- Są jacyś ranni?

- Dave, kogo to obchodzi? Rzecz w tym, że cały ten pieprzony most jest nieprzejezdny. Przedostaliśmy się na tę stronę w ostatniej chwili. Zróbmy, co mamy do zrobienia, i ruszajmy dalej.

Dave wysiadł z samochodu, otworzył drzwi garażu, poczekał, aż SUV wjedzie do środka i znów je opuścił.

- Kto do ciebie dzwonił? - zapytał Gideon, wysiadając z samochodu.

- Jordan.

- No i?

- Mówi, że O'Keefe jest niewinna. Podobno portier z jej budynku przyznał się do zabicia dziecka.

- Bzdury. Manipuluje nami.

- Co chcesz powiedzieć?

- Poskładaj to do kupy, człowieku. Jordan, MacDonald, Cates, oni wszyscy nami manipulują. Najpierw powiedzieli nam o tym rzekomym telefonie, chociaż wiemy, że O'Keefe nie mogła zadzwonić. Ruszyliśmy na Queens, a oni za nami. Śledzą nas, Dave.

Dave wyjrzał przez jedno z dwóch brudnych okienek ze szkła

wzmacnianego drucianą siatką.

- W takim razie gdzie oni są?

- Po drugiej stronie tego pieprzonego wybuchu. Nie mogą się tu dostać, dlatego Jordan do ciebie zadzwonił i opowiedział następną durną historyjkę. Teraz mówią, że jest niewinna? Próbują zyskać na czasie. Zbierajmy swoje rupiecie i wynośmy się stąd. Pakuj kamerę, a ja przyniosę rzeczy z tamtego pomieszczenia.

- A co z Rachael?

- To samo, co wcześniej. Może nas zidentyfikować. Zabijemy ją i tyle, Dave.

- A jeśli naprawdę jest niewinna?

- Dave, namieszali ci w głowie. Jest winna. Wiemy przecież, że jest winna. Ładuj to wszystko do samochodu, a ja się nią zajmę. A potem spadamy.

- Albo i nie - odezwał się ktoś.

Odwrócili się. Zza przegrody na drugim końcu budynku wyszedł olbrzymi mężczyzna. Dave dobrze znał się na broni i natychmiast rozpoznał dziewięćmilimetrowy pistolet smith & wesson 5946 zakończony dwudziestocentymetrowym tłumikiem infinity.

- Policja - powiedział Gideon. - Odłóż ten pistolet. Już!

Olbrzym roześmiał się.

- Odłóż pistolet? Masz jaja, człowieku. Na kolana! Spokojnie połóżcie broń na podłodze, przesuniecie w naszą stronę, a potem podnieście ręce za głowę. Wiecie, tak jak na filmach.

Dave osunął się na posadzkę i pchnął pistolet na drugą stronę pomieszczenia. Gideon nawet nie drgnął.

- Popełniacie błąd. Jesteśmy z NYPD.

- No tak, to wyjaśnia, dlaczego nie chcecie słuchać. Albo uklęknie sam, dopóki masz jeszcze zdrowe kolana, albo przestrzelę ci jedno i grawitacja załatwi resztę. W tę albo we

w tę, jak wolisz.

Gideon uklęknął obok Dave'a i pchnął pistolet po cementowej posadzce.

- Chyba zwariowałeś. Wydaje ci się, że możesz tak po prostu wejść tu i okraść dwóch gliniarzy?

Intruz znów się roześmiał.

- Tak myślisz? To nie jest napad rabunkowy.

- W takim razie co to, do cholery, jest?

- Ja bym to nazwał dniem sądu - powiedział siwowłosa mężczyzna, który wyłonił się zza przegrody. W prawej ręce trzymał pistolet, czarną berettę 85 z dwunastocentymetrowym tłumikiem, a w lewej żelazną gruszkę.

- Jezu! - ni to zawołał, ni to westchnął Dave. - Joe Salvi.

- I syn - dodał Salvi.

Zza ściany wyszedł Jojo. W ręku miał podobną berettę jak ojciec, tylko jego była niklowana, z matowym wykończeniem.

- Stań tam - wskazał mu Salvi. - Naprzeciwko Tommy'ego Boya.

Jojo zajął pozycję i wszyscy trzej stanęli w milczeniu - złowieszczy trójkąć broni i mięśni.

W końcu odezwał się Salvi:

- Genialne. - Podniósł gruszkę. - Proste w użyciu i bardzo skuteczne. Każdy bystry biznesmen powinien taką mieć. Biorę ją, może się przydać. - Rzucił gruszkę Tommy'emu. Jego spojrzenie było równie ciemne i złowróżbne jak wtedy, gdy na pogrzebie syna przebiegał wzrokiem kościół pełen ludzi. Ale teraz znalazł już to, czego szukał. - Zdaje się, że twój kolega nie rozumie, co się dzieje, ale ty się nas spodziewałeś, prawda, Gideonie?

Dave gwałtownie obrócił głowę w lewo.

- Gideon, o czym on mówi?

On jednak patrzył prosto przed siebie i milczał.

- Odświeżę ci pamięć. - Salvi wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes oprawiony w wytłaczaną ciemnoczerwoną skórę ze złożonymi brzegami. - Poznajesz to?

Dave nie od razu połączył elementy w całość.

- Skąd... jak...

- Zamknij się, Dave - przerwał mu Gideon. - Salvi, nie bądź głupi. Jesteśmy gliniarzami. Nie wiem, o co tu twoim zdaniem chodzi, ale za coś takiego będziesz siedział do końca życia. Odłóż broń, to zapomnimy o wszystkim.

- Ach, jesteście gliniarzami? - Salvi opuścił pistolet i wskazał ręką w bok. - Dlaczego nic nie powiedzieliście? - Odwrócił się w stronę Rachael O'Keefe. Wciąż była przykuta łańcuchem do rury, usta miała zaklejone srebrną taśmą. - Niech pani popatrzy, policja tu jest. Chce pani z nimi iść?

Rachael gwałtownie potrząsnęła głową i wydała stłumiony jęk.

- Złe wiadomości, chłopcy - mówił dalej Salvi. - Krzywdzicie kobiety. Chyba nikt w tych czasach nie ma już szacunku dla policji, nawet ta dama. - Bez ostrzeżenia wymierzył mocny cios kolbą pistoletu w szczękę Gideona, miażdżąc kości, rozrywając ciało i naczynia krwionośne.

Trysnęła krew. Gideon zgiął się wpół, ale udało mu się nie upaść.

Salvi zwrócił się do Dave'a:

- Przepraszam, detektywie Casey, coś mnie rozproszyło. Chciał pan o coś zapytać? Ach tak, skąd wzięłem notes mojego syna? Zabawne. Matka Gideona znalazła go i była tak miła, że zwróciła rodzinie. Urocza kobieta. To ona przygotowała większość kwiatów na pogrzeb mojego syna.

Dave popatrzył na Gideona.

- Twoja matka? Mówiłeś, że spaliłeś ten notes. Po co go zatrzymałeś?

- Zamknij się! - wykrztusił Gideon, plując krwią i kawałkami zębów.

- Wiedziałeś, że twoja matka im to oddała?

- Oczywiście, że tak - przytaknął Salvi.

- Dopiero dzisiaj się dowiedziałem - powiedział Gideon. - Nie chciałem, żebyś się spietrał, dopóki tu nie skończymy, ale słowo daję, chciałem ci powiedzieć, jak tylko będzie po wszystkim.

- Chciałeś mi oszczędzić wiadomości, że szuka mnie mafia?

Gideon odwrócił wzrok.

- Nie ma sensu z nim gadać, Dave - powiedział Salvi i podszedł do kamery. - Nieźle to sobie urządziliście. Lubicie nagrywać przyznanie się do winy? Ja też. Jesteśmy tu już od jakiegoś czasu i Jojo na pewno zdążył się rozejrzeć. Jojo, włącz kamerę.

Jojo nie poruszył się.

- Ogłuchłeś? - powtórzył Salvi. - Włącz kamerę.

- Nie wiem, tato. Musimy zrobić to, po co przyszliśmy, ale nagrywanie? Nie wiem, czy to taki dobry pomysł.

Salvi podniósł rękę.

- Nie myśl - powiedział złowieszczym szeptem. - Twoja matka czekała na to dwanaście lat. Włącz tę pieprzoną kamerę.

- Dobra, dobra. - Jojo wepchnął pistolet za pasek. Stał za kamerą, wycelował ją w dwóch klęczących policjantów i przycisnął czerwony guzik. Na kamerze zaczęła mrugać czerwona dioda. - Powiedz, kiedy będziesz gotowy, tato.

- Dobra, już - powiedział Salvi. - Wyszło na to, że jestem reżyserem tego filmiku. To będzie wielkie przyznanie się do winy. Takie, na które wszyscy czekali.

Odsunął się trzy metry i wycelował pistolet w głowę Dave'a.

- Zaczynaj gadać.

- Lada chwila będzie tu pełno gliniarzy - powiedział Dave.

Salvi roześmiał się.

- To wy jesteście gliniarzami. Przyszliście tu, żeby torturować tę kobietę. Wezwaliście posiłki czy jak? - Jego głos znów przeszedł w szept. - Wydajesz się rozsądnym człowiekiem, Dave. Powiedz, czyj to był pomysł, żeby zabić mojego syna?

- Twój syn zgwałcił moją siostrę - odrzekł Dave.

- Gówno mnie to obchodzi, nawet jeśli zgwałcił twoją babcię, porąbał na kawałki i nakarmił nią psa. Wiem, że zabiliście go razem, a teraz chcę się dowiedzieć, który z was to zaplanował.

- Co za różnica? I tak zabijesz nas obu.

- Różnica polega na tym, że jeden pociągał za sznurki, a drugi był tylko żołnierzem, wykonawcą. Któryś z was wymyślił, żeby rozbić głowę mojemu synowi i trzymać mu ją pod wodą, dopóki nie utonie. Zawsze jest jakiś przywódca. - Salvi wycelował pistolet w Gideona. - Czy to był on? Zachowuje się tak, jakby to on dowodził.

Ociekający krwią Gideon popatrzył wyzywająco na Salviego, a on odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

- Ale on tu niczym nie dowodzi. - Kopnął Gideona w żebra tak mocno, że rozległ się trzask łamanych kości. Gideon osunął się na posadzkę, jęcząc z bólu. - Aj... boli? Mam dla ciebie złe wiadomości. To nie pierwsze uderzenie boli najbardziej. Gorszy jest każdy oddech, którym od tej chwili będziesz napełniał płuca. A dobra wiadomość jest taka, że nie zostało ci już tych oddechów zbyt wiele. - Salvi machnął ręką na Tommy'ego. - Podnieś tę kupę gówna.

Olbrzym złapał Gideona za kołnierz i szarpnięciem znów podniósł na kolana.

Dave odwrócił wzrok i dostrzegł niewyraźną postać, która zaglądała do środka przez brudne okienko.

To była Kylie MacDonald.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Trzy razy w tygodniu staram się ćwiczyć w siłowni w komisariacie – sztanga, bieżnia, rowerek. Raz w tygodniu spotykam się z instruktorem jogi. Jestem w dobrej formie, może nie tak dobrej, jak chłopaki ze SWAT, ale oni mieli na sobie tyle sprzętu, że udało mi się ich dogonić.

- Nie zdążymy – powiedziała Kylie, gdy znalazłem się obok niej.

- Pięć minut minęło, a został nam jeszcze ponad kilometr.

Odezwało się moje radio:

- Monitor do Pilota Red.

Odpowiedziałem, nie zwalniając biegu:

- Mów, Monitor.

- Mam was na kamerze. O jedną przecznicę od was przy Dwudziestej Pierwszej Ulicy stoi transport.

I rzeczywiście stał tam wielki, piękny niebiesko-biały autobus z oznaczeniami NYPD.

- Dziękuję, Monitor – powiedziałem, gdy oddział wskakiwał do środka. – Jaka jest pozycja naszego celu?

- Nasze oko na niebie widziało, jak wjeżdżali do garażu w kwartale Osiemdziesiątej Ósmej i Crane sześć minut temu.

- Już jedziemy – powiedziałem.

Autobus ruszył. Dwudziesta Pierwsza Ulica biegnie pod wyniesionymi torami metra. Jest wąska i dwukierunkowa, ale kierowca sprawnie przedzierał się przez poranny ruch. Nie byłem jednak pewien, czy wystarczająco sprawnie. Jeśli Gideon serio mówił o pięciu minutach, to zanim dotrzemy na miejsce, Rachael będzie już martwa.

Zreferowałem Alanowi Rowe'owi, dowódcy SWAT, najnowsze

doniesienia. Znaleźliśmy na mapach Google'a adres Crane 88 i zanim autobus dojechał do końca ślepej uliczki, sierżant Rowe obmyślił plan. Podzielił oddział na trzy grupy. Jedna miała wyłamać drzwi do garażu, druga zejść od tyłu, a dwóch ludzi miało stanąć przy bocznej ścianie od strony torów kolejowych.

Wszystkie budynki przy Crane Street pokryte były graffiti i wszystkie wyglądały na opuszczone, włącznie z czteropoziomowym magazynem pośrodku ulicy. Niemal bezgłośnie dobiegliśmy do końca ulicy i zajęliśmy pozycje. Kylie i ja podeszliśmy za Rowe'em od frontu. Zardzewiała stalowa brama miała jakieś dwa i pół metra na trzy.

- Żaden problem - powiedział Rowe. - Ci z tyłu mówią, że są tam małe drzwi, które znacznie łatwiej sforsować. Pirotechnik prowadzi wzdłuż wszystkich drzwi taśmę detonującą. Na mój rozkaz dla odwrócenia uwagi wysadzi tylne drzwi, a po chwili rozwali bramę.

- Jordan i ja wchodzimy pierwsi - oznajmiła Kylie.

- Nic z tego - odrzekł Rowe. - Znasz zasady. Moi chłopcy wchodzą pierwsi i zabezpieczają pomieszczenie. Po to są.

- W porządku, wchodźcie pierwsi. A wiecie, co jest w środku?

- Nie mam pojęcia.

- A powinienes. - Przykleiła się do ściany, przypadła do ziemi i podpełzła do jednego z dwóch niemal całkiem zaciemnionych okienek.

- Co ona, do diabła, robi? - zdziwił się Rowe.

- Sądzę, że rozpoznanie - odpowiedziałem. - W każdym razie nie uda ci się jej zatrzymać.

Kylie uniosła głowę i zajrzała do środka przez brudne okienko. Po pięciu sekundach znów przypadła do ziemi i podczołgała się do nas.

- To zupełnie nowa bajka. - Wyjęła notes i długopis i narysowała prostokąt. - To jest pomieszczenie. - Postawiła X pośrodku. - Tu jest Rachael. Skuta łańcuchami, ale stoi, więc wygląda na to, że jeszcze żyje. A tutaj - dodała jeszcze dwa znaki X - są Casey i Bell. Klęczą na podłodze, a trzech ludzi trzyma ich na muszce. - Dorysowała jeszcze trzy ikсы.

Wyglądało to coraz gorzej.

- Trzech ludzi - powtórzyłem.

- Tak - potwierdziła Kylie. - A jednym z nich jest papa Joe Salvi.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

- Powtórzę pytanie - powiedział Joe Salvi. - Który z was pewnego popołudnia przyszedł ze szkoły i powiedział drugiemu, że musicie zamordować Enza? Zawsze jest jakiś przywódca i zawsze jest wykonawca.

Słowa Salviego przypomniały Dave'owi ojca:

- Są wodzowie - mówił - i są Indianie. Problem z NYPD polega na tym, że jest zbyt wielu cholernych wodzów, a za mało dobrych Indian. Ja jestem Indianinem, Dave. Dostaję rozkaz i wykonuję swoją robotę.

I to właśnie Dave próbował robić. Jasne, pomysł wyszedł od Gideona, ale gdy Dave już go zaakceptował, zaangażował się całym sercem. Enzo, Kang, Catt, Tinsdale, Parker-Steele - każde z nich dostało to, na co zasłużyło. Żałował tylko, że nie zdążyli sprzątnąć ich więcej.

Ale zostało mu tylko dwadzieścia sekund. Kylie MacDonald nie była sama tam, na zewnątrz. Oprócz niej i Jordana na pewno był tu też oddział SWAT, przysłany do uwolnienia Rachael. Lada chwila wysadzą bramę i do środka wpadnie armia gliniarzy z tarczami i uzbrojeniem bojowym.

Dwadzieścia sekund. To zupełnie wystarczy, żeby załatwić jeszcze jednego, ostatniego sukinsyna.

- Ja to zrobiłem! - krzyknął. - Gideon tylko dużo gada, ale nie ma jaj. Enzo zgwałcił moją siostrę, więc przysięgłem, że go zabiję. To ja rozbiłem ten jego tłusty łeb butelką taniej, gównianej wódki, a potem wciągnąłem go do wody. Przez cały czas kwiczał i piszczał jak ostatnia cipa.

Wyczuł, że Salvi mocniej zacisnął rękę na pistolecie. Dave

pragnął, żeby nacisnął spust, ale powstrzymał się. Salvi potrzebował jeszcze jednego kopniaka.

- Wy wszyscy z rodziny Salvich jesteście tacy sami. Kozakujecie, kiedy macie przewagę, ale jak sytuacja się odwróci, zachowujecie się tak jak Enzo i wołacie na pomoc tłustą, skurwioną mamusię!

Pistolet Salviego wystrzelił. Na twarzy Dave'a osiadły krople krwi, fragmenty kości i strzępki mózgu Gideona.

- Wiesz, Dave - powiedział Salvi - jesteś nie tylko marnym gliną, ale i marnym kłamcą. Nie mam pojęcia, dlaczego chciałeś dostać kulkę za tego durnia, który cię wystawił. Podziwiam twoją lojalność, ale i tak cię zabiję.

Wymierzył pistolet w głowę Dave'a i w tej samej chwili garażem wstrząsnął pierwszy wybuch. Tylne drzwi runęły do środka, ścianę przysłoniła zasłona kurzu i gruzu. Trzej członkowie mafii obrócili się na pięcie. W następnej chwili drugi wybuch wyrwał wielką dziurę w metalowej bramie i do środka wpadli policjanci w hełmach, okularach i kamizelkach ochronnych.

Tommy Boy zareagował natychmiast, strzelając na oślep w ciżbę zbliżających się do niego mundurów. Jak na człowieka o wysokim IQ wybrał sobie bardzo głupi sposób, by umrzeć. Grad kul z sześciu różnych pistoletów rozerwał jego ciało i Tommy bezwładnie osunął się na podłogę.

- Nie strzelajcie! Nie strzelajcie! - wrzasnął Joe Salvi, unosząc rękę.

- Rzućcie broń! Na ziemię, twarzami w dół, ręce za głową! - szczechnął jakiś głos.

Przez twarz Dave'a Caseya przewinał się cień uśmiechu. Ten rozkaz wydała Kylie MacDonald. Jordan był tu razem z nią. Dwie beretty szczechnęły o podłogę. Salvi i Jojo padli na posadzkę.

Czterech policjantów założyło im kajdanki i pociągnęło na kolana.

- Hej, spokojnie - powiedział Salvi. - Właśnie złapaliśmy Czyścicieli. Mój kierowca zastrzelił jednego.

- Do tego ocaliliśmy tę sukę dzieciobójczynię - dodał Jojo.

- Naprawdę? - zdziwiła się Kylie. - Ja widziałam przez okno coś innego.

Joe Salvi popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Co? Zajrzałaś przez wzmocnioną szybę pokrytą stuletnim brudem i chcesz uchodzić za wiarygodnego świadka? Mój prawnik zrobi z tego miazgę.

- Nie sądzę, żeby prokurator potrzebował moich zeznań, panie Salvi - odrzekła Kylie. - Mamy tu znacznie lepszego świadka, który był z wami przez cały czas.

- Kto? On? - Salvi wskazał na Dave'a. - Gliniarz, który okazał się psycholem i zabójcą? A może ona? Na pewno będzie wiarygodnym świadkiem po tym, jak związali ją łańcuchami i torturowali przez trzy dni.

Jojo przyłączył się do śmiechu ojca.

- Nie, panie Salvi - odrzekła Kylie. - Myślę, że mamy tu świadka, któremu nic nie można zarzucić i który przekona każdą ławę przysięgłych bez względu na to, co będzie mówił pański prawnik.

- A gdzie jest ten świadek?

- Tutaj. - Kylie położyła dłoń na kamerze i wskazała na mrugające czerwone światełko. - Wciąż jest włączona.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Dave Casey czekał na nas w pokoju przesłuchań. Jak na gliniarza, który zamordował czarnego króla narkotyków oraz chińskiego gangstera i miał przed sobą perspektywę spędzenia reszty życia w zamknięciu pośród ich podwładnych i przyjaciół, wydawał się zadziwiająco spokojny.

- Dzięki, że przyszliście - powiedział, gdy byliśmy już z Kylie w środku. - Oglądaliście tę taśmę?

- Jeszcze nie - odparłem. - Przyszliśmy od razu tutaj. Na pewno nie chcesz adwokata ani przedstawiciela związków zawodowych?

- Przeczytaliście mi moje prawa. Nie, dzięki. Nie chcę rozmawiać z nikim oprócz was.

- W takim razie porozmawiajmy we trójkę. - Usiadłem naprzeciwko niego. Kylie wciąż stała.

- Dobrze, nas troje. A ilu za tą szybą? - Wskazał duże lustro na dalszej ścianie.

- W tej chwili siedmioro, ale przyjdzie jeszcze więcej. Dave, dobrze wiesz, jaka to duża sprawa. Będziesz miał wielką publiczność. Mamy ci zadawać pytania czy wolisz sam opowiadać?

- Gotów jestem opowiadać, ale najpierw sam chciałbym wam zadać pytanie.

- Pytaj.

- Ten ostatni telefon od ciebie. Powiedziałaś, że portier przyznał się do zamordowania Kimi O'Keefe. Czy to była ściema?

- Nie, to prawda. Wiedzieliśmy, że zamierzacie zabić Rachael, więc chcieliśmy was powstrzymać.

- Dzięki. Nie mógłbym żyć z tą myślą, gdybyśmy... - Urwał,

szukając lepszego wyrażenia niż „zamordowali ją z zimną krwią”.

- Gdybyśmy... doprowadzili wszystko do końca.

- Ale nie przeszkadza ci to, że zabiliście tamtych czworo - zauważyła Kylie.

- Pięcioro - poprawił ją Casey. - Dwanaście lat temu, gdy jeszcze chodziliśmy do szkoły, zabiliśmy Enza, najmłodszego syna Salviego. To był podły sadysta, który terroryzował całą okolicę, a my wiedzieliśmy, że dalej będzie tylko gorzej. I było gorzej. Zgwałcił moją siostrę Meredith. Gideon przekonał mnie wtedy, że musimy wziąć sprawę w swoje ręce. Nie obwiniam go. Byłem z nim przez cały czas.

Gdy już myślałem, że wszystko, co najważniejsze, mamy za sobą, Dave Casey wystrzelił ostatni pocisk. Popatrzyłem na Kylie. Usta miała otwarte, ale nie powiedziała ani słowa.

- Widzę po waszych twarzach, że Salvi nie wyjaśnił, skąd się tam wziął ze swoją załogą - mówił Dave. - Nie powiedziałby wam. To rodzinna sprawa. Przez te wszystkie lata szukał zabójcy Enza, ale poznał prawdę dopiero kilka dni temu. A my w ogóle nie byliśmy na to przygotowani.

- To wyjaśnia, dlaczego facet, który stoi tak wysoko w hierarchii, nie wysłał po prostu swoich snajperów - zauważyłem.

- Wszystko jest na taśmie - stwierdził Casey.

- Coś mi się tu jednak nie zgadza - powiedziała Kylie. - Tacy faceci jak Salvi kochają tajemnice. Jeśli widzą gdzieś kamerę, to ją rozbijają. Nie wiedział, że to się nagrywa?

- To Salvi kazał Jojowi ją włączyć. Chciał nagrać, jak ja i Gideon przyznajemy się do zabicia Enza, i zanieść taśmę żonie. Na pewno nie zamierzał nagrywać tego, jak strzela, ale tak to już jest z tymi kamerami. Człowiek zapomina, że są włączone.

- A co go rozproszyło?

Dave zdobył się na uśmiech.

- Po prostu zobaczcie tę taśmę. Nie chciałbym wam psuć przyjemności. A swoją drogą, powinniście wysłać kopię do sto siódmego komisariatu w Howard Beach. Mają tam sprawę sprzed dwunastu lat, którą na pewno z radością zamkną.

Byłem pewien, że ktoś po drugiej stronie lustra weneckiego już się tym zajął.

- Dave - odezwała się Kylie. - Byliście jeszcze dziećmi, kiedy zabiliście syna Salviego. To była osobista wendeta. A co z tymi pozostałymi przypadkowymi ofiarami?

- Nie były przypadkowe. Czyściliśmy miasto, które nie mogło lub nie chciało samo się oczyścić. Chcecie powiedzieć, że nigdy nie mieliście ochoty czegoś takiego zrobić?

- Między ochotą a realizacją jest wielka przepaść - odparła Kylie. - Jesteśmy policjantami, a nie ulicznymi mścicielami. Działamy w ramach systemu.

Dave uśmiechnął się.

- Wy dwoje, a szczególnie ty, Kylie, działacie zgodnie z regułami systemu, kiedy wam to odpowiada. A potem przechodzicie na drugą stronę i robicie, co chcecie. Nie zapominaj, że to wy kazaliście mnie i Gideonowi śledzić dwóch niewinnych gliniarzy.

Kylie obejrzała się na lustro. Mogłem odgadnąć, jakie spojrzenia pobiegły stamtąd w naszą stronę.

- Wielu ludzi popierało Czyściciela - mówił Casey. - Wiem, że nie jesteście w stanie usprawiedliwić tego, co zrobiliśmy, ale nie udawajcie, że nie potraficie zrozumieć.

- Pomóż nam zrozumieć to trochę lepiej. Opowiedz wszystko od początku.

- Wszystko zaczęło się od prostego pytania: Czy sądzisz, że Hitler był porządnym gościem, kiedy jeszcze chodził do szkoły?

Nie przestawał mówić przez następne dwie godziny. Kiedy skończył, zadumał się na moment, a potem powiedział jeszcze:

- No cóż, to jest moja spowiedź. Nic z tego nie zostało na mnie wymuszone, wszystko powiedziałem z własnej woli. Chciałbym tylko dodać, że moja siostra Meredith nie miała pojęcia, że to ja i Gideon zabiliśmy Enza i pozostałe ofiary. Powiedziała Gideonowi, że Rachael O'Keefe zamierza się ukryć w domu swojej ciotki w Jersey, ale zrobiła to tylko dlatego, że Gideon ją upił i wyciągnął z niej tę informację. Byliśmy policjantami i miała do nas zaufanie. Wielu ludzi miało do nas zaufanie. Prawdę mówiąc, detektywi Jordan i MacDonald również dzielili się z nami poufnymi informacjami. Meredith była jedną z wielu osób, które oszukiwaliśmy. Nie brała udziału w żadnych naszych przestępstwach i nie powinna ponosić z tego tytułu żadnych konsekwencji. - Złożył dłonie i oparł je na stole. - Cóż, wygląda na to, że skończyłem, ale mam jeszcze dwa pytania.

- Pytaj - powiedziałem.

- Co się dzieje z Rachael O'Keefe?

- Zabrano ją do szpitala New York Presbyterian. Siostra jest przy niej. Dostała całodobową ochronę NYPD. Mają trzymać od niej z dala dziennikarzy, świrów i wszelkie inne pijawki, które chciałyby zbić kapitał na jej przejściach.

- Powiedzcie jej, że... - Urwał. - Nie. Nie mogę powiedzieć jej nic, co chciałyby usłyszeć. - Potrząsnął głową, próbując odpędzić od siebie wyrzuty sumienia, które niewątpliwie miały go prześladować już do końca życia.

- Jakie jest twoje drugie pytanie? - zapytała Kylie.

- Jak myślicie, co czeka Salvich?

- W biurze prokuratora okręgowego widzieli już taśmę i są w stu procentach pewni, że mogą skazać Joego Salviego.

- Taśma może być dowodem? Sąd ich z tym nie wyrzuci? Wiecie, że lubią tak robić.

- Nie tym razem. Prokurator potwierdził, że Salvi wiedział, że jest nagrywany. Na samym początku mówi coś o tym, że będzie reżyserem tego filmu. A kąt obiektywu był na tyle szeroki, że uchwycił go, kiedy strzelał do policjanta. To jest dożywocie bez prawa odwołania. Jojo dostanie przynajmniej dwadzieścia pięć lat za współudział.

- Wiecie co? Mój ojciec był policjantem, a w głębi serca Gideon i ja też byliśmy policjantami. I chociaż zboczyliśmy z równej drogi, to udało nam się rozwalić całą mafijną dynastię, Joego Salviego i jego dwóch synów. Gid byłby cholernie szczęśliwy z tego powodu.

- Wyobrażam sobie, że mnóstwo ludzi w Howard Beach też będzie cholernie szczęśliwych - powiedziałem.

- Nie macie nawet pojęcia, co się tam działo - dodał Casey. - Wszyscy żyli w strachu. To koniec sześćdziesięcioletniej tyranii. Nikt w Howard Beach nie będzie tęsknił za Salvimi. - Urwał, przez jego twarz przemknął dziwny uśmiech. - Chyba że w Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie, Czwartego Lipca i Halloween.

EPILOG

OSTATNIA OFIARA CZYŚCICIELA

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Była środa rano po wyborach. Wbiegłem po schodach komisariatu z torbą na zakupy w jednej ręce i gazetą w drugiej. Zaskoczony byłem, gdy zobaczyłem Kylie przy biurku.

- Myślałem, że masz zawieźć Spence'a na terapię - powiedziałem, kładąc zakupy na podłodze.

- Przyjmą go dopiero o trzeciej po południu, więc pomyślałam, że wpadnę tutaj i zostawię go na razie samego. Do wieczora i tak będzie miał mnie dość.

- Znam to uczucie. - Wyciągnąłem w jej stronę *Daily News*. - Widziałaś?

Na pierwszej stronie były dwa zdjęcia - triumfującej Muriel Sykes w trakcie wygłaszania przemówienia powyborczego oraz smętnego burmistrza Spellmana, który oglądał wyniki w telewizji.

- Zach, wiem, kto wygrał. Nie ma takich, co nie wiedzą. Wszystkie stacje telewizyjne wczoraj po zamknięciu lokali ogłosiły zwycięstwo Sykes.

- Tak, ale tylko *Daily News* wspomina o nas.

To przyciągnęło jej uwagę. Znalazłem trzecią stronę w gazecie i przeczytałem na głos:

- Chociaż jeden z Czyścicieli został zastrzelony z zimną krwią przez mafijnego bossa Joego Salviego, a drugiego w śmiałym szturmie zatrzymała elitarna jednostka policji Red, ostatnią ofiarą dwóch seryjnych morderców stała się kariera polityczna burmistrza Stanleya Spellmana. - Przerwałem na moment, przechodząc do drugiego akapitu. - Przez cztery miesiące Czyściciele terroryzowali nasze miasto, ale Spellman nie zgadzał się na włączenie do akcji słynnej jednostki Red. Dopiero kiedy

śmiertelną ofiarą została szefowa kampanii wyborczej jego kontrkandydatki w wyborach, burmistrz zaprosił do działania najlepszych z najlepszych. Akcja prowadzona przez detektywów Zacha Jordana i Kylie MacDonald doprowadziła do ujęcia i zatrzymania sprawcy w ciągu zaledwie czterech dni. Sondaże powyborcze potwierdziły, że najważniejszym powodem, dla którego tak wielu wyborców zagłosowało na Muriel Sykes, było zaniechanie Spellmana, który zbyt późno włączył oddział Red do akcji.

- Potężny oddział Red, najlepsi z najlepszych. Zgaduję, że tego nie pisał Damon Parker - stwierdziła Kylie. - Co masz w tej torbie?

- Planszę do go zrobioną ręcznie z liczącego siedem stuleci drzewa torrei i pudełko autentycznych kamieni yuki. To dla starego Chińczyka w Columbus Park. Jest za dobry, żeby grać na sklejce.

- Kupiłeś mu prezent?

- To nic takiego. Kosztuje mniej, niż zapłaciłbym informatorowi za te same wiadomości. Nigdy nie zrobiłaś czegoś podobnego, żeby odwdziaczyć się świadkowi?

- Nie.

- W takim razie może powinnaś. Na początek możesz zabrać tego małego grubasa, Joego Romea, na kolację. Bardzo się domagał jakiejś nagrody.

Szturchnęła mnie w ramię.

W tej samej chwili drzwi windy rozsunęły się i na korytarz wyszła wysoka kobieta w niebieskim kostiumie i z czerwono-biało-niebieską apaszką od Hermesa. To była Muriel Sykes.

- Szkoda, że nie możecie zobaczyć swoich twarzy - powiedziała, idąc w naszą stronę. - Wyglądacie jak dwoje dzieci, które nowy

nauczyciel przyłapał na wygłupach podczas lekcji. Zaprowadźcie mnie do gabinetu kapitan Cates.

Ruszyliśmy korytarzem. Drzwi Cates były otwarte. Sykes weszła do środka.

- Wy też - powiedziała do nas. - Chodźcie tu.

Weszliśmy za nią, zamknęliśmy drzwi i stanęliśmy pośrodku, nie mając pojęcia, o co chodzi. Cates jednak jest profesjonalistką, gdy chodzi o poruszanie się w polityce. Z rozjaśnioną twarzą podniosła się, obeszła dokoła biurko i uściśnęła dłoń Sykes.

- Pani burmistrz elekt - powiedziała z obłudnym entuzjazmem.

- Gratuluję. To dla mnie zaszczyt. Co mogę zrobić w tym historycznym dniu dla pierwszej kobiety burmistrza w historii Nowego Jorku?

- Dziękuję, ale chodzi raczej o to, co ja mogę zrobić dla pani - odpowiedziała Sykes. - Wiem, że w mojej kampanii brali udział ludzie, którzy bardzo źle wyrażali się o NYPD Red.

- Nie ludzie - stwierdziła Cates - tylko Damon Parker. Powiedział, że chciałby, żeby Red znowu stali się niebiescy.

- Wiem. Damon czasami zachowuje się jak dureń, ale to tylko polityka. A teraz, gdy już mamy z głowy wybory, chciałabym panią zapewnić, że jestem waszą najgorętszą zwolenniczką.

- Miło to wiedzieć.

- Jestem bardzo wdzięczna za to, co pani zrobiła, Delio - mówiła Sykes. - Znam detektywów Donovana i Boyle'a jeszcze z czasów, gdy byłam prokuratorem federalnym. Z całą pewnością nie nadają się do Red, ale są niezłomnie lojalni i już od lat zwracam się do nich w każdej potrzebie. To, że przywołała ich pani do porządku po tym, jak na kilka miesięcy zostawiali tę sprawę odłogiem, bardzo wiele znaczyło dla nich, a także dla mnie. Jeszcze raz dziękuję.

- Proszę bardzo.

- Zarządzanie miastem zbyt długo było domeną mężczyzn - mówiła Sykes. - Moim priorytetem jest znalezienie inteligentnych kobiet, na które będę mogła liczyć.

- Jeśli spotkam jakąś, to przyślę ją do pani - odrzekła Cates.

Sykes roześmiała się i spojrzała na nas.

- Co do was, detektywi, gratuluję doskonałej roboty. Teraz rozumiem, dlaczego Irwin Diamond wybrał właśnie was do tej sprawy. Nikomu nie przepuścicie, nawet mnie.

Wiedziałem, że to była jedyna aluzja do tego, że złamała wszelkie przepisy, zabierając laptopa Evelyn Parker-Steele, i że nigdy więcej nie zająknie się na ten temat nawet słowem.

- Nie tylko rozwiązaliście sprawę Czyściciela, ale również uwolniliście niewinną uprowadzoną kobietę, a do tego udało się wam zatrzymać najbardziej znanego bossa mafii w tym mieście z oskarżeniem, z którego na pewno się nie wywinie.

Podziękowaliśmy jej.

- Żałuję tylko, że w stanie Nowy Jork nie ma kary śmierci - dodała Kylie. - Nikt nie zasłużył na nią bardziej niż Joe Salvi.

- Zgadza się - powiedziała Sykes. - I dlatego dzisiaj z samego rana zadzwoniłam do Freda Pearsona, który zastąpił mnie na stanowisku prokuratora federalnego w południowym dystrykcie. Nowy Jork nie może wykonać egzekucji na Salvim, ale federalni tak.

- Wiemy o tym - powiedziała Kylie. - Ale jest różnica między móc coś zrobić a zrobić to. To się prawie nigdy nie zdarza.

- Ma pani rację - zgodziła się Sykes. - Prawie nigdy. Ale federalni już wcześniej próbowali skazać Salviego za zorganizowaną przestępczość. Fred Pearson jest moim wychowankiem i wiem, że będzie zachwycony, gdy zobaczy wideo

pokazujące, jak Joe Salvi zabija z zimną krwią oficera policji.

- Przecież Salvi wiedział, że Bell był wykolejonym policjantem - zauważyłem.

- Tak, ale to nie zmienia faktu, że Bell pracował w NYPD i był w tym czasie na służbie. Poza tym Salvi zabił go z powodu osobistej wendety, więc nie może twierdzić, że zrobił to dla dobra publicznego. Nie mogę niczego obiecać, ale federalni z wielką radością spaliliby tego drania na stosie, nie zdziwcie się zatem, jeśli Joe Salvi dostanie śmiertelny zastrzyk jeszcze przed następnymi wyborami za cztery lata.

- Dziękujemy za wsparcie, pani burmistrz elekt - powiedziała Cates. - Jeśli cokolwiek możemy dla pani zrobić, to proszę nam po prostu dać znać, kiedy zacznie pani kampanię o drugą kadencję.

Sykes odetchnęła głęboko i wyprostowała się na całą swoją wysokość. Popatrzyła prosto w oczy wszystkim nam trojgu i powiedziała:

- Właśnie zaczęłam, pani kapitan. Właśnie zaczęłam.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

Dokończenie papierkowej roboty po rutynowym śledztwie w sprawie zabójstwa może zabrać kilka dni, ale ta sprawa pod żadnym względem nie była rutynowa. Zabójcami byli dwaj policjanci, źródłem przecieku informacji było biuro prokuratora okręgowego, a jedną z ofiar stała się szefowa sztabu wyborczego nowej pani burmistrz. Oboje z Kylie tonęliśmy po uszy w dokumentach.

- Właśnie osiągnęliśmy punkt, kiedy pisanie raportów zajmuje więcej czasu niż dochodzenie w sprawie przestępstwa - powiedziała Kylie w południe i podniosła się od biurka. - Przepraszam, że nie mogę zostać z tobą do końca tej zabawy, ale za pół godziny muszę ruszać ze Spence'em w drogę do wyleczenia. Zobaczymy się jutro.

Wyszła, a pół godziny później dostałem SMS-a:

Cóż na tym świecie może być ciekawsze ode mnie? C.

Zapomniałem, że byłem umówiony z Cheryl na lunch.

Zapisałem wyniki pracy i pobiegłem za róg do bistra U Gerri.

Gerri była przy kasie.

- Cześć, przystojniaku - powitała mnie. - Słyszałam, że masz nową dziewczynę.

- Jestem spóźniony piętnaście minut, więc moja obecna dziewczyna może być na mnie wkurzona, ale dlaczego myślisz, że mam już nową?

- Chodzą słuchy, że dziś rano odwiedziła cię nasza nowa pani burmistrz. To nie moja sprawa, ale Muriel Sykes mogłaby być twoją matką.

- Nie twoja sprawa? Gerri, zdaje się, że wszystko, co się dzieje

w dziewiętnastce, to twoja sprawa. I nie musisz się martwić o nową panią burmistrz. Jeśli zacznę się kiedyś spotykać z kobietami w wieku mojej matki, ty będziesz pierwsza na liście.

- Obiecanki cacanki - skomentowała z westchnieniem. - Leć do stolika, zanim ten brytyjski komputerowiec sprzątnie ci doktor Cheryl sprzed nosa.

Poleciałem. Moja dziewczyna była w połowie sałatki, a naprzeciwko niej siedział Matt Smith.

- Mogę do was dołączyć? - zapytałem.

Matt zerwał się z krzesła.

- Ja już lecę. Grzałem tylko miejsce, żeby żaden z tych napalonych gliniarzy nie próbował się przystawiać do twojej dziewczyny.

Cheryl przestała jeść i podniosła wzrok znad sałatki, ale nie odezwała się ani słowem.

Usiadłem.

- Do mojego czego?

- Daj spokój, stary. Wiem, że to pilnie strzeżony sekret, ale nie muszę być geniuszem, by zauważyć, że coś między wami jest. Cieszę się razem z tobą. Jesteście fantastyczną parą. - Spojrzał na zegarek. - Kylie chyba właśnie jedzie ze Spence'em na terapię.

- Usiądź - powiedziałem.

Usiadł obok mnie.

- Jesteś skarbnicą osobistych informacji - szepnąłem. - Skąd, do diabła, wiesz o mężu Kylie?

Wzruszył ramionami, pochylił się do mnie i odrzekł cicho:

- Informacja to mój zawód. Jak ci się wydaje, od czego pochodzi słowo „informatyka”? Obiecuję, że nikomu nie powiem ani słowa. Wspomniałem o tym, bo wiedziałem, że wy wiecie. To nie jest pierwszy turnus Spence'a. Sądzicie, że mu się uda?

Popatrzyłem na Cheryl, żeby sprawdzić, czy zechce odpowiedzieć na to pytanie, ale nie było na to cienia szansy.

- Tak - powiedziałem. - Wie, że jeśli mu się nie uda, to straci najlepszą kobietę, jaką miał w życiu.

- Myślę tak samo. Jeśli Kylie MacDonald kiedyś będzie znowu samotna... - Matt urwał i powędrował myślami w krainę fantazji.

- Do diabła, stary, nie muszę ci mówić, jaka to wspaniała kobieta.

- Nie musisz - przytaknąłem, omijając Cheryl wzrokiem i starając się uciec myślami jak najdalej od przeszłości i jeszcze dalej od przyszłości. - Nie, nie musisz.

- No cóż, bawcie się dobrze. - Matt wstał. - Wiem, że już to mówiłem, Zach, ale zrobiliście kawał dobrej roboty w sprawie Czyściciela.

Poszedł do drzwi. Cheryl patrzyła na mnie, wciąż nie odzywając się ani słowem. Po dziesięciu sekundach milczenia wybuchnęła chichotem jak nastolatka, a ja natychmiast zacząłem się śmiać razem z nią.

- No cóż, określenie „niezręczna sytuacja towarzyska” nabrało właśnie nowego znaczenia - powiedziała. - Myślałeś, że on napala się na mnie, a okazuje się, że napala się na Kylie. I co ty na to?

- Och, niespecjalnie mam ochotę o tym rozmawiać, w każdym razie nie w tej chwili. A już na pewno nie w odległości mniejszej niż sto metrów od bistra U Gerri.

- A co byś powiedział na sto kilometrów od tego lokaliku?

- Nie rozumiem.

- Wydaje mi się, że jestem gotowa przenieść nasz związek na kolejny poziom.

- Tak?

Przesunęła w moją stronę iPhone'a.

- Wiem, że już o tym wspominałam, ale nigdy nie pokazywałam

ci zdjęć.

Popatrzyłem na ekran ze zdjęciem białego domu. Dach, podwórze i droga pokryte były śniegiem.

- Wygląda jeszcze ładniej w lecie, kiedy kwitną kwiaty, albo w październiku z kolorowymi liśćmi.

- To twój dom w Woodstock?

- Przez połowę czasu. Ugoda stanowi, że Fred i to dziecko, które ma zostać jego żoną, mają do niego prawo przez drugą połowę, ale...

- Ale co?

- Na razie nie będą z niego korzystać. Następna była pani Robinson jest w ciąży.

- Hm... - Pogłodziłem się po wyimaginowanej brodzie. - I co ty na to?

- Niespecjalnie chce mi się o tym rozmawiać. Tak po prawdzie, to nigdy. A zatem czy masz ochotę pojechać do Woodstock na weekend? Pograbić trochę liści, powdychać wiejskiego powietrza, leżeć przy kominku i pić wino?

- To może być równie pasjonujące jak wypełnianie tych papierów, które czekają na mnie w biurze.

- Spodoba ci się. Ten dom kiedyś przynosił mi bardzo dużo radości, a potem przestał. Ale jestem już gotowa, żeby tam wrócić i znów odnaleźć tę radość. I chciałabym zrobić to z tobą. Więc co powiesz na najbliższy weekend?

- Chyba żartujesz? Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek mnie tam zaprosisz.

- No to możesz się przestać zastanawiać.

To jednak było do bani. Nawet teraz zastanawiałem się, czy Spence wytrzyma terapię, a jeśli nie, to czy Kylie go zostawi, a jeśli go zostawi, to czy Matt zaprosi ją na randkę, a jeśli tak,

to...

Cheryl uśmiechnęła się do mnie, wyciągnęła rękę nad stołem i nie zwracając sobie głowy tym, kto może nas zobaczyć, położyła ją na mojej.

Oddałem jej uśmiech. Nakryłem jej dłoń swoją, wytrząsnąłem wszystkie śmieci z umysłu i zacząłem się zastanawiać, jakim cudem przydarzył mi się taki szczęśliwy traf.

[1] John Doe - mężczyzna o nieustalonej tożsamości, odpowiednik polskiego NN.

[2] Cytat wg Biblii Tysiąclecia.

Tytuł oryginału: *NYPD RED 2*

Pierwsze wydanie: Little, Brown and Company, Hachette Book Group, Inc., Nowy Jork, 2014

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Władysław Ordęga

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2014 by James Patterson

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Opublikowano za zgodą Little, Brown and Company, Nowy Jork.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1766-8

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.